NIEMCY O NIEMCACH.

I.

„Od r. 1648 największą dziedziczną wadą Niemców — twierdził Jahn w r. 1810 — jest... pokora; Niemiec szanuje siebie niewiele i dlatego pogardzają nim sąsiednie narody. Zamiast wspominanego tak często przez włoskich poetów *„furor tedesco"* — pisze daléj Jahn — cierpliwość i pokora stały się naszemi pierwszemi cnotami narodowemi" [1]).

Jahn, jeden z największych patryotów niemieckich początków bieżącego stulecia, którego imię każdy oświecony Niemiec stawia obok imion królowéj Ludwiki, Steina i Hardenberga, — poszukiwał praw rządzących losami narodów, chciał stworzyć „Naukę o ludach" i te jéj maksymy, które, jak mu się zdawało, już odkrył, podał na początku swego dzieła do wiadomości współziomków. „Ten naród— mówi on — stoi najwyżéj, ten naród zbliżył się najwięcéj do ludzkości, który przeniknął się najmocniéj świętą ideą ludzkości. Przedwcześnie dojrzałemi, wstrzymanemi w rozwoju — nie zupełnie rozwiniętemi — zostały te narody, które każdą inną, bardziéj ludzką, narodowość wytępić, zniszczyć, zalać i przetopić usiłowały [2]). Każdy naród ginący jest dla ludzkości –nieszczęściem, dla historyi — stratą

[1]) Friedrich Ludwig Jahn. *Deutsches Volksthum.*—Ed. Meyer'a, str. 153 i 204.

[2]) Jahn, *l. c.*, str. 31.

i pozostawia niczém nie dającą się zapełnić próżnię. Tylko Tamerlan, którego przeznaczeniem było tępić, dążył do zaprowadzenia na całym świecie jednéj narodowości, jednego języka i jednéj religii" [1]).

Jahn wierzył w przyszłą wielkość Niemiec, i sam ręki do niéj przyłożył. Starał się wlać w naród zaufanie we własne siły, wskazywał mu drogę do wielkości, ale jéj nie budował na wytępieniu sąsiadów. O stosunku rasy germańskiéj do innych ras w dziele swém nie wypowiada się wyraźnie. Chcąc dowiedziéć się, jakie były pojęcia inteligencyi niemieckiéj w téj materyi około 1800 roku, możemy zaczerpnąć ze źródła niemniéj poważnego, zajrzéć do powszechnie znanego dzieła Herdera „*Ideen zur Philosophie der Geschichte der Menschheit.*" „Słowianie — mówi on [2]) — byli łagodnych obyczajów i do rozrzutności gościnni, zamiłowani w wolności, ale łatwi do posłuszeństwa i uległości, wrogowie rozbojów i łupieży. Wszystko to źle ich broniło od niewoli, owszem — sprzyjało uciskowi. Ponieważ nigdy do panowania nad światem nie dążyli i żadnych dziedzicznych a wojowniczych książęcych dynastyi śród siebie nie mieli, z łatwością więc zgadzali się na płacenie haraczu, byleby tylko w spokoju na swéj ziemi siedziéć mogli, — co dało pohop innym narodom, a przedewszystkiém Niemcom ciężko przeciw nim zawinić. Już za Karola W-go zaczyna się szereg wojen zaborczych, których widoczną pobudką były przyczyny materyalne, jakkolwiek religia chrześciańska była ich pokrywką; bohatérskim Frankom musiało to dogadzać, iżby naród pracowity roli i handlowi oddany, raczéj mieli za niewolnika, niż się od niego tych sztuk wyuczywszy — sami je uprawiali. Co Frankowie zaczęli, tego dokonali Sasi. W całych prowincyach Słowian wytępiono, lub w niewolników obrócono, a ziemię ich między rycerstwo i biskupów rozdzielono. Ich handel na morzu Północném zniszczyli Germanowie północni, miastu ich Winecie Duńczycy smutny położyli koniec, — a resztki ich w Niemczech ten sam los miały, co resztki Peruwiańczyków i Meksykańczyków w Ameryce." Mimo tych ciężkich doświadczeń losu, charakter Słowian dotąd pozostał bez zmiany. Nieszczęściem Słowian było to, że los z jednéj strony postawił ich tak blisko Niemców, a z drugiéj, od wschodu, wystawił ich na napady Tatarów, od których tak wiele ucierpieli." Ale koło fortuny, sądzi Herder, w miejscu nie stoi, — świat traci ducha wojowniczego i coraz więcéj opiéra się na spokoj-

---

[1]) Jahn, *l. c.*, str. 36 i 38.

[2]) *l. c.*, ks. XVI, R. 4. Wyd. Reclam, str. 469.

néj pracy i swobodnym stosunku między narodami; przyjdzie więc czas, gdy Słowianie „z ciężkiego snu przebudzeni, z pęt niewoli wyswobodzeni, odzyskają swój piękny kraj od Adryatyku do Karpat i od Wełtawy do Donu” [1]).

Sto lat przeszło oddziela nas od epoki, w któréj te myśli były wypowiedziane (1784 r.); — posłuchajmy, co dziś się w téj saméj materyi myśli, pisze i drukuje w Niemczech.

II.

„Jesteśmy bez żadnéj wątpliwości narodem najdzielniejszych wojowników, — jesteśmy narodem najbieglejszym we wszystkich gałęziach nauk i sztuk pięknych, — jesteśmy najlepszymi kolonizatorami, najlepszymi żeglarzami, tak, nawet najlepszymi kupcami,” — twierdzi p. Fritz Bley w broszurze p. t. „*Die Weltstellung des Deutschthums*” i dowodzi nam zaraz słuszności swoich twierdzeń.

„Przez dwa stulecia niemieckie barki podtrzymywały spruchniałe państwo Rzymskie, gdyż tylko przez Niemcy mogła niemiecka pra-siła być złamana. W siedmiu wielkich bitwach ludów, w Teutoburskim lesie, na polach katalauńskich, pod Poitiers i Tours, na polach Lechu — pod Lignicą (?), pod Wiedniem przeciw Turkom (?) i pod Waterloo (?) uratowaliśmy cywilizacyę Europy (str. 21). Najwięksi artyści sztuki historycznéj, jak Niebuhr, Ranke i Mommsen; głowy, które twórczą swą siłą budowały opis ziemi, jak Ritter i Humboldt, ci, którzy stworzyli wiedzę przyrodniczą, jak Liebig i Helmholtz — to byli Niemcy, których nie dorastają ani tacy Macaulaye, ani tacy Darwini. Boską pociechę tonów... tylko taki Beethoven dać nam może. O głębokości niemieckiego ducha w filozofii mowić — jest zbyteczna, tak samo jak zbyteczném byłoby przypominać, że najbardziéj ludzki z ludzkich utworów poetycznych: Faust, jest jednocześnie i najbardziéj niemieckim (22). Handel nasz

---

[1]) *l. c.*, str. 469, 470. Charakterystycznym jest też ustęp Herdera o podboju Prus przez Niemców. „Ludzkość wzdryga się przed krwią, którą tu wylano w długich i dzikich wojnach, zakończonych bądź prawie zupełném wytępieniem Prusów, Kurów i Lettów, bądź całkowitém poddaniem ich w niewolę, pod jarzmo, w którém dotąd jęczą.” Stulecia może upłyną, nim to jarzmo zdjętém zostanie, i póki w nagrodę za ohydę, z którą ten spokojny lud pozbawiono ziemi i wolności, wykształcą w nim zdolność używania i korzystania ze swobody (*l. c.*, 464).

w ostatnich 13-tu latach wzrósł o 1,300 milionów marek, angielski o 800 milonów się zmniejszył (str. 15).

Wszystkiém tém są Niemcy z woli Boga, którego myśli i zamiary są panu Bley dobrze wiadome. „Bóg dał człowiekowi swoje tchnienie ożywcze i On w nas myśli. On nas popycha za pośrednictwem naszego sumienia ku wyrobieniu najwyższéj doskonałości w nadanych nam przymiotach. On chce téj walki wszystkich przeciw wszystkim, aby przez to najlepsi, najdzielniejsi z walki téj wyszli zwycięzcami. Silny ma panować, ma swoje przymioty potomności przekazać, on ma się rozmnożyc i stać: rodem, narodem i nakoniec ludzkością. Ludzi nie można pchnąć naprzód ku postępowi ideami szczęśliwości pasącego się na łące bydła, zastosowanemi do godnego boskiéj litości ludzkiego stada" (24). Przy tém wszystkiém, nie wyklucza autor w teoryi ani altruizmu, ani wspaniałomyślności rycerskiéj i kłóci się z Nietschem o to, że uznawał wspaniałomyślność i sumienie za niepotrzebne, przez co stracił równowagę ducha (str. 25). Zasadę jednak podstawową w rozwoju historyi stanowi to, że wszechświatowa walka ludów jest Boskim doborem naturalnym między ludami: „dla zwycięzcy łupy, bo on tylko na nie zasłużył."

Nie o pokoju więc marzy Niemiec; idee wszechświatowego obywatelstwa i wiecznego pokoju, te pomysły „niewolnicze i tchórzowskie" — z temi — „na śmietnik" (27). Niemcy potrzebują wyrobić w sobie wolę, nie zaś rozum i całe wychowanie nowego pokolenia zreformować należy: precz z przesadzoném szkolnictwem niemieckiém, precz z dziecinnym prawie szacunkiem dla martwéj nauki, z szachrajstwem egzaminowém. Szkoła ludowa już zarażoną została pogardą rzeczywistości; źródło złego leży w szkole wyższéj; to harcap *(Zopf)*, który aż do skóry zgolony być musi. Ożywiający szkoły wyższe duch obcy nietylko panuje w niemieckiém prawie i administracyi, nietylko zepsuł język niemiecki do gruntu, ale pozbawił Niemców ich męskiego ducha przez śmieszny szacunek dla abstrakcyjnego myślenia, kosztem wszystkich innych sił prawdziwie męskich. Jak zapowietrzony zarazek gorączki miesza się ta obczyzna z krwią niemieckiego życia. Naród laskonogich okularników i podupadłych fizycznie marzycieli, nie może być umysłową arystokracyą. „Kolana ku sobie, pierś naprzód, broda do góry, hełm prosto!" (45). To jedno ratuje naród niemiecki od zwyrodnienia, które byłoby tém większą dla ludzkości klęską, że do wielkich zadań przeznaczony jest ten naród.

Narodowość niemiecka, pod Sedanem, wywalczyła sobie prawo do życia na ziemi (7). Powstanie jednak państwa niemieckiego, to

nie zakończenie, ale początek niemieckiego rozwoju narodowego (str. 21), — to era przebudzenia się ludu niemieckiego, który, jak mówi poeta (Bley nie przytacza nam jego nazwiska):

Pochodzi z rodu heroów pioruna,
Chce całą odziedziczyć ziemię,
Bo starém jest Germanów prawo,
Ziemię swym młotem zdobywać.

„To prawo germańskie opiéra się na kulturze germańskiéj, najlepszéj, jaka jest na ziemi" (str. 28). „Przyszłość cała należy do Niemców, bo oni są młodzieżą ludzkości, a nie Hunnowie, Słowianie, Kałmucy i Baszkirzy" (28), a tak daleko jak młot rzucony hucząc dosięgnie, tak daleko niech będzie niemieckim i kraj i ziemia" (29).

Gdyby te przekonania, poglądy, plany wypowiadał p. Bley w swojém tylko własném imieniu — możnaby pominąć je milczeniem. Broszura jednak, z któréj się tyle ciekawych rzeczy dowiadujemy, to tylko pierwszy zeszyt wydawnictwa, noszącego ogólny tytuł „Walka o niemieckość" (*Kampf um Deutschthum*), wydawanego nakładem „Wszechniemieckiego związku". Czém ten związek jest, dowiadujemy się już od razu z okładki broszury.

„Związek wszechniemiecki dąży do silnego ożywienia umysłowości narodowéj niemieckiéj, do podtrzymania niemieckiego plemienia i obyczaju w Europie i za morzem, i do ujęcia w jedną całość wszystkich Niemców, rozrzuconych na całéj kuli ziemskiéj. Jest on związkiem wychowawczym i agitacyjnym. Wychowczo chce działać związek, ucząc nasz naród, aby stawiał interesy narodowe ponad sprawy i kłótnie partyi politycznych i ekonomicznych; agitacyjnie chce działać, występując w szranki wszędzie tam, gdzie współziomkowie prowadzą walkę o zachowanie swéj odrębności narodowéj z innym obcym narodem; — a daléj związek dąży jeszcze do tego, ażeby narodowi niemieckiemu nie odmawiano udziału należnego mu w panowaniu nad światem w wszechświatowém gospodarstwie. Naród niemiecki jest narodem panów — *ein Herrenvolk* — i jako taki powinien być przez inne mocarstwa wszędzie na całéj kuli ziemskiéj szanowany i poważany. Jakkolwiek wielkiemi i wspaniałemi były powodzenia wojny 1870/1, związek nie sądzi, aby niemiecki rozwój narodowy miał się na nich ostatecznie zakończyć, — owszem, jest przekonany, że z osiągniętego wówczas dla narodu niemieckiego stanowiska wypływa cały szereg nowych i wielkich obowiązków i zadań, których nienależyte uznanie — wypuszczenie z pod uwagi — może upadek naszéj narodowości za sobą pociągnąć. Do zadań tych nale-

ży w Europie ścisły związek ekonomiczny i prawnopaństwowy z innemi państwami pochodzenia germańskiego, a więc przedewszystkiém z Austryą, Niderlandami i Szwajcaryą. Zatém ręka w rękę idzie nabycie odpowiednich posiadłości zamorskich, któreby nietylko dostarczały przestrzeni swobodnéj, koniecznie potrzebnéj dla naszego corocznego przyrostu ludności, wynoszącego 600,000 głów, ale także dały nam niezależność ekonomiczną od zagranicy.“

Dla informacyi związek dodaje, że liczy już 14,000 członków i 70 grup miejscowych, z których 24 zagranicą i wydaje tygodnik „*Die Alldeutsche Blätter*".

Opinie więc p. Bley są opiniami wypowiadanemi przez całą partyę, która z nim razem twierdzi, że krajem niemieckim jest już nie ten kraj, gdzie brzmi język niemiecki, ale ten, dokąd germański młot doleci, a za cel swój najbliższy uważa stworzenie w środku Europy państwa, czy téż związku państw, obejmującego wszystko to, do czego Niemiec może miéć pretensyę, na historycznych i lingwistycznych prawach opartą.

O poszanowaniu innych narodowości mowy nie ma. Bóg daje siłę silnemu w tym celu, aby sobie panowanie zapewnił. Idzie tylko więc o to, że dziś jeszcze ta siła niemiecka jest za słaba, aby opór wszystkich innych przełamać i że projektowane do rzeszy niemieckiéj włączenie Austryi, Niderlandów i Szwajcaryi może przedstawiać niejakie trudności, dla których pokonania miotanie młota nie jest odpowiedniém. Rozbiorem sposobów i środków, któremi ten cel ma być osiągnięty, zajmują się następne broszury, których wydano już 4, o walce niemieckości: w Niderlandach, na Węgrzech, w Czechach i na wschodnich kresach Pruss. Są one wyrazem tego, jak Niemcy pojmują swój stosunek do innych narodowości i państw sąsiednich.

Nim pożegnamy się jednak z dziełem, które nas tak dobrze objaśniało o stanowisku Niemiec we wszechświecie, zanotujemy z niego parę poglądów historyczno-filozoficznych. Z rasy celtyckiéj pozostały dziś marne resztki: najgorsze męty rasy aryjskiéj, obszarpani i rozpici żebracy irlandzcy, stanowiący szumowiny i polityczny element zbrodni w Stanach Zjednoczonych (str. 4). Anglia zawsze najlepsze swe siły z niemieckiego źródła czerpała, przemysł jéj i handel są niemieckiego pochodzenia (str. 30/1). Upadek Francyi — „*Franzosendämmerung*" nie pochodzi ze zmniejszenia się liczby urodzin, ale z tego źródła, że wymarła w niéj szlachta, która była pochodzenia germańskiego, a rasę germańskich mieszczan wypędziły z kraju prześladowania Hugonotów. Do rasy germańskiéj należą: Holendrzy, Duńczycy, Szwedzi — i oni wszyscy wchodzą w zakres

wpływu związku pangermańskiego, — ale Anglicy nie. Dlaczego? Włączenie Anglików byłoby osłabieniem germanizmu, bo Anglik nie wyrzeknie się swego języku, bo gorzéj nienawidzi Niemców i więcéj im szkody przyniósł niż Hunnowie, Francuzi, więcéj niż cesarskie pandury, więcéj niż morowa zaraza (36). Walka z elementem angielskim jest koniecznością, a walka o ten cel ostatni — panowanie nad światem — wszystkim korzyść właśnie przyniesie. Podwójne wysiłki zmuszą obie rasy do podwojenia wielkich czynów (36).

III.

Korzystając daléj ze światłego przewodnictwa Fritza Bley, postaramy się zbadać, jakie są cele i interesy narodu niemieckiego w Holandyi, i jakiemi są sposoby i środki prowadzące do urzeczywistnienia tych celów [1]).

Holendrzy są od najdawniejszych czasów Niemcami (str. 5), nie chodzi więc o ich zniemczenie, ale 1) o zawarcie z nimi traktatu ekonomiczno-politycznego, a następnie o pogłębienie go na zasadzie prawno-państwowéj, — traktatu, do którego nikt obcy nie ma prawa się mieszać, a gdyby mieszać się pragnął, to z drugim Waterloo spotkać się powinien; 2) o zlanie narzeczy dolno-niemieckich w jeden język i wyrobienie dla nich jednakowéj pisowni; 3) o odmłodzenie ducha niemieckiego w źródle cudownem życia dolno-niemieckich plemion. Holendrzy w tém wszystkiém wziąć udział powinni, a jeśli go nie przyjmą, tém gorzéj dla nich, bo rzecz sama do skutku przyjdzie przy pomocy Flamandów (str. 7).

Holendrom brak kontynentalnego oparcia dla ich kolonii; kolonie te ciągle się zmniejszają, bo Holandya nie ma dość sił, aby je utrzymać. Niemcom brak znów kolonii i marynarki, — na połączeniu więc politycznem obie strony tylko zyskać mogą. Wprawdzie Holendrzy nienawidzą Niemców—cierpieć nie mogą ani pruskiego „fedldfebla” ani pruskiego „*Regierungsratha*”, ale—i Niemcy mają już dość tego pruskiego biurokratyzmu. Wprowadzenie tego żywiołu do zarządu koloniami niemieckiemi wydałoby najfatalniejsze skutki — gdyż w zarządzaniu odległemi krajami, potrzeba koniecznie tego swobodnego ducha kupieckiego, jakim się zawsze Ho-

---

[1]) *Kampf um Deutschthum*, 11 Heft. *Die Alldeutsche Bewegung und die Niederlände* von Fritz Bley.

lendrzy i Flamandzi odznaczali. Trochę nienawiści do Niemców nad Amstelą, sprawy zepsuć nie powinno.

Fritz Bley przytacza liczne argumenty historyczne, etnograficzne i lingwistyczne na poparcie swego programu. Nie są one ani nowe ani bezstronnie zbierane. Belgia, rozumié się, powinna zapomniéć o swych kłótniach religijnych z Holandyą i z nią się połączyć—no a do Belgii powinna być przyłączona ta część północnéj Francyi, w któréj się dotąd flamandzki język przechował. Ludność Luksemburga, któréj piosenka narodowa mówi wyraźnie—że „Prusakami nie chcą zostać" wprowadza p. Bley w oburzenie swoim „Luksemburskim patryotyzmem". Ich nienawiść do Prus, jest w jego oczach wprost śmieszna. Gdyby nie ten powszechny w Niemcach patryotyzm małomiasteczkowy — nie byłoby tego niewolniczego naśladowania francuszczyzny, — która sprawiła, że nawet w szkołach niemieckich Godewaard van Beulen, nazywa się Godtfrydem de Bouillon, a miasto Boonen, Boulogne-sur-mer. Stosunki językowe Luksemburga są wprost niesłychane. „Językiem urzędowym i administracyjnym jest — nikt nie wié dla czego w kraju stanowczo niemieckim—język francuski. Język niemiecki jest tylko cierpiany na żądanie interesowanych. W sejmie dyskutują po francusku. Rozporządzenia ogłasza rząd po większéj części po francusku. Francuskiém jest prawodawstwo, poczta i telegraf—niemiecką administracya dróg żelaznych. Pod względem celnym Księstwo Luksemburskie należy do państwa niemieckiego „W sądach panują już wprost stosunki maskaradowe: oskarżenie i obrona wnoszą się w języku francuskim—oskarżony z niższych warstw ludu nie rozumié ich całkiem (?) Świadkowie składają zeznania w żargonie luksemburskim, a wyrok wydaje się w języku górno-niemieckim. W szkole i kościele panuje język niemiecki—klasy wyższe paplą po francusku, a wszyscy wymyślają na Prusaków". (14) Tylko jedno może ten nieszczęśliwy kraj uratować—„w najbliższéj wojnie francusko-niemieckiéj" — jak się należy spodziéwać—Francya znów pobitą zostanie — a wtedy Belgia musi dostać francuską część Flandryi nadmorskiéj z Dunkirchen i Boonen (Boulogne), oddać górno-niemieckie okręgi Arel i Beulen Luksemburgowi, który znów włączony zostanie do państwa Niemieckiego. „Bo to świat raz na zawsze zapamiętać sobie powinien— mówi p. Bley — że Pruso-Niemcy zrzucają z siebie odpowiedzialność za wszelkie głupstwa popełnione przez nieboszczkę Rzeszę Niemiecką" (17). Istnienie jednak niezależnego państwa Wallońskiego (Belgia francuska) jako klina między Niemcami a Holandyą i Flandryą jest niemożliwe, armia francuska z łatwością mogłaby zawsze

oderwać Brabancyę i Flandryę od Rzeszy niemieckiej zachowując przy tém najlepszy związek strategiczny z Francyą. Zresztą, alboż to Wallonowie są Francuzami? Broń boże—to są sfrancuziali Kelto-Germanie (58). Cóż im francuszczyzna dała: *tingletangle* i centralizacyę.—Pojęcia Flandrya, Brabancya, Luksemburg, Belgia—to są historyczne rupiecie. Tylko narodowość żyje. Spór w Belgii toczy się nie między Flamandami i Wallonami, ale między Niemcami i sfrancuziałemi Germanami—i hasłem powinno być: precz ze sfrancuziałemi do Francyi—cała Belgia jest flamandzką. (58) I o nadmorskich Flamandach—o tych zagubionych braciach przypomni sobie kiedyś Niemiec. Pięć palców ma on u ręki: Flamandów Burów (holenderskich kolonistów na przylądku Dobréj Nadziei) Holendrów, Niemców dolnych i Niemców górnych. A gdy niemiecka pięść kiedyś się złoży, i gdy ją złość porwie—trzaśnie. A gdzie trafi—tam trawa więcéj nie porośnie.—Dotąd Bley.

W średnich wiekach mówiono o Hunnach, że gdzie kopyto ich konia ziemi dotknęło — tam już trawa nie rosła. Honor tego cywilizacyjnego wpływu, chcą zagarnąć teraz Niemcy dla siebie.

IV.

Wyliczając pięć palców téj niemieckiéj pięści, Bley pomylił się w rachunku zapomniał o Niemcach w Czechach i Węgrzech, w Styryi i Krainie, o Niemczech w prowincyach nadbaltyckich i w Szwajcaryi i o Niemcach w Azyi, Ameryce i Australii. A jednak wszyscy oni leżą na sercu Wszechniemieckiemu związkowi,—który każdéj z tych odnóg ma zamiar poświęcić specyalną broszurkę;—w programie jego mamy obiecane osobne książeczki o Niemcach w Chili, w Boliwii i Peru etc. — Stanowisko Niemców w Austryi jest całkiem inne niż w Holandyi i w Węgrzech, całkiem inne niż w Czechach, ale i tu i tam żywioł Niemiecki jest zagrożony—i tu i tam Wszechniemiecki związek czuje potrzebę obrony. I tu i tam psychologiczną podstawą niemieckiego oburzenia na wypadki lat ostatnich, jest trudność wyrzeczenia się idei, że Austrya nie jest państwem niemieckiém, że hegemonia żywiołu niemieckiego należy do przeszłości.

Stosunki w Czechach, w Morawii i na Szląsku Austryackim, opracowane są przez Karola Türck. [1]) Nie jesteśmy w możności na-

[1]) „Böhmen Mahren und Schlesien“ von Karl Türck, Reichsrat.

wet w streszczeniu przytoczyć tu za autorem całego pasma krzywd, jakie wyrządzano Niemcom w Czechach, zawsze—z wyjątkiem epoki od 1620 r. (Bitwa pod Białą Górą) do r. 1848 r.

Podług p. Türcka nie należy zapominać o tém, że nigdy Czechy nie były wyłącznie zaludnione przez samych jedynie Czechów. Po Markomanach, siedzieli w Bohemii Boiowie, pokrewni Bojuwarów— i Boiowie ci w epoce wielkiéj wędrówki narodów, nie opuścili Bohemii zupełnie, ale cofnęli się tylko przed najazdem Słowian w góry ku zachodowi i północy. Stąd téż ta północno-zachodnia część Czech, to prastara siedziba Germanizmu (str. 2) ciągle zasilana przez kolonistów z Niemiec, a stosunek ludności czeskiéj do niemieckiéj w Czechach dziś jest taki sam, jaki był 1500 lat temu przy zajęciu kraju przez Czechów (?) (str. 55) Stąd to i lenny stosunek Czech do Rzeszy niemieckiéj i miejsce króla czeskiego wśród elektorów niemieckich.—Koloniści niemieccy wnosili do Czech wysoko posuniętą kulturę, przemysł i handel, bez których postęp w Czechach obyć się nie mógł (str. 4)—a było tych kolonistów tak wiele, że dziś w Czechach właściwie nie ma Słowian, lecz tylko mówiący po czesku Niemcy (52), i temu tylko przypisać należy wytrwałość i dzielność Czechów, i ich najnowsze postępy w języku, sztuce, literaturze i przemyśle (str. 53) (str. 14).

Tylko wojny husyckie wstrzymały postęp kolonizacyi niemieckiéj i nieomal że zakończyły się wytępieniem całego żywiołu niemieckiego w Czechach; mordy i łupieże téj epoki winny być ostrzeżeniem, co jest możliwe w tym kraju, w razie wybuchu wojny domowéj. Nad klęską Czechów pod Białą Górą (1630), autor się nie bardzo zastanawia, notuje tylko, że skonfiskowane szlachcie czeskiéj dobra, oddano habsburskim najemnikom niemieckiego, hiszpańskiego i włoskiego pochodzenia,—i prześladowano luteranizm, a oba te fakty na dalszy rozwój germanizmu podziałały szkodliwie (str. 8). Szkodliwą téż była dla Niemców epoka Metternichowska, bo osłabiła poczucie związku Niemców czeskich i wogóle austryackich z resztą narodu, zrodziła specyalny patryotyzm austryacki, a pozwoliła Czechom odrodzić się (str. 13), wyciągnąć ze składu rupieci swój język, i znów powrócić do staréj idei Przemyślidów: supremacyi żywiołu czeskiego od Gór Lasu Czeskiego do Morza Adryatyckiego. Idea ta, która, jak się zdawało, zginęła w XIII w., z Ottokarem II—znów dziś stanowi przewodnią ideę Czechów. Sami oni o tém nie mówią, ale p. Türck zna dobrze ich tajemnice—i wié, że nie uspokoją się oni dotąd, dopóki wszystkich Niemców w Austryi, Tyrolu, Styryi i Krainie nie wynarodowią i w Czechów nie zamienią (str. 1). Dopiero

w tém oświeceniu można, jego zdaniem, zrozumieć doniosłość i znaczenie rozporządzeń językowych hr. Badeniego. Chodzi niby to o uprawnienie obu języków: czeskiego i niemieckiego na przestrzeni całego Królestwa Czeskiego,—Czech podawszy skargę, czy podanie do sądu lub urzędu na przestrzeni całego królestwa, ma prawo żądać, aby cały przebieg sprawy odbył się po czesku; a Niemiec ma niby to samo prawo, że jeśli poda gdziekolwiek skargę lub podanie po niemiecku, to cała sprawa: badanie świadków, protokóły, opinie, decyzye, wyroki etc., muszą się już w niemieckim języku prowadzić. W dodatku wszyscy nowomianowani urzędnicy mają znać dobrze oba języki,—a ci, co są dziś na urzędzie, od 1901 r. już oba języki téż znać muszą. Ale to uprawnienie jest nieuprawnieniem — bo dla Czecha wyuczyć się języka niemieckiego, jest koniecznością kulturalną; wszyscy inteligentni Czesi umieją go i tylko przez nienawiść do Niemców, często udają, że go nie umieją;—dla Niemca zaś uczyć się języka czeskiego, jest czystą stratą, zabiciem czasu. W praktyce każdy Czech będzie w okolicach wyłącznie przez Niemców zamieszkałych umyślnie na złość podawać skargę czeską, — a Niemiec w czeskiéj okolicy nie ośmieli się podać skargi po niemiecku ze strachu. aby go tam bojkotowaniem do rychłego opuszczenia okolicy nie zmuszono (str. 41). Rozporządzenia te są wywołane nie żadną istotną potrzebą, ale dla dogodzenia zachciankom pychy czeskiéj, dla przyznania czeskiemu językowi przywilejów języka państwowego w Czechach i Morawii.

„Czyż nie jest jasném, że od tego kroku—do wyraźnego ucisku języka niemieckiego we wszystkich krajach korony Ś. Wacława... do zrobienia z tych Niemców klasy pariasów... już jeden krok tylko? że jest to złamanie kości pacierzowéj żywiołowi niemieckiemu w całém państwie Habsburgów... że ta polityka jest na rękę tylko Panslawizmowi... jest wysoce niebezpieczna dla Państwa Niemieckiego... bo Czesi widzą w Rosyi uosobienie Słowiańszczyzny, pierwszy i najdzielniejszy naród na ziemi, powołany i mający dość siły, aby Germanizm zdeptać i całą ziemię opanować? (str. 42).

Historya Austryi od 1806 r., to historya ofiar, jakie Niemcy ponosili dla podtrzymania istnienia państwa Austryackiego; — ale „są granice po za które nawet tak wypróbowana cierpliwość, jak Niemców austryackich iść nie może" (40) i dla tego to ostatnia sesya parlamentu austryackiego była widownią scen „poruszonych namiętności" i „sprawiedliwego oburzenia", w których użyte były środki wstrętne charakterowi narodu niemieckiego" (str. 39). Obawy, jakie

ma pan Türck co do rozszerzenia urzędowego użycia języka czeskiego w reszcie krajów niemieckich, berłu habsburskiemu podległych, usprawiedliwia on danemi statystycznemi.

Na 219 okręgów sądowych w Czechach 72 okręgi są zamieszkane przez ludność prawie wyłącznie niemiecką—bo procent ludności czeskiéj w tych okręgach, jest niższy od 5. Podaje on ich spis dokładny. W czterech okręgach procent ten wynosi 4.16 do 4.65,— w trzech 8.43—3.99%, w dziesięciu 2.02 do 2.75, w 15—wynosi od 1.06—1.99%,—w trzydziestu sześciu jest niższym od 1,—a w pozostałych czterech jest 0. Daleko więc bardziéj uprawnioném byłoby żądanie Czechów przeprowadzenia dwujęzykowości w urzędach w niektórych okręgach sądowych Dolnéj Austryi, gdzie procent Czechów wynosi: w Wiedniu 5.2, w Schrems 9.5, w Mödling 11.7—a takich okręgów jest wiele. Żywioł czeski i wogóle słowiański wciska się tam coraz silniéj i grozi wynarodowieniem Niemców.

Jak zaś to wciskanie się Czechów i wynaradawianie Niemców postępuje szybko w samych Czechach, w Morawii i na Szląsku, nad tém pan Türck nie ma dość łez do wylania. Za podstawę obliczeń bierze on zwykle rok 1850, i nie przychodzi mu na myśl, że w owe czasy biurokratycznie sporządzone spisy ludności mogą zawierać tendencyjne pomyłki. Zresztą, co prawda, nawet tam, gdzie zestawia cyfry 1880 i 1890 roku, i tam upadek germanizmu szczególniéj w miastach, jest wyraźny. W szóstym lat dziesiątku (1856) w Pradze nawet służący i wyrobnicy — wszyscy mówili po nicmiecku i na 123.000 ludności, 73.000 uważało się za Niemców, a 50.000 za Czechów (czy téż byli zapisani jako tacy?) W 1890 r. liczono w Pradze 40.800 Niemców i 265.080 Czechów!!!

Jakie są tego przyczyny? P. Türck objaśnia je sam i ta część jego referatu jest dla nas może najważniejsza. Pierwsza z nich: brak patryotyzmu (rozumié się niemieckiego) w arystokracyi czeskiéj; przykładem Karol ks. Szwarzenberg, wnuk zwycięzcy z pod Lipska, „renegat i polityczny szarlatan", który śmié używać wpływu, jakie mu dają jego obszerne dobra, zwane „Królestwem Szwarcenberskiém", aby w tych dobrach protegować Czechów z uszczerbkiem Niemców; aby opanowawszy wyborami w czysto niemieckiém mieście Budweis (znaczy Budziejowice) głosować wbrew interesom niemieckim. Ten zasługuje na postawienie go pod pręgierzem (str. 9). Nie lepiéj się zachowują właściciele fabryk i kopalń w północnych i zachodnich Czechach. Robotnik czeski jest tańszy, choć, rozumié się, gorszy od niemieckiego; dla marnych więc kilku groszy fabry-

kanci sprowadzają robotników czeskich w okolice czysto niemieckie i dają tém początek drobnym na pozór mniejszościom, które, dzięki płodności Czeszek, robią się wkrótce mniejszościami znacznemi, domagającemi się zaraz szkółki, — w końcu zaś stają się większością. Gdy jest raz szkółka czeska, wszelkie środki ściągnięcia do niéj dzieci są dla Czechów dobre — nagrody, wsparcia, podarunki, powolność do lenistwa i nieuctwa, groźby, nawet pozbawienia ojca chleba. Napływ mamek, nianiek i wogóle sług czeskiéj narodowości działa jeszcze gorzéj, bo wprowadza język czeski wprost w łono rodziny czysto niemieckiéj (56, 7, 8). Brak patryotyzmu w mieszczaństwie najlepiéj ilustruje postępek wiedeńskiego Drehera, który „ośmielił się" w ciężko od Czechów uciskanym Ołomuńcu, najpierwszą w mieście restauracyę sprzedać czeskiemu Towarzystwu akcyjnemu! (str. 83).

Najgorzéj téż oddziaływa duchowieństwo katolickie, to duchowieństwo, które tylko dzięki Habsburgom po r. 1620-ym odzyskało wpływ w kraju. Duchowieństwo to całego swego wpływu używa na popieranie czeszczyzny, miewa czeskie kazania w parafiach przeważnie niemieckich. Kierunek wychowania w seminaryach, któremi kierują tacy biskupi jak kardynał Szwarzenberg i biskup Jirsik, dąży do zczeszczenia duchowieństwa, a Niemcowi trudno nawet 4 tygodnie wytrzymać w seminaryum katolickiém w Ołomuńcu; stąd téż stały brak duchownych katolickich narodowości niemieckiéj (str. 19). Cała partya klerykalna niemiecka gra rolę politycznych Judaszów (str. 40).

Nielepszą jest biurokracya. Metternich, nadmiarem średnich szkół w Czechach wytworzył liczny proletaryat czeskiej inteligencyi, tak łakoméj na chléb rządowy, jak w żadném państwie europejskiém (str. 29). Proletaryat ten posiada doskonale oba języki, wciska się na posady w niemieckich okręgach Czech i póty intryguje, póki żywiołowi czeskiemu przewagi nie zapewni. On to dostarcza nauczycieli szkolnych, urzędników gminnych i oficyalistów kolejowych; on szerzy zarazę czeską na północy. Jemu nawet tablice niemieckie na rogach ulic w Pradze, nawet wyraz „*fertig*" przy odejściu pociągów staje się nieznośny (str. 11).

Skłonność Czechów i wogóle Słowian do wędrówek i włóczęgostwa jest téż jedną z przyczyn wciskania się obcego elementu do czysto niemieckich gmin kraju (56). Najprzód jako tani robotnik, z czasem tani czeladnik, a w końcu majster—opanowywa Czech rzemiosła w miastach pra-niemieckich (71), i gdy ludność niemiecka uwiedziona wyższemi zarobkami w granicach państwa niemieckiego, chętnie szuka pracy w Bawaryi i Saksonii (58), — to w ten sposób

powstaje odwrotna kolonizacya kraju, w któréj żywioł niemiecki powraca w granice państwa niemieckiego, a w miejsca przez to opróżnione zaraz wciska się element słowiański (59).

Z wielkim téż żalem notuje p. Türck coraz częstsze fakty wykupywania ziemi w Morawii i w Czechach przez Słowian z rąk niemieckich. Założone przez Niemców kasy oszczędności ułatwiają Czechom i Morawianom gromadzenie kapitałów, używanych potém na wyplenienie żywiołu niemieckiego.

Wszystkie te przyczyny zesłowiańszczenia Czech są dla nas zrozumiałe, ale p. Türck przytacza jeszcze parę innych przyczyn czysto psychologicznego porządku, które dla nas są niezrozumiałe. Pierwsza ta, że dzieci z małżeństw mieszanych Czecha z Niemką, a szczególniéj Niemca z Czeszką,—są zwykle Czechami (61). Druga ta, że jeśli obowiązkowo wprowadzonym zostanie do szkół średnich w Czechach język czeski, to przez to upadnie dotychczasowa dzielność i gruntowność elementu niemieckiego w Czechach, bo czas na tę naukę poświęcany musi być odjętym od studyów na innemi przedmiotami (49). Trzecia, że jeśli rodzina niemiecka umié równie dobrze po czesku, jak po niemiecku, to w następnéj generacyi stanie się stanowczo czeską (23 i 73). Daje on zaraz taki przykład: na Morawii, w okolicach miasta Znajm, gdzie wsie czeskie graniczą z niemieckiemi, był zwyczaj wymiany czasowéj dzieci między wsiami czeskiemi i niemieckiemi dla nauki języka [1]). „Ten zwyczaj zadał niemieckości najcięższe klęski... wielu Niemców, gdy się tylko paru czeskich wyrazów nauczy, chełpią się nimi zaraz i tracą całą dumę niemiecką. Czeski chłop nie uczy się po niemiecku, a jeśli się nauczy, to nie mówi nim chyba w ostateczności.” Wytłómaczyć to zjawisko możnaby tylko wyższością, pod pewnemi względami, kultury i żywotności w elemencie czeskim, czego uczynić jednak—wobec pewności pana Türcka o wyższości kultury germańskiéj — zrobić się nie ośmielimy.

Czechy są krajem dość wielkim i dość bogatym na to, aby w nim oba szczepy: niemiecki i czeski żyły w zgodzie — mówi p. Türck (str. 16) — ale pycha, zuchwalstwo, upór, „wściekła nienawiść Czechów do Niemców — i ta idea Przemyślidów” (pokrewna wynalezionéj przez hakatystów w Poznańskiém idei Jagiellońskiéj), zaślepia Czechów i pędzi ich na oślep, do żądania zupełnéj autonomii politycznéj dla krajów korony św. Wacława.” Na to Niemcy żadną

---

[1]) Zwyczaj ten praktykowany jest i w Szwajcaryi pomiędzy rodzinami, pochodzącemi z kantonów niemieckich i francuskich.

miarą zgodzić się nie mogą, bo taka organizacya Austryi — to zguba żywiołu niemieckiego w Czechach, oddanie go w ręce Czechom, którzy umieją wyzyskać z całą bezwzględnością korzyści, jakie daje większość. Wtedy Niemcy zostaliby zgnieceni i musieliby albo wyrzec się swéj narodowości, albo kraj opuścić (str. 23). Na to i państwo niemieckie zgodzić się nie może; — nie może ono zgodzić się na stworzenie niezależnego państwa słowiańskiego, wchodzącego klinem w Niemcy od wschodu, pod samo Drezno, aż do wnętrza Turyngii. Odebrałoby mu ono powietrze i nie dało swobodnie odetchnąć (52). Byłoby ono jak psiak wiecznie szukający i gotowy ciągle chwytać za łydki (51). To państwo węzłami krwi ściśle związane z Rosyą byłoby gotowe zawsze służyć za ogniwo połączenia z Francyą (21), co nie jest możliwém z punktu widzenia interesów państwa i narodu niemieckiego. Naród czeski dąży więc do zguby, — bo 50 milionowe państwo niemieckie nie może patrzéć obojętném okiem na losy, ucisk i wynarodowienie 8,000,000 Niemców w państwie austryackiém, — w tém wschodniém przedmurzu germanizmu, broniącém go od Hunnów, Awarów, Węgrów i Turków (44, 47). Koło dziejów powszechnych nie zejdzie z drogi dla 6 milionów Czechów, ale rozgniecie ich jeśli mu na drodze staną; w charakterze obecnéj epoki historycznéj leży ten rys zasadniczy: że tylko wielkie państwa i wielkie narody mogą istniéć obok siebie, że małe ludy w coraz bardziéj zaostrzającéj się walce o byt znikają (53). O tém Czesi dobrze wiedzą i stąd téż pochodzi ich roznamiętnienie, fanatyzm, wściekła nienawiść (12), dążność do walki o wytępienie (34), do wojny na noże (34) z Niemcami, którzy, jak dotąd, w téj walce byli zawsze stroną słabszą i przegrywającą (34). Wielkiém nieszczęściem dla Niemców czeskich było to, że Marya Teresa tak dobrze broniła w XVIII-ym wieku swych krajów, bo gdyby wtedy były się Czechy dostały Prusom i Bawaryi, dziś nie byłoby mowy ani o czeskim języku, ani o czeskim narodzie; byłoby się sprawdziło to, co przepowiadał im Pelcel na początku wieku, że spotka ich ten los, co Wendów w Niemczech.

Epoki przewagi żywiołu niemieckiego w Czechach były epokami umysłowego i ekonomicznego rozwoju dla całego kraju, — epoki prześladowania Niemców epokami największych klęsk (45). Dzisiejszy stan rzeczy czyni dla Austryi sojusz z Niemcami niemożliwy (46), a czy państwo Austryackie istniéć będzie bez oparcia się na elemencie niemieckim, o tém nikt nie wié (27) Naród czeski mógłby grać jakąś rolę wśród austryackiego drobiazgu narodowościowego,— lecz jeśli na własną rękę robić politykę zamierza, jeśli cały naród

niemiecki do walki wyzywa i uparcie mu czoło chce stawiać, — wtedy zginąć musi (str. 53).

* *
*

Jak dalekiemi są te przekonania, te cele, te przepowiednie— od tego, co na przełomie XVIII-go i XIX-go wieku przepowiadali Herder i Jahn?

Co do nas, komentarzy dorbiać nie będziemy, ale wyciągniemy tylko jeden wniosek. W ostatnich czasach szybko bardzo rozpowszechnia się mniemanie, że śród ludzkości „rasy posiadają cechy psychologiczne niemal tak stałe, jak ich cechy fizyczne, — że podobnie jak gatunek anatomiczny, tak i gatunek psychologiczny, przeobraża się tylko przez wiekowe nagromadzenie zmian, — że każdy lud posiada pewną organizacyę umysłową równie stałą, jak jego cechy anatomiczne'' [1]).

Wobec tego, cośmy słyszeli od Niemców o Niemcach, całe to twierdzenie z zakresu psychologii narodów wydaje się nam bardzo wątpliwém.

St. Piotrowski.

---

[1]) Le Bon. „Psychologia rozwoju narodów'', str. 165 i 5.



Pielgrzymka mojéj duszy.

PRZEZ

Wiktora Balaguer'a.

I.

Wybiła północ — gdy naraz powstała we mnie dusza i rzekła:

— Odchodzę — Pani twoich myśli chce, abym poszła odwiedzić miejsca, które przebiegaliśmy niegdyś razem, ty i ja, śpiéwając na cześć: wiary, ojczyzny i miłości. Powrócę, gdy świtać zacznie; dzień się narodzi, rosa dyamentowa, w uczucia bogata, ozdobi kwiaty deszczem z pereł, a ptaki ranne rozpoczną swe pienia miłosne i zanucą hymn do jutrzenki.

Wyrzekłszy to, wzbiła się w przestworza, pozostawiając w białym i czerwonym domku [1]) samotnego, bom został bez niéj.

Im wyżéj wznosiła się ku niebiosom, tém czystszą i bardziéj uskrzydloną się czuła, a przelatując nad wybrzeżem suburskiém, gdzie kamienny Garraf [2]) wznosi swój szczyt skalisty, ujrzała u swoich stóp

---

[1]) Dom św. Teresy w Villanueva, gdzie autor napisał ten poemat, ma białą i czerwoną fasadę.

[2]) Prześliczne miasteczko Sitges, dawniéj Suburą, zwane u stóp góry Garraf, nad brzegiem morza, w pobliżu miasta Villanueva. (*Przyp. aut.*).

ciągnącą się piękną równinę, zroszoną przez szumiący Lobregat; a unosząc się nad Barceloną, tém szlachetném miastem o hrabiowskim dyademie, zaintonowała psalm miłości z lat moich młodzieńczych.

II.

Psalm Miłości.

Jest-li kto potężniejszy odemnie?

Niebo i ziemia oddają mi hołd, jednego chwałą, drugiéj światłem jestem. Jam królowa i pani: mórz, gór i ziemi, gdy spokój na niéj panuje lub walka wre zacięta, jam władczynią niebios, czy słońce na nich świéci, czy je ciemności ogarniają.

Pewnego dnia świat starożytny ze zdziwieniem i przestrachem ujrzał walące się swe bogi i ich ołtarze; jeden bóg tylko, jeden przybytek ocalał wśród tych ruin, była to moja świątynia i mój ołtarz.

Rzymska westalka i hetera z Koryntu, niewolnik i matrona, plebs i kapłani, królowie, ziemia wszystka, tłum pogan składa mi swoją daninę, poddając się moim prawom.

Żyłam czarodziejskiém życiem Olimpu, dodawałam siły i odwagi przykutemu do Kaukazu łańcuchem Prometeuszowi, byłam na Golgocie u stóp krzyża wraz z Magdaleną, tą świętą grzesznicą.

Jam jest westchnieniem, muzyką, poezyą i pieśnią; największą z rozkoszy i najokrutniejszym z bólów, gwiazdą na niebie, a słońcem na ziemi, jam hymnem serc zrozumiałym dla wszystkich.

Żyję w świetle rozkosznego promienia wytryskającego z iskrzących się oczu dziewicy, jestem wonném tchnieniem, ulatującém ze słodkich ust różanych jako westchnienie, lub wybuchającém w pocałunku.

Jestem wonią owych kwiatów, rozkwitłych z tajemniczych pieszczot, któremi darzą się duchy bujające w przestrzeni, oddechem moim napawam samotne lasy, gdy w objęciach nocy ulatuję w przestworza.

Błyszczę w srebrnéj nitce przezroczystéj wody fontanny, spadadającéj w muszlę z marmuru, i spoczywam na łonie purpurowéj chmury, rozciągniętéj o zmierzchu nad horyzontem.

Poruszam — serca ludzkie, blasku dodaję wejrzeniom niewieścim, darzę — rozkoszą i szczęściem, posiadam wizye cudowne, czarowne obrazy i zachwycające widzenia o magicznych blaskach.

Wspaniałe gwiazdy otoczone świetlanemi kręgi, fale złota i róż toczące się w nieskończoność, gorące prądy w dni upalne i jasne nimby w noce miłosne.

Kwiaty, ptaki dziwnego uroku, wonie upajające, białe motyle o świetnych skrzydłach i rytmiczne kadencye pieśni nieznanych.—Zamieszkuję otchłanie i szczyty, jestem ogniskiem niewidzialném świetlanego eteru, żyję wśród aniołów i dzikich zwierząt, nadaję niebiosom barwę błękitu, a blaski różane chmurom.

Wszystko, co oddycha i wzrasta, porusza się i żyje pod niebieskiém sklepieniem, tylko przezemnie istnieje, mną oddycha, przezemnie używa najwyższéj rozkoszy i szczęścia.

Kołyszę się w pustych kręgach atmosfery, wznoszę się na chmurze ku niebu i w promieniu słonecznym spływam na ziemię. Nie ma męża, któryby przezemnie nie posiadał choć cienia tajemnicy, ani kobiéty przezemnie niepocieszonéj.

Jestem świętością i występkiem, aniołem i szatanem, grzechem i cnotą, zbrodnią i zemstą. Bezemnie noc nie miałaby ciemności, ani dzień światła.

Jam niewyczerpaném źródłem słodyczy, ja nauczyłam kochać ludzi — na ziemi, aniołów — na wysokościach, zwierzęta—w lasach i potwory—w głębinach morskich.

Ukrywam się we mgłach osłaniających brzegi rzeki, spotkać mnie można w kolorach tęczy, w iskrzącém świetle gwiazdy porannéj i w srebrnéj smudze, która na spokojném morzu w noc księżycową kréśli na toni drogę do nieba.

Drgam w fosforycznym płomyku błędnego ognika, w niepewném świetle zmierzchu, szemrzę w gęstych, ciemnych gałęziach drzew, a fale morskie usypiają mnie w swoich ramionach.

Gościem jestem pałaców i chatek; rozkoszą tych, co oczekują; pociechą tych co cierpią. W bogate ogrody przemieniam nagie skały, a cienie nocne—w świetne blaski.

Jestem czarodziejskiém światełkiem uczciwéj miłości małżeńskiéj, a w nieczystych saturnaliach upajającym płomieniem wonnéj kadzielnicy.

Duchem powietrznym, różaną jutrzenką, pochodnią w ciemności, wonią kwiatów, pięknem i błogosławionem słowem naszego Boskiego Odkupiciela.

Jestem miłością!

III.

Droga do Montserratu [1]).

Skończywszy psalm, dusza moja, unosząc się wyżéj, coraz wyżéj, ku gwiazdom, gdzie znajduje się wieczna zagadka bytu, zwróciła nagle lot swój ku Montserratowi, téj świętéj górze, rysującéj się mglistą sylwetką w półcieniu.

Gwiazdy i nimby otaczały górę, o któréj krążą całe cykle legend — świetlaną ramą, a lazurowe niebo, iskrzące się gwiazdami, zdawało się być płaszczem Najświętszéj Maryi Panny.

Gorejące ogniska niewiadomego pochodzenia; jasności o barwach nieznanych; niebiańskie harmonie nigdy nie słyszane; nieuchwytne, tajemnicze szmery powstały naraz w ciemnościach.

Błysnęło światło. — Rozproszyły się cienie nocne; zbudziły ciche sny; wśród niebiańskich blasków, spowita w tęczę, wychylająca się z obłoków złota i purpury, okolona żywemi wieńcami aniołów i serafinów, czystsza nad światło, gdy świtać poczyna, i piękniejsza nad niebo i słońce, ukazała się — Cudowna Dziewica.

IV.

Hymn duszy do Świętéj Dziewicy.

Witaj Maryo! Królowo i Matko, życie, słodyczy i nadziejo nasza.

Do Ciebie wołamy wygnani synowie Ewy.

Litości!

Do Ciebie wołamy i wzdychamy, o łaskawa, o miłościwa, zawsze słodka Maryo Panno, Matko Boża.

Litości!

Zwróć ku nam Twoje spojrzenia, Pani i Orędowniczko nasza, i uczyń nas godnymi łaski Twojéj.

Litości!

Tobie Pani, Błogosławiona Dziewico, Perło Święta, Światłości Niebieska, Tobie poświęcam: serce moje, marzenia, myśli, nadzieje,

---

[1]) Góra Montserrat około Barcelony, stoi na niéj klasztor i kościół, w którym się znajduje cudowny obraz Matki Boskiéj, czczony bardzo przez Katalończyków. *(Przyp. tłóm.)*.

wszystko, co w każdém tchnieniu mojém jest — życia i całą wiarę duszy mojéj.

O Matko! — Jesteś jasną gwiazdą niebios; mieszkaniem Boga, przystanią, nadzieją i zbawieniem rozbitków tego życia. Dla tych, co cierpią, jesteś o Pani Świętém Miłosierdziem i Łaską, a Opiekunką tych, co wierzą — Święta Maryo Matko Boża.

Gdy nadejdzie ostatnia moja godzina, Królowo Aniołów, Lilio Niebieska, uczyń, abym, zanim oczy zamknę na zawsze, ujrzała wśród złocistego dymu kadzideł, otoczonych chwałą, trzech dobrych Aniołów, którzy byli wiernymi i jedynymi towarzyszami mego żywota: słodką Miłość, matkę Ojczyznę i świętą Wiarę.

Wtedy spełni się gorące pragnienie moje i kiedy w ich objęciach ulatywać będę w sfery nadziemskie, z ust mych spłynie ostatnia prośba.

— Wstaw się za mną przeczysta Dziewico, Święta Maryo, Matko Boża!

V.

Zgromadzenie umarłych.

W mgnieniu oka przeniosła się dusza moja z Montserratu do Pirenejów i przybyła właśnie w chwili, gdy poczęli się zbiérać umarli.

Nad brzegiem Ariege'u, rzeki o złotym piasku, wznosił się ogromny zamek, groźny nawet dla potęgi papieży i królów, tu bowiem miały siedlisko — honor i odwaga.

Dziś jest on tylko wspomnieniem.

Runęły niebotyczne wieże, a przez szczeliny widać straszne przepaści, które w dawnych czasach za fosy i kryjówki służyły załodze.

Obecnie, tutaj zbiérają się i gromadzą zmieszani w jedną masę, ciągnąc za sobą draperye szat pośmiertnych, nieuspokojone jeszcze cienie przodków.

Są tam wszyscy, którzy niegdyś brali udział w historyi Prowancyi—męczennicy w jéj uroczystościach i walkach.

Nieustraszony tedy rycerz i władca królestwa, bogaty baron, schodzący ze szczytu góry, aby rabować okoliczne ziemie, trubadur wytworny i tkliwy, o obyczajach nomady, uczony Albigens, znany z cnót i wypróbowanego męstwa, hrabia-król, który ponad wszytkie trony i berła świata chciał wywyższyć swój wieniec hrabiowski [1]; daléj

---

[1]) Dyadem hrabiów Barcelony, a potém królów aragońskich; w pierwszych czasach był to wieniec w formie korony hrabiowskiéj. (*Przyp. aut.*).

damy, królowe i władczynie serc na turniejach miłosnych i w *Puys de gentileza* [1]).

Wszystkich tych spotkała dusza, podczas swojéj wądrówki, na wiecu umarłych i tam usłyszała ostatniego z trubadurów tych gór, śpiéwającego tak swój ostatni *Sirventesio* [2]).

VI.

Sirventesio.

1.

Składam tu wiązankę bolesnych wspomnień z onych czasów, gdy niecny Monfort, posługujący się piorunem zamiast szabli, wpadł — do Prowancyi, ojczyzny miłości, gdy zgłodniali mieszkańcy północy przybyli do téj ziemi, jak gromada wilków, a ciała ludzkie służyły za drwa do podsycania ognia [3]) i gdy okrzyk śmierci zabrzmiał na zamku o trzech czerwonych wieżycach [4]).

2.

Co za okrzyk! — Rozbijał się po szczytach, dziki, okrutny, aż Pireneje wzdrygnęły się i odpowiedziały mu echem.

Był to jęk bólu, jakiego nie słyszano dotąd nigdy.

Jeszcze teraz powtarza się niekiedy w burzliwe noce, wśród huku grzmotów i wycia wichrów, gdy Pireneje pękają i drżą w swoich posadach z granitu, żelaza i bronzu.

3.

Wznosi się ten okrzyk, gdy skały wstrząsane trwogą, najeżone błyskawicami, zdają się wybuchać łkaniem; sosny chylą iglaste korony, na wzór fal spienionego morza, gdy, zapalając chmury, spada straszny piorun, a głuchy grzmot z wierzchołków stacza się w przepaści.

---

[1]) Tak nazywano wielkie zgromadzenia, festyny, które odbywały się w różnych okolicznościach na *puig* czyli *puy* (szczyt), gdzie zazwyczaj znajdował się zamek lub klasztor. *(Przyp. aut.).*

[2]) Rodzaj poezyi satyrycznéj trubadurów prowansalskich, używanéj także jako pieśni wojennéj. *(Przyp. tłóm.).*

[3]) Kiedy został zburzony zamek de Montsegur, ostatni szaniec prowansalskich Albigensów, w ciągu jednego dnia inkwizycya kazała spalić 200 więźniów mężczyzn, kobiet i dzieci.

[4]) Zamek de Foix. *(Przyp. aut.).*

4.

Wtedy brzmi okrzyk, i głos żałosny woła:

— „Trzeba umiérać!"

To hrabia de Foix, żywcem zagrzebany w swoim granitowym zamku, wznosi ten okrzyk ku ziemi i niebiosom, do tych którzy się narodzili i do mających się narodzić, do żywych i umarłych. Prowancya go usłyszała, a Pireneje tracąc najmilszą swą córę, powtórzyły:

— „Trzeba umiérać!"

I odtąd noszą żałobę po świecie romańskim.

5.

Upadli panowie de Foix i wraz z nimi Prowancya.

O, Pireneje! Prowancya, która była z krwi i kości waszych, a sercu waszemu najbliższą.

Zniknęli synowie wasi; rasy ich, zamki, królestwa. Widziałyście zabitych, uciekających nakształt wichru, bohatérów przeszłych wieków, ludzi innych ras i świętych innych niebios.

6.

Wy jednak żyjecie, o Pireneje! Wy, które nie mogąc pomieścić się w jednym, należycie do dwóch krajów; łącząc je i dzieląc zarazem.

Żyjecie dotąd z waszemi szmaragdowo-złocistemi łąkami, huczącemi rzekami, a omszałemi zamkami na szczytach waszych.

7.

Żyjecie i będziecie zawsze drogą, wiodącą od jednego morza do drugiego. Żyjecie i dziś jeszcze; skaliste wasze łańcuchy są schronieniem olbrzymów.

W głębiach waszych przepaści rozlega się głos rogu Roncewalskiego i trwa wiecznie pamięć o tułających się, skazanych na śmierć Albigensach ukrytych w grotach Ornolaku [1]). — Dotąd rosną sosny, pod któremi Rzymianie rozbijali swe namioty.

---

[1]) Idąc za biegiem rzeki Ariege, autor miał sposobność zwiedzić doliny Ornolaku i ogromne groty, w których, jak głosi podanie, ukrywali się długo skazani Albigensi przed prześladowaniem i mordem. (*Przyp. aut.*).

8.

Odżyje sława wasza i razem z nią wasz wódz i rycerze. — „Trzeba umiérać, aby żyć!" — Okrzykowi śmierci wzniesionemu przez hrabiego de Foix, wśród ciemności krwawéj nocy, odpowié radośnie pełen wesela, głos waszego przeznaczenia.

I powrócą dni przeszłych czynów, a na wieżycach znowu powieje, jako symbol zwycięstwa — chorągiew romańska.

9.

O, sławne góry! Byłyście kolébką i grobem naszéj przeszłéj chwały. — Wyniosłe Pireneje, słoneczny domie ludu romańskiego, nadejdzie — widzę nawet... jak nadchodzi już dzień, w którym bard na szczytach skał waszych zatknie dwukolorową banderę Iberyi, wołając:

— „Sława i pokój wam, ziemie limuzyńskie i tym, co mówią i czują po limuzyńsku."

VII.

Powrót.

Już świt rumienił niebiosa, gdy dusza moja, skończywszy pielgrzymkę, opuściła Pireneje, wznosząc się w przestrzeń, aby odbyć napowrót tę samą drogę.

Potężna, odrodzona jak feniks z popiołów, silna miłością i wiarą; tchnąca: tkliwością, rozkoszą, szczęściem, jasnością i życiem—wracała!

Dodały jéj wiary tajemnice i cuda znalezione na górze świętéj; obdarzyły ją uczuciem słodkie echa młodości; wlały w nią nowe życie wspomnienia ojczyste, zebrane z podań pirenejskich, ogrzały ranne blaski, które roztacza na niebie uśmiéchnięta jutrzenka, i wróciła do mnie szczęśliwa, wesoła, nucąc pieśń o ziemiach limuzyńskich.

VIII.

Pieśń o ziemi limuzyńskiéj.

O ziemio limuzyńska!

Raju pełen harmonii, światła i wdzięku, jak cudną, jak piękną jesteś!

Na lazurowém morzu żagiel romański, pod niebem gwiaździstém — ogniste słońce, roje ptaków po lasach i gajach, sławne grody,

morza kwiatów, zielone oliwki, palmy afrykańskie i jabłoni złotych woniejące drzewa.

Ziemio limuzyńska! Ziemio serca mojego! Kraju [1]) miłości, wesołych trubadurów, gdzie rosną i żyją w zgodzie drzewa podzwrotnikowe i śniegi północy.

Morze oblewające srebrnemi falami złociste piaski, upajające powiewy, wielkie namiętności, wonie w atmosferze, żar w sercach, ojczyzna pełna chwały, ziemia olśniewająca miłością.

O ziemio limuzyńska! Ziemio serca mojego! Ziemio limuzyńska płonąca światłem i barwami, gdzie ptak śpiéwa o każdéj godzinie, a miłość we wszystkich sercach płonie. Jesteś w legendzie — słowikiem sławy, w epopei — sztandarem honoru, masz najszlachetniejszą historyę czynów i w świecie całym najpiękniejsze kobiéty. — Brzegiem twoim — fale morza romańskiego, granicą — skały Pirenejów.

O ziemio limuzyńska! Ziemio serca mojego! Romantyczna ziemio miast ojczystych, czci i honoru, rozkoszy; jak piękną, jak cudowną jesteś i jak ukochaną!

Tłómaczyła z hiszpańskiego
Regina Szymońska.



---

[1]) Jest tu mowa o ziemiach: Rousillonie, Katalonii i Walencyi, zwanych dawniéj Marca de España. (*Przyp. aut.*).

MŁODOŚĆ SZEKSPIRA.

FRAGMENT. [1])



....W r. 1851 najznakomitszy wówczas znawca Szekspira w Niemczech, Delius, chcąc oddzielić kąkol od pszenicy, wziął się do krytycznego zbadania szczegółów zawartych w rozmaitych życiorysach Szekspira. Rezultat tych badań był smutny i doprowadził go do przekonania, że każda prawie biografia, osnuta na hipotezach i domysłach, ma się tak do zasobu faktów niezbicie autentycznych, *wie eine fette Kuh Pharaonis zu einer mageren* [2]). „Tryb życia Szekspira urozmaicono rysami wziętemi z „Romea", „Leara", „Henryka IV", za przykładem czarownic z „Makbeta", które w swym kotle prażą razem najrozmaitsze ingredyencye. Dodano jeszcze mnóstwo anegdot, których motywa wzięto z jego komedyi i w ten sposób stworzono całość fantastyczną" [3]).

Zdanie to o tyle tylko jest uzasadnione, o ile odnosi się do anegdotycznych szczegółów przekazanych przez tradycyę, nie popartych żadnemi dowodami stanowczemi. W ostatniém czterdziestoleciu szeks-

[1]) Jest to wyjątek z obszerniejszéj pracy, omawiającéj spór o autorstwo dzieł szekspirowskich, zwróconéj przeciwko zwolennikom autorstwa Bacona.

[2]) *Der Mythus von W. Shakspere. Eine Kritik der Shakspereschen Biographie* von Nicolaus Delius. Bonn, 1851, str. 6.

[3]) Tamże, str. 7.

pirologia zdobyła sporo rezultatów; jakkolwiek zawsze jeszcze niektóre okresy w życiu genialnego poety pokryte są gęstą zasłoną, ogólne kontury zarysowują się wyraziście, a logiczne rozumowanie, ścisłe i ostrożne, hipotezy oparte na racyonalnych podstawach uzupełniają je wystarczająco i stanowczo zaprzeczają teoryi, przypisującéj Baconowi autorstwo dzieł szekspirowskich.

Zresztą Szekspir nie jest jedynym z ówczesnych pisarzy angielskich, o którym nie pozostały żadne prawie bezpośrednio autentyczne wiadomości. O niezwykle zdolnym Massingerze nie posiadamy absolutnie żadnych szczegółów biograficznych; młodość Spencera pokryta jest szczelną zasłoną; o twórcy tragedyi angielskiéj Marlowie zachowały się zaledwie bardzo skąpe i to zupełnie sprzeczne wiadomości. Nie znane jest miejsce i rok urodzenia Draytona, mnóstwo baśni ukuto na rzecz Ben Jonsona; Leonard Digges, sławny w drugiéj połowie XVI-go wieku matematyk, architekt, astronom i pisarz, pochodził ze staréj, znanéj powszechnie rodziny, był *gentlemanem* w całém tego słowa znaczeniu, a mimo to nieznany jest zupełnie rok jego urodzenia i rok jego śmierci. Poprostu nikt się wówczas nie troszczył o zachowywanie szczegółów biograficznych z życia najlepszych i najwybitniejszych w narodzie.

Osią, około któréj obraca się cała argumentacya przeciwników Szekspira, jest twierdzenie, że, nie posiadając żadnego wykształcenia, nie mógł być autorem dzieł, które pod jego nazwiskiem były i są przedstawiane i wydawane, — w których złożone są takie skarby wiedzy i mądrości. Nie mógł zaś zdobyć tego wykształcenia i téj wiedzy, ponieważ nigdy w swém życiu do szkoły nie uczęszczał, a choćby nawet, to niczego tam się nie nauczył. Zresztą pochodzenie, stosunki domowe jego rodziców, tryb życia w latach młodocianych stanowczo przemawiają przeciwko możliwości, aby mógł się rozwinąć w tak genialnego pisarza. Na pozór, w pierwszéj chwili, twierdzenie to wydaćby się mogło prawdziwém, słusznem i uzasadnioném, po bliższém jednak zbadaniu przekonywujemy się, że tak nie jest.

Ojciec Williama, John Szekspir przybył do Stratfordu nad Avonem w r. 1551 i osiedlił się tu stale, wykonywując rzemiosło garbarskie i rękawicznicze. W r. 1556 nabył dom, w którym późniéj stała kolébka największego geniusza Anglii, a w r. 1557 ożenił się z Mary Arden, córką zamożnego fermera, za którą wziął znaczny jak na owe czasy majątek. Zakupiwszy obszerne grunta, uprawiał rolę, handlował zbożem, bydłem, wełną, rzemiosłem zaś mniéj się już trudnił, chociaż zapewne — jak to było powszechne w tym czasie po małych miasteczkach prowincyonalnych—sam przerabiał wyprodukowane w swém

gospodarstwie płody, rżnął woły, wyprawiał skóry, był więc rzeźnikiem i garbarzem, strzygł owce i t. d. i t. d. Ożenienie przyczyniło się znacznie do polepszenia jego stanowiska społecznego, gdyż matka Williama pochodziła z dawnéj, powszechnie w okolicy szanowanéj, i — jak nawet przeciwnicy Szekspira przyznają — „wyżéj towarzysko położonéj" rodziny. Wskutek téj koligacyi i coraz to zwiększającego się majątku — gdyż z czasem nabył kilka ferm i domów w Stratfordzie i okolicy — John Szekspir stał się człowiekiem wpływowym w mieście, a współobywatele zaczęli mu powierzać rozmaite godności autonomiczne. W r. 1568 wybrano go burmistrzem *(highbailiff)*, a w r. 1571 pierwszym *aldermanem* miasta.

Ciężką i uczciwą pracą zdobył sobie ojciec Szekspira stanowisko wybitne i majątek, inteligencyi musiał miéć sporo, gdyż inaczéj nie powierzanoby mu tak ważnych urzędów. Matka Williama pochodziła z rodziny nietylko „wyżéj położonéj towarzysko", ale liczącéj się do *gentry* hrabstwa Warwick. Oboje nie posiadali wprawdzie wiele wykształcenia, ale poziom intelektualny, panujący w ich domu, nie był tak niski, jak tego chcą zwolennicy Bacona; nie byli to „ludzie prości, brudni (*sic*), bez najmniejszéj inteligencyi", jak twierdzi Donnelly, który dowodzi również za przykładem swych poprzedników, iż „nie ma najmniejszego dowodu, przemawiającego za tém, że William Szekspir uczęszczał do jakiéjkolwiek szkoły, a jeżeli, to co najwyżéj tylko do szkółki wiejskiéj, w któréj niczego się nauczyć nie mógł, bo chodził do niéj co najwyżéj dwa lata" [1]).

W Stratfordzie istniała tylko jedna, jedyna szkoła *(Grammar-School)* założona jeszcze w r. 1402; korzystać z niéj mogli tylko chłopcy urodzeni w Stratfordzie, jeżeli ukończyli już siedm lat życia, a umieli czytać i pisać. Nauka szkolna odbywała się latem i zimą, w lecie od godziny szóstéj rano do szóstéj wieczorem, w zimie zaś przez dzień cały aż do zmroku, — rozumié się z przerwami dla posiłku i zabawy. Głównym przedmiotem nauki była łacina, chłopcy uczyli się gramatyki, tłómaczyli *Sententiae pueriles*, późniéj Owidiusza, Wergila i Cicerona. W rzędzie innych przedmiotów nauki znajdowały się także elementa logiki i retoryki. Nauka była bezpłatna [2]).

---

[1]) J. Donnelly: *The Great Cryptogram: Francis Bacon's Cipher in the so-called Shakespeare-Play*. London, 1888, tom I, str. 38. — K. F. Graf Vilethum von Eckstädt: *Shakespeare und Shakspere. Zur Genesis der Shakespeare-Dramen*. Stuttgart, 1887, str. 49.

[2]) *The Bacon-Shakespeare Question answeres*. By C. Stopes. London, 1889, str. 7 i 232. — *William Shakespeare* von Karl Elze. Halle, 1876, str. 41. — Georg Brandes: *William Shakespeare*. Paris, Leipzig, München, 1896, str. 9.

Trudno przypuścić, żeby obywatel zajmujący tak wybitne stanowisko, burmistrz, ławnik, jeden z najzamożniejszych mieszczan, nie uważał za swój obowiązek posyłać syna do szkoły, dążyć do tego, aby syn zdobył sobie pewien zasób wykształcenia, którego brak jemu samemu musiał się nieraz dać uczuć dotkliwie. Trudno przypuścić, żeby tak nie było, tém bardziéj, iż posyłanie do szkoły nie było połączone z żadnemi trudnościami i przeszkodami, nie pociągało zresztą za sobą żadnych kosztów. Jeżeliby nawet ojciec o tém nie pomyślał, pamiętała zapewne matka, któréj leżało na sercu, aby jedyny syn — obie córki wcześniéj urodzone zmarły wkrótce po przyjściu na świat—pozyskał wykształcenie stosowne do stanowiska i majątku, którego mógł się jeszcze wówczas spodziéwać.

Ale nietylko logiczne a bezstronne rozumowanie doprowadza do tego wniosku, ma on za sobą argument poważniejszy. W r. 1709 wyszło zbiorowe wydanie dzieł Szekspira, a przy niém i pierwszy życiorys poety, napisany przez N. Rowe, oparty na opowiadaniach i wspomnieniach współczesnych Szekspirowi, jak i na żywéj wówczas jeszcze tradycyi. Późniejsze badania wykazały w nim wprawdzie sporo błędów i niedokładności, szczególnie w części anegdotycznéj, ale nie naruszyły ogólnych konturów biegu życia poety, nakreślonych tu po raz pierwszy w całości. W rzędzie szczegółów niezbitych podziśdzień żadnym poważnym argumentem znajduje się także wiadomość, iż Szekspir uczęszczał do jedynéj w swém mieście rodzinném szkoły, z któréj wyniósł spory zasób wykształcenia, a szczegolnie niezłą znajomość łaciny. Widzimy więc, że najdawniejsze wieści o życiu Szekspira nie stoją wcale w sprzeczności z rozumowaniem logiczném, a nawet stwierdzają je dobitnie. Wobec tego odpadają twierdzenia zwolenników Bacona gołosłowne, nie poparte żadnym argumentem, świadczące tylko o niewiadomości, albo złéj woli. Jak więc zarzut główny przeciwników Szekspira, zarzut zupełnego nieuctwa, zaczyna się przedstawiać jako oparty na umyślném, albo przypadkowém przekręceniu faktów, tak samo ma się rzecz i z innemi.

Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa Szekspir pozostawał w szkole aż do roku 1578, to jest aż do ukończenia czternastego roku życia, mógł więc siedmioletnią nauką szkolną zdobyć niezłą podstawę do późniejszego kształcenia się własnemi siłami.

Oprócz wiadomości pozyskanych w szkole, Stratford dał Szekspirowi inne jeszcze podstawy ogólnego wykształcenia. Rok rocznie uczniowie szkoły stratfordzkiéj urządzali amatorskie przedstawienia teatralne; według tradycyi pierwsze tego rodzaju przedstawienie odbyć się miało w r. 1569, a więc na dwa lata zanim Szekspir wstąpił do szko-

ły. Prawdopodobnie i jemu przypadło w udziale czynne uczestnictwo w wykonaniu jakiegoś średniowiecznego misteryum, budząc wcześnie ukryte w duszy młodego chłopca zamiłowanie do sceny. Miał on jednak sposobność poznać rychło i inne dzieła tak bogatéj już wówczas dramatycznéj literatury angielskiéj. Co roku, a czasem nawet kilka razy na rok przybywały do Stratfordu wędrowne trupy teatralne i dawały szereg przedstawień. Po raz pierwszy przywędrowali tam tacy goście w roku 1568-ym, gdy ojciec Szekspira był burmistrzem miasta, a w ośmnastoletnim okresie, — między rokiem 1569 i 1587, — odwiedziły Stratford 24 sceny wędrowne. Były to często towarzystwa aktorskie z Londynu, liczące się wówczas do najlepszych, a więc trupa królowéj, aktorowie lordów Leicester, Worcester, Warwick i inne. Zwyczajem było powszechnym i ściśle przestrzeganym, iż aktorowie po przybyciu do miasta przedstawiali się najpierw burmistrzowi i ławnikom, prosząc o pozwolenie występowania w mieście, a potém dopiéro dawali pierwsze przedstawienie wyłącznie dla tych dygnitarzy i ich rodzin. Nie ma więc wątpliwości, że rodzice Szekspira korzystali z tego zawsze, choćby tylko ze względu na swe stanowisko społeczne i towarzyskie, a także i syna brali wówczas ze sobą, dając mu tém sposobność poznania wielkiéj części repertuaru sceny angielskiéj z epoki odrodzenia narodowego. Wpływ tych przedstawień teatralnych na umysł młodego chłopca, który późniéj rozwinąć się miał w największego geniusza dramatycznego wszystkich czasów i narodów, musiał być ogromny. Czy w lat kilka późniéj, gdy jako młodzieniec widywał na scenie w swém mieście rodzinném najznakomitszego i najpopularniejszego z ówczesnych aktorów angielskich, Burbadga, — czy wówczas już nie zbudziło się w nim pragnienie wstąpienia na drogę, która go doprowadzić miała na takie wyżyny? Czy można wątpić o prawdziwości tradycyi, która mówi, że młody, kilkunastoletni Szekspir starał się i po za sceną widywać aktorów przybyłych do miasta w gościnę i że niejedną noc spędził przy szklance, w wesołém towarzystwie swych rodaków, Burbadga i Heminga, i czy nie za ich namową wyruszył późniéj do Londynu? *Bohème* artystyczna, czy literacka, nęciła zawsze i nęci, pociągała ku sobie i pociąga umysły młode, pełne temperamentu i ognia, bezwiednych pragnień i pożądań, — umysły, którym nie wystarcza filisterski, spokojny tryb życia.

Szkoła dała Szekspirowi jaki taki zasób wiadomości, wczesne zapoznanie się z teatrem, sceną, literaturą dramatyczną wywarło niemały wpływ na wczesne rozbudzenie się wrodzonych mu właściwości psychicznych, ale były i inne jeszcze czynniki, którym zawdzięczał te odrębne

i charakterystyczne rysy, przejawiające się w całéj jego twórczości, które wytworzyły w nim podkład duchowy dalszego rozwoju.

Nie będąc wcale stanowczym zwolennikiem teoryi Taine'a, o „prawach wzajemnéj zależności", — o środowisku *(milieu)* wytwarzającém *la faculté maitresse*, charakterystyczną cechę główną każdego twórczego umysłu, trudno nie uznać doniosłości wpływów, jakie na każdą indywidualność artystyczną wywrzéć muszą stosunki, wśród których wzrosła i przebyła najwcześniejszy, przygotowawczy okres swego rozwoju. Te wpływy otoczenia, epoki, pochodzenia, wzrastając w stosunku im większe jest uzdolnienie i wrażliwość twórczego umysłu, dochodzą u geniuszów do stopnia najwyższego. W danym wypadku dostarczą one nam jeden z najważniejszych dowodów identyczności człowieka i poety, — Szekspira aktora z Szekspirem poetą. Jakież więc mogły być czynniki wpływające na kierunek umysłowego rozwoju Szekspira?

Okolice Stratfordu, to — jak się wyraził nawet wielki przeciwnik Szekspira — „środowisko najpodatniejsze do wczesnego rozbudzenia osobistości posiadających w sobie samych skrę twórczą". — „Kraj to śliczny, i ku własnemu zdziwieniu nie żałuje się uroczéj doliny Tamizy, gdy się zapoznaje z miejscowościami rozsianemi nad Avonem. Przyroda i praca ludzka wysiliły się na odzianie go wyjątkowém pięknem. Nie groźne ono, ani wspaniałe, ale uśmiechnięte, sielskie. Avon i liczne wpadające doń rzeczki i strumienie wiją się w pośród łąk żyznych, bogatego czarnoziemu, wśród lasów dębowych, wśród sadów i parków zachwycających oko bujnością swéj wegetacyi. Na każdym skręcie rzeki nowe krajobrazy stają przed widzem i do każdego ram tylko brakować się zdaje. Zamożne sioła i miasteczka ze śpiczastemi wieżycami kościołów, nurzające się w zieleni fermy, trzody pasące się po łąkach, zielonemi żywopłotami poprzegradzanych: — oto charakter tych okolic" [1]). Kontury pagórkowatych wzniesień faliste, łagodne, zaokrąglone, pozbawione ostrych i zdecydowanych linii; tło krajobrazu zamglone, niejasne, uwydatnia piękność kolorytu i rysunku bliższych oku szczegółów, łączących się w harmonijną całość [2]).

Anglia w okresie młodości Szekspira — to w całém tego słowa znaczeniu *Merry Old England*, pełna wesołości, humoru, zadowolenia, świéżości. Purytańska surowość obyczajów nie zmroziła jeszcze ludności, nie ujęła jeszcze wszystkich objawów życia ludowego w karby

---

[1]) N. Trepka: „U Szekspira".—„Ateneum", r. 1896, t. IV, str. 336—351.

[2]) Piękny opis Stratfordu i jego okolic daje A. Mézières: *Shakespeare, ses oeuvres et ses critiques*. Paris, 1892, str. 2—37; także Trepka, *l. c.*

nieubłaganych, nieprzekraczalnych przepisów, nie wygubiła jeszcze tradycyjnie przechowywanych uroczystości dorocznych, prastarych zwyczajów i obyczajów, przestrzeganych wówczas przez lud wiejski z najwyższą, bałwochwalczą prawie czcią, jako święta spuścizna po długim szeregu pokoleń, po dziadach i pradziadach. Symboliczne uroczystości, powtarzające się rok rocznie w tradycyjnie przekazanych dniach roku, łączyły w sobie poezyę prastarego, powagą i czcią otaczanego święta z wesołością zabawy ludowéj, dochodzącą nierzadko nawet do ostatecznych granic. Śpiewy, tańce, pochody, maskarady,— wszystko to łączyło się w symfonię pełną życia, a nawet i szału. Wieczór Trzech Króli — od którego Szekspir wziął nazwę dla tak swym wdziękiem poetycznym czarującego dzieła, — kończący okres świąt Bożego Narodzenia, dzień ś. Jerzego, uroczystość strzyży owiec, zebrania plonów rolnych, św. Marcina, a wreszcie z największym aparatem najrozmaitszych ceremonii obchodzona uroczystość majowa — oto najważniejsze corocznie powtarzające się obchody [1]).

Hrabstwo Warwick należało do tych stron Anglii, w których najżywiéj i najsilniéj przechowywały się prastare zwyczaje i odwieczne tradycye, przesądy i wierzenia. Staro-angielskie dyplomaty świadczą, że tu najdłużéj opiérało się bałwochwalstwo wpływom chrześciańskim, usiłowaniom misyonarzy. Ballady i opowieści ludowe miały tu grunt podatny do rozwoju. Robin Hood, Adam Bell, Clym o'the Clough, — te i inne legendowe postaci poezyi ludowéj otrzymały tu koloryt lokalny; miejscowe podanie, którego bohatérem jest Guy z Warwicku, stało się jeszcze w XIII wieku przedmiotem opracowania literackiego.

Także i wspomnień historycznych nie brakło w rodzinnych okolicach Szekspira. Sporo tu śladów panowania rzymskiego; za rządów Alfreda Wielkiego przez te strony szła granica między posiadłościami tego monarchy, a terytoryum należącém do Danii. Licznie rozsiane są tu miasta i osady, z któremi łączą się nazwiska słynnych i pamiętnych w dziejach Anglii rodów, wspomnienia ważnych wydarzeń: Warwick, prastara siedziba wielkiego rodu magnackiego, gniazdo, z którego wyszedł bohatér sławny wojen dwu Róż — Ryszard Beauchamp, piąty hrabia Warwick i Ryszard Neville, ten „co w swéj bucie na tron sadzał królów i co ich strącał", jak powiada Szekspir; — Guy's Cliff, zamek

---

[1]) Wiele szczegółów w tym przedmiocie zawiéra: Taine: *Histoire de la litterature anglaise*, część II: *La renaissance*, także i Ph. Stubbes: *Anatomy of the Abuses in England*, wydane przez New Shakspere Society. London, 1872 i 82. Ślady wierzeń ludowych w dziełach Szekspira zestawił T. F. Dyer: *Folk-Lore of Shakespeare*. London, 1883.

lordów Percy, — Kenilworth, którego majestatyczne ruiny dziś jeszcze „przewyższają rzeczywistością wrażenie, jakie sobie o nich każdy czytelnik Walter Scotta uczynić musiał”,—wreszcie Coventry, historyczna posiadłość lordów Leigh i książąt Chandos. Wszędzie naokół ślady i pamiątki walk Białéj i Czerwonéj Róży, Warwick stał po stronie Yorków, Coventry — Lancastrów; koło Coventry zderzyli się działający w Szekspirowskim „Ryszardzie II”: Henryk Bolingbroke i książę Norfolku. Tradycya tych wojen bratobójczych i krwawych, dziesiątkujących najszlachetniejsze rody Anglii, niszczących kraj cały, żywa była jeszcze za młodzieńczych lat Szekspira, bezsprzecznie działając silnie na jego wyobraźnię. Cóż więc dziwnego, iż tę właśnie epokę dziejów ojczystych wybrał on późniéj za temat cyklu wspaniałych „historyi”, — dramatów królewskich...

Te wszystkie wpływy otoczenia, — „środowiska”, — oddziaływały w pierwszym okresie życia Szekspira na umysł drzémiącego, nieświadomego jeszcze swéj siły i potęgi geniusza. Dały mu one więcéj, niżby mu dać mogło najdłuższe nawet przesiadywanie na ławach szkolnych, studya uniwersyteckie w Cambridge, albo w Oxfordzie, stosunki z najbardziéj uczonymi mężami owych czasów, znajomość najrozleglejsza literatury wszech czasów i narodów, a przedewszystkiém odpowiadały najlepiéj wrodzonym jego skłonnościom, organizacyi psychicznéj, nierozbudzonym jeszcze dążeniom i zdolnościom.

Nie wiele mamy wiadomości o młodych latach Szekspira, ale to nie uprawnia wcale do bardzo hazardownego przypuszczenia, że „musiał on wówczas popełnić niejedno wykroczenie przeciw porządkowi społecznemu i prawu własności” (!), — jak twierdzi jeden z jego przeciwników, idąc ślad w ślad ślepo za Donnellym i innymi [1]). Prawdopodobna jest bardzo tradycya, iż młodość Szekspira była burzliwa i nieco awanturnicza. Nie mógł on być flegmatycznym, spokójnym świętoszkiem, żyjącym ściśle według wszelkich reguł i zasad angielsko-amerykańskiego purytanizmu i filisterstwa jego nowoczesnych przeciwniczek. Zbyt wiele miał po temu życia, energii, ognia, temperamentu, który go unosił niejednokrotnie, który musiał wyburzyć się i wyszumić. Zanadto gorliwi wielbiciele jego usiłują zaprzeczyć temu, przeciwstawiając tradycyi o burzliwéj młodości rozsądek, powagę, praktyczność lat późniejszych. *Tout cela n'est contradictoire qu'en apparance*, —

1) Twierdzi to p. Trepka, *l. c.*, str. 343. Przy téj sposobności zaznaczam, iż umyślnie zapożyczyłem kilka określeń miejscowości leżących naokół Stratfordu z opisu zawartego w artykule p. Trepki, a w dalszym ciągu niejednokrotnie tak samo postępuję.

jak słusznie zauważył Mézières. Wieluż to ludzi przeżyło młodość burzliwą i awanturniczą, a mimo to w wieku dojrzałym przedstawiało wzór powagi i rozsądku? Jednostka o charakterze silnym, którego *arrière fond* jest poważny i stały, — mająca w żyłach krew zdrową, a nie sok malinowy, potrafi połączyć namiętności i porywy z praktycznością i rozsądkiem. Przypomnijmy sobie wiersz Heinego:

Wer nie im Leben thöricht war,
Ein weiser war er nimmer,

— a potém dopiéro rozważmy, czy wybryki młodości Szekspira są plamą na jego charakterze, którą usunąć trzeba *coûte que coûte*. Zresztą kontrast pomiędzy Szekspirem-młodzieńcem, a Szekspirem-mężem dojrzałym, zrozumieć łatwo, stawiając sobie przed oczy postać jego i tryb życia w najmłodszych latach.

Był to chłopak zdrowy fizycznie i moralnie, rozwinięty prawidłowo, silny, muskularny, który od dziecka wychowywał się w ciągłém, nieustanném zetknięciu z otaczającą go piękną przyrodą. Swawoląc z innymi dzieciakami, wyrywał się za miasto na pobliskie łąki i błonia, przylegające bezpośrednio do domu rodziców, — pozostawał tam dni całe w pobliżu ojca pracującego na roli. Późniéj chwile wolne od nauki szkolnéj spędzał na zabawie pod gołém niebem, nie zamykany wśród czterech ścian, ale swobodny i wolny. Od najwcześniejszych lat patrzał codziennie na prace po ojcowskich fermach i rolach,—jako młody chłopak pomagał już czynnie w zajęciach gospodarskich, a w dni świąteczne, w wieczory po całodziennych trudach szukał w gronie rówieśników rozrywki po za miejskiemi murami. Było to życie wiejskie, nie krępowane zbytecznemi więzami, swobodne, rozwijające siły fizyczne ciągłém ich ćwiczeniem, wytwarzające z Szekspira jeden z tych typów zdrowéj i silnéj młodzieży angielskiéj, jakich i dziś nie brak w jego ojczyźnie, a jakie nam tak plastycznie odtwarzają Bourget i Taine w swych „Szkicach z Anglii". Ciągłe, nieustanne obcowanie z przyrodą, życie wśród lasów i pól nadało mu zdrowie moralne i fizyczne, odporność i siłę duchową, zahartowały organizm duchowy, któryby może pod wpływem cieplarnianéj atmosfery wielkomiejskiéj obudził się przedwcześnie, ale i wybujał nadmiernie, a osłabł i zmarniał przed dojściem do zupełnego rozwoju.

Wcześnie budzi się w Szekspirze żyłka myśliwska, która mu późniéj tyle miała sprawić kłopotów. Młodym chłopakiem jeszcze, niejedno zapewne zastawił sidło, późniéj w pojedynkę snuł się po leśnych obszarach, śledząc jelenia i daniela, zająca i mniejszą zwierzynę. Bystre i wprawne oko jego łatwo dojrzy trop zwierza w pokrytéj rosą

trawie, ułatwia mu wykrycie poszukiwanego plonu. Zna on dokładnie wszystkie ścieżki, ostępy i przesmyki, strumienie i rozpadliny, wyrabia w sobie zręczność, przytomność umysłu, przywiązanie gorące do otaczającéj go przyrody, które stanowi wybitny rys jego charakteru i przejawia się w każdém z późniejszych dzieł. Podpatruje więc z ciekawością najtajniejsze zjawiska, — każdy kwiat, każda trawka zajmuje jego uwagę, tak samo jak każdy owad, każde ptaszę. Wrodzony dar obserwacyjny rozwija się znakomicie i staje się podstawą rozległych, empirycznych wiadomości z dziedziny przyrody, budzących podziw u zoologów, botaników, fizyologów, — dających powód do przypuszczenia, że oparte są na długoletnich badaniach i studyach książkowych.

Zmysł estetyczny rozwija się w zetknięciu nieustanném z pięknością okolicznych krajobrazów, łączących się w jego pojęciu i umyśle w całość skończenie piękną i doskonałą. Mimo to, każdy szczegół tych krajobrazów wbija się w jego pamięć po wszystkie czasy. Nieraz odwiedzał on tę

. . . „smugę dzikim tymiankiem usłaną,
Strojną w stokroci i fiołków wiano,
Gdzie wonny jaśmin i róża kosmata
Z powojem w górze jakby w dach się splata“ [1]).

Mijał ją, gdy z brzaskiem dnia przesuwał się przez zapusty i gąszcze leśne, aby ostrożnie podejść jelenia żerującego w haliznach i płazowinach i łąkach leśnych. Z wiosną już podążał za miejskie mury, gdy tylko

„ . . . fiołki i stokrocie
I wodnych lilii białe pąki,
I pyszny jaskier, cały w złocie
Umalowały las i łąki“ [2]),

na których

. . . „w piszczałkę pasterz dmucha,
Skowronek zorzą się weseli
I gołąb puszy się i grucha“ [3]),

a w uroczą symfonię sielską łączą swe głosy

„Z wyzłacanym dziobem kos,
Pierzem czarnéj barwy wzór,
Drozd co ma tak dźwięczny głos,
Królik słynny z drobnych piór,

---

[1]) „Sen nocy letniéj“, II. 3.
[2]) „Stracone zachody miłosne“, V, 2.
[3]) Tamże.

Czyżyk, wróbel, skowronek,
Pstra kukułka" . . . [1])

i inne mieszkańce dębowych gajów nad brzegami Avonu.

Ileż to wrażeń dały lasy i błonia młodemu chłopcu o krwi gorącéj, o głowie pełnéj nieokréślonych pragnień, o fantazyi nieokiełzanéj. Gdy zmęczony długą wędrówką, zmudném tropieniem zwierza, lub ciężką pracą całodzienną na roli, rzucił się u stóp potężnego dębu i spoglądał na utkane gwiazdami niebo, przychodziły mu na myśl znane, tylekroć słyszane opowieści i baśni. Puste lasy i błonia, pokryte mgłą osrebrzoną promieniami księżyca, zaludniała wyobraźnia jego fantastycznemi tworami. Zdawało mu się, że widzi, jak się doń zbliża „zły wróg Flibbertygibet", który „zaczyna swe wędrówki z odgłosem wieczornego dzwonu, a kończy z pierwszém zapianiem kura; sprowadza na oczy łuszczki i skałki, spojrzawszy zézem rozszczepia ludziom wargi w kształt zajęczy i męczy biédne, ziemskie stworzenia" [2]), — albo ów strzelec zaklęty, który

„ . . . kiedy pierwsze pieją kury,
Z rozsochatemi rogami na głowie
Koło jednego dębu się przechadza;
Podpala jego pień, urzeka bydło,
Zamienia mléko w krew i łańcuchami
W przerażający sposób brzęk wydaje" [3]).

Przesuwały mu się przed oczyma

„Elfy zielone, białe, bure, ryże,
Miesięcznych nocy widma, cienie chyże,
Twardych przeznaczeń opuszczone dzieci" [4]),

zjawiał się i Puk, ten figlarz i psotnik „złośliwy nocy wędrowiec" i Rusałka, która

„Przez wzgórza, rozłogi,
Przez krzaki, przez głogi,
Przez płoty, ogrody
I ognie i wody" [5])

lotem „lżejszym od promyka, prędzéj niż księżyc pomyka".

Wiek, w którym żył Szekspir, wierzył jeszcze w istnienie tych bajecznych postaci, wierzyło w nie jego otoczenie. On sam nie byłby

---

1) „Sen nocy letniéj", III, 1.
2) „Król Lear", III, 4.
3) „Wesołe kobiéty z Windsoru", IV, 4.
4) Tamże, V, 5.
5) „Sen nocy letniéj", II, 1.

myśliwym, gdyby nie był zabobonny i przesądny, — nie byłby poetą, gdyby w swéj wyobraźni nie nadawał kształtów plastycznych postaciom wierzeń i opowieści, znanych od kolébki. Późniéj przestał wierzyć w te baśni, które „zabobonni i dobroduszni przodkowie za prawdę mieli" [1]), ale obrazów powstałych w dzieciństwie nie wygubił ze swéj pamięci, przenosił się chętnie w świat nadprzyrodzony, stworzony fantazyą ludu. Arcydzieło takie jak „Sen nocy letniéj" stworzyć mógł tylko ten, kto wzrósł w wierze w istnienie tego świata, któremu ten świat w okresie, gdy był dzieckiem i młodzianem, stawał często przed oczyma plastycznie, jako fantasmagorya, — tak samo jak ten tylko mógł stworzyć tak przecudowną symfonię burzy, jaką jest „Król Lear", — gdzie tłem dla burzy w duszach ludzkich jest burza w przyrodzie, — kto nieraz widział rozszalałe żywioły w całéj ich wspaniałości i grozie, wstrząsające korzeniami potężnych dębów, walące o ziemię olbrzymy leśne, kto je widział piękne i straszne zarazem.

Szekspir spogląda na przyrodę okiem poety, okiem dziecka, okiem człowieka pierwotnego. Nie mogąc zbadać faktycznych przyczyn każdego zjawiska, tłómaczy je sobie symbolem, — przetwarza w obraz pozostający na zawsze w pamięci. Przejściowe okresy roku,— przejście zimy w wiosnę, jesieni w zimę — działają i na nasze przecywilizowane umysły, wytwarzając w nich nastrój wesoły lub tęskny. Tém intensywniejsze jest ich wrażenie na umysł poety, dziecka, człowieka pierwotnego. Lud żyjący w okresie cywilizacyjnego dzieciństwa upatruje w tych zjawiskach, corocznie się powtarzających, powrót na ziemię dobrych bogów, albo ich zwyciężenie i wygnanie przez bogów złych. Dobrzy bogowie wracają z wiosną na ziemię, w jesieni źli bogowie ich zwyciężają, wypędzają i obejmują panowanie. Podobne wierzenia tworzą się samoistnie w umyśle dziecka, — tém bardziéj w umyśle dziecka, któremu jest przeznaczone stać się Szekspirem, Goethem, Mickiewiczem, Byronem. Każde zjawisko przyrody przybiéra w wyobraźni Szekspira znaczenie symboliczne a ta zdolność tworzenia obrazów symbolicznych, — nietylko zdolność, ale przyzwyczajenie, nawet potrzeba myślenia symbolami, wypowiadania symbolami swych poglądów i zapatrywań, — wyrobiona wcześnie, pozostaje mu już na całe życie. Z czasem tylko zmienia się jéj kierunek; zjawiska przyrody stają się symbolami, obrazami zjawisk życia codziennego, wydarzeń i wypadków, postępków i czynów ludzkich.

Gdy Szekspir podczas wycieczki łowieckiéj usiadł na chwilę zmęczony, aby wypocząć w cieniu starych, cienistych olbrzymów leś-

---

[1]) „Wesołe kobiéty z Windsoru", IV, 4.

nych, w zaciszu głębokiéj puszczy, całe otoczenie nieme na pozór, a jednak przemawiające doń językiem zrozumiałym tylko dobremu znajomemu i przyjacielowi tych bezdusznych stworzeń, usposabiało go do dumań i rozmyślań. Tu, w oddaleniu od życia ruchliwego, gorączkowego, nasuwały mu się na myśl kontrasty i podobieństwa pomiędzy przyrodą, wśród któréj najchętniéj przebywał, a ludźmi, wśród których żył. Tu tworzyła się w nim i budziła zdolność do refleksyi, do zestawienia najodleglejszych pozornie zjawisk i przedmiotów w porównawcze obrazy, — do wyciągania stąd wniosków ogólnego znaczenia, genialnych i prawdziwych. Czyż dziwić się można, iż późniéj w swych arcydziełach złożył takie bogactwo symbolów, obrazów, porównań, metafor, zaczerpniętych z życia tworów przyrody, którychby stworzyć nie mógł, nie spędziwszy pierwszych lat młodości w ciągłém z nią zetknięciu, nie poznawszy jéj dokładnie i wyczerpująco.

Przypomina się mimowolnie Szekspir myśliwy i myśliciel, gdy mówi, iż

„ . . . temu, kto raz zdradził, tak się ufa,
Jak liszce, która chociażby najbardziéj
Obłaskawiona, głaskana, pieszczona,
Przecież naturę swoją zachowuje“ [1]),

albo gdy Antoniusz woła nad zwłokami Cezara:

„ . . . . Przebacz mi Juliuszu!
Dzielny jeleniu! Tu uszczwano ciebie,
Tu padłeś. Oto stoją łowcy twoi
Nacechowani, zarumienieni
Śladem twojego upadku. O świecie!
Ty byłeś temu jeleniowi lasem,
A on był twoją, o świecie, ozdobą
Jakżeś podobny do pysznego zwierza,
Którego dłonie książąt powaliły!“ [2])

Czyż Szekspir nie kréśli własnych swych wrażeń, gdy opowiada o synu Rolanda de Bois, iż

„ . . . . w dęba cieniu leżał zadumany,
Drzewo nurzało stare swe korzenie
W wodach potoku szumiących wśród boru.
Tam właśnie jeleń samotny, przez strzelca
Ciężko raniony, przywlókł biédne ciało
I śmierci czekał; a...
Z bólu tak ciężkie wydawał westchnienia,

---

[1]) „Henryk IV“, część I—V, 2. Przytaczam ten ustęp w przekładzie Paszkowskiego:—w oryginale brzmi on jednak daleko charakterystyczniéj.

[2]) „Juliusz Cezar“, III, 1.

Że wzdęta skóra na jego się bokach
Pękać zdawała; łzy wielkie, okrągłe,
Kropla za kroplą, po niewinnym pysku
Smutnie ściekały; kosmate głupiątko
Mierzone wzrokiem posępnym Jakóba,
Stało nad brzegiem i wody potoku
Łzami zwiększało..."

A Jakób

„ . . . . tysiące znalazł tam porównań.
Najprzód, gdy krople ciekły w zdrój obfity,
„Biédny jeleniu — mówił — twój testament
Piszesz, jak wszyscy światowi panowie:
Zbyt już bogatym skarb swój przekazujesz."
Potém na widok jego samotności,
Na opuszczenie aksamitnych braci:
„Tak bywa zawsze — zawołał — niedola
Rozgania tłumy mnogich przyjacieli."
Nadbiegło stado opasłych jeleni,
Lecz żaden, żaden nie wstrzymał racicy
Pozdrowić brata. „O, — zawołał Jakób —
O, lećcie kraśni pustyni mieszkańce,
To moda dzisiaj; co macie spoglądać
Na ubogiego konanie bankruta" [1]).

Życie Szekspira jako młodzieńca nie było tak swobodne i wolne, tak wysłane różami, jakby się zdawać mogło. Wiemy, że stosunki finansowe ojca jego pogorszyły się znacznie, prawdopodobnie wskutek nieudanych spekulacyi handlowych; w r. 1578 musiał zastawić posagowy majątek żony, w tym samym roku i w następnych latach gmina odpisać mu musiała zaległe podatki, bo ich nie mógł zapłacić, w r. 1580 sprzedał część swych gruntów, czas jakiś nawet siedział w więzieniu za długi i musiał zrezygnować z urzędu ławnika miasta. W chwili, gdy nastąpiło to zachwianie się fortuny ojca, Szekspir miał lat czternaście. Ojciec, potrzebując pomocy w gospodarstwie, przestał go posyłać do szkoły i odtąd młody chłopak pracuje na roli, pomaga ojcu w operacyach handlowych, zajmuje się i rzeźnictwem, — jak to wyraźnie wspomina jego pierwszy biograf, — spory ojca z wierzycielami, których ślady zachowały się dotąd, dają mu sposobność do zapoznania się z prawodawstwem i sądownictwem. Słowem, musi być czynny we wszystkich gałęziach gospodarstwa i poznać wszystkie połączone z tém kłopoty i zajęcia, które kiedyś prawdopodobnie miały wyłącznie spaść na jego głowę, jako na dziedzica i spadkobiercę. Nie było to jednak szkodliwe dla jego umysłowego rozwoju; zaznajomił się dokładnie

[1]) „Jak wam się podoba", II, 1.

z najrozmaitszemi formami pracy ludzkiéj, z rolnictwem i kupiectwem, z rękodziełami i przemysłem, ich techniką i metodą, narzędziami i terminologią fachową. Dar obserwacyjny, wrodzony i rozbudzony wcześnie, mógł się tu jeszcze bardziéj rozwinąć, tak samo jak i zamiłowanie do badania przyczyn i celów każdego zjawiska, każdéj pracy, każdego działania. Wcześnie przedmiotem obserwacyi staje się dlań człowiek. Otaczający go mikrokosmos dostarcza mu sporo materyału i sposobności po temu; zaczyna studyować ludzi, z którymi się styka, poznawać i badać powody, sprężyny i wszelkie objawy ich działalności psychicznéj, a w ten sposób — jakkolwiek to badanie nie odbywało się systematycznie, celowo, świadomie — kładzie fundament pod tę głęboką znajomość ducha ludzkiego, przejawiającą się w jego dziełach, a która w połączeniu z genialną intuicyą pozwoliła mu stworzyć typy niezrównane pod względem prawdy psychologicznéj. Dążność do zestawiania obrazów porównawczych objawia się i tutaj. Jak zjawiska przyrody, tak samo zestawia Szekspir także i zjawiska zaobserwowane podczas pracy codziennéj w symboliczne porównania, którychby bez téj obserwacyi stworzyć nie mógł. Najlepiéj dowodzą tego takie zwroty, jak np. słowa Henryka VI o stryju swoim:

„Jako rzeźnik cielę zabiéra i wiąże
I do krwawego prowadzi szlachtuzu,
Bije okropnie, kiedy w bok się skręci,
Tak bezlitośnie i jego zabrali.
A jako matka z rykiem w koło biega,
Patrzy na drogę, gdzie znikło jéj młode,
I nic innego uczynić nie może,
Jak tylko jęczéć po swéj stracie drogiéj,
Tak i ja jęczę nad stratą Glostera“ [1]);

albo słowa Warwicka do morderców lorda protektora w tym samym dramacie:

„Kto we krwi świeżéj ujrzy jałowicę,
A przy niéj widzi rzeźnika z toporem,
Czyż nie przypuści, że on rzeź tę sprawił?“ [2])

Takich ustępów przemawiających stanowczo za autorstwem Szekspira, a dowodzących silnie rozwiniętego już w młodych latach zmysłu obserwacyjnego, jest mnóstwo w pierwszych dziełach, rozpoczynających jego zawód autorski. Skądżeby Bacon, filozof, uczony, mąż stanu, od najmłodszych lat spędzający całe życie przy pracy umysłowéj, zaczerpnąć

---

1) „Henryk VI“, część II—III, 1.
2) Tamże, III, 2.

mógł takich zwrotów i szczegółów z życia praktycznego, niedostępnego dlań nigdy, — on, którego Macaulay w swym znakomitym szkicu przedstawia jako móla książkowego *par excellence!*

Wspomniałem już o twierdzeniu, że Szekspir dwa lata tylko uczęszczał do szkoły i niczego tam się nie nauczył. Twierdzenie to, którego nie starano się nawet uzasadnić, pozbawione jest wszelkiéj podstawy, tymczasem domniemanie, że Szekspir dopiéro w czternastym roku życia, — a więc po siedmioletniéj nauce — opuścił szkołę, jest bardzo prawdopodobne, bo stawia opuszczenie szkoły w związek z zachwianiem się fortuny ojca jego. Ciekawsze jest o wiele twierdzenie, głoszone przez wszystkich zwolenników Bacona, że Szekspir musiał upaść moralnie i umysłowo, sprostaczéć, i nie mógł się rozwinąć w tak małém, zabitém deskami miasteczku. Pomijając już argumenta przytoczone wyżéj, zaznaczyć należy, iż Stratford nie był znowu tak nieznaczném i małém gniazdem; było to w hrabstwie Warwick miasto drugie z rzędu po Coventry, zamieszkałe przez wcale liczną, jak na owe czasy, i wcale inteligentną ludność, dochodzącą do liczby dwóch tysięcy. A zresztą pozwalamy sobie zapytać tylko, czy mało ludzi wzrosłych wśród skromnych i niepomyślnych stosunków doszło do sławy i znaczenia, — ludzi wzrosłych w gorszych warunkach niż Szekspir? W Anglii saméj: John Bunyan, kotlarz z zawodu, — John Taylor, przewoźnik na Tamizie, znany pod nazwą *The Water-Poet*, — Ryszard Broome, służący Ben Johnsona, późniéj współzawodnik swego pana na polu twórczości dramatycznéj, — George Lillo, złotnik, poeta dramatyczny, głośny i znany, — Izaak Walton, handlarz bielizną, autor mistrzowskich biografii sławnych ludzi i śliczne opisy przyrody zawierającego dzieła o sztuce rybołówstwa,—Marlowe, syn szewca, poprzednik genialny Szekspira, — Massinger, syn lokaja, a wreszcie w późniejszych czasach chłop, Robert Burns, tak znakomity poeta, i cała falanga innych. Skoro ci zdobyć mogli wysoki stopień wykształcenia, mimo warunków wśród których wzrośli, mimo swego pochodzenia, dlaczegóżby to miało być niemożliwém dla takiego geniusza jak Szekspir, który się przecież inaczéj rozwijał, niż ludzie zwyczajni, lub niżsi odeń zdolnościami?

Czyż nie można przypuszczać raczéj, że syn jednego z najbardziéj poważanych obywateli Stratfordu, genialnie uzdolniony chłopiec, zwrócił na siebie uwagę jakiego inteligentnego i wykształconego mieszkańca miasta, np. nauczyciela szkoły, do któréj uczęszczał, lekarza miejscowego, albo jednego z sześciu adwokatów urzędujących w Stratfordzie, a ten starał się rozbudzić inteligencyę młodego chłopca i wszcze-

pić weń zamiłowanie do książek i nauki, zajmował się nim, rozwijał jego zdolności i dał mu jaki taki zasób wiedzy? Są to przypuszczenia tylko, ale każdy przyzna, że o wiele prawdopodobniejsze i więcéj uzasadnione, niż domysły zwolenników autorstwa Bacona [1]).

Twierdzenia o upadku moralnym Szekspira pozostają w pewnym związku z tradycyą o burzliwéj jego młodości. Możnaby tu snadno zastosować teoryę Nietschego o *Herrenmoral* w przeciwstawieniu do *Sklavenmoral* filisterskich Amerykanów i Anglików. Powtórzyć tu muszę raz jeszcze, że Szekspira jako młodzieńca nie można mierzyć łokciem purytańskich jego przeciwników i przeciwniczek. W wesołém gronie rówieśników przebrał on nieraz miarkę, nie wylał szklanki za kołnierz, nie uciekł przed bójką z „inaczéj myślącym" towarzyszem, — tak jak i dziś najporządniejszy *gentleman* angielski zakasze rękawy i boksować się będzie z drugim, — nie uciekał on i przed ładnemi dziewczętami Stratfordu i okolicy, a pod tym względem nie jeden zapewne miał grzeszek na sumieniu. Ale téż zdaje się, że i one przed nim nie uciekały. Młody ten chłopak z głową pełną rozmaitych piosenek, opowieści i ballad, wesoły i dowcipny, śmiały i zuchwały, silny i zdrów, gotów zawsze do szalonych pomysłów, żartów i figlów, podobać im się musiał. *Das ewig weibliche* pociągało go ku sobie, ale i on je do siebie pociągał jakimś nieokréślonym rysem swéj indywidualności, który i w wyrazie twarzy przejawiać się musiał, — który go wyróżniał z pośród innych rówieśników. Nieświadomy jeszcze swéj genialności chłopak musiał odczuwać pragnienia i dążności, z których sam sobie sprawy zdać nie umiał; tęsknił za czémś nieokréśloném, a gdy ten nastrój opanował go z żywiołową siłą, szukał samotności, aby wymarzyć się i wydumać—i tém dać folgę swéj tęsknocie. W takim umyśle *les extrêmes se touchent*, dziś jest on *himmelhoch jauchzend*, jutro *zum Tode betrübt*, pozornie bez przyczyny, bez powodu, sam nie wiedząc dlaczego. Takie objawy nie uchodzą bystrym oczom kobiécym *denn es giebt gewisse Dinge, wo ein Frauenzimmer immer schärfer sieht, als hundert Augen der Mannspersonen* [2]).

A Szekspir? On przeczuwał już wtedy to, co wypowiada w wspaniałéj, tętniącéj siłą prawdy apologii włożonéj w usta Birona:

„Inne nauki, obarczając głowę,
Wydadzą jeno owoce jałowe,
Biernych pedantów, z których korzyść żadna;

---

[1]) Zwraca na to uwagę dr. J. Schipper. *Zur Kritik der Shakspere - Bacon Frage.* Wien, 1889, str. 52 i d.

[2]) Lessing: *Der Freigeist.*

Miłość w źrenicach kobiécych badana,
Nie spocznie w mózgu martwa i bezwładna,
Lecz elementów siłą podsycana.
Jak myśl we wszystkie władze wzrasta bujnie
I każdą siłę posila podwójnie.

. . . .

Gdy miłość mówi, jakby bogów głosy
Harmonię do snu tuliły niebiosy,
Zanim poeta pieśni zacznie lament,
Miłosnym bólem rozrabia atrament,
Lecz wtedy wzrusza nawet dzikich ludzi,
W tyranach litość dla ludzkości budzi.
Z oczu dziewczęcych wniosek ten wynika:
To akademie, to wiedzy ogniska,
Skąd prometejski, szczery ogień tryska.
One to kształcą i żywią świat cały,
Bez nich nie będzie sztukmistrz doskonały“ [1]).

Z tych wszystkich pobieżnie rzuconych rysów odtworzyć sobie można obraz życia i duchowéj fizyognomii Szekspira w latach chłopięcych i młodzieńczych, uzupełniając niemi szkielet, jaki nam dają skąpe wiadomości pewne i autentyczne. Rozmaite oddziaływały nań wrażenia, rozmaitym oddawać się musiał zajęciom, a to nie przeszło bez wpływu na krystalizujący się w tym czasie umysł jego i charakter. Podział pracy, najważniejsza i najsilniejsza dźwignia cywilizacyjnego postępu ludzkości, pociąga za sobą ten skutek ujemny, iż jednostka, zmuszona dążyć do rozwinięcia się w jednym, głównym kierunku, w wielu innych nie rozwija się wcale i zdobywając olbrzymi często zasób wiadomości z jednéj gałęzi nauki lub pracy, o innych nie ma żadnego, albo słabe tylko pojęcie. Najwybitniejsi uczeni, potęgi w swym zakresie wiedzy, zasklepiają się w nim, nie troszczą się o całość kulturalnego postępu, nie widzą co się wokoło nich dzieje, a co za tém idzie, nie odczuwają mnóstwa wrażeń przystępnych innym. Od takiéj jednostronności rozwoju umysłowego uchronił Szekspira tryb życia w młodości, czyniąc mózg jego podatniejszym do zrozumienia związku najrozmaitszych objawów, do obejmowania całokształtu, a nietylko składowych części, do uzupełniania wiedzy swej szczegółami z najrozmaitszych nauk i umiejętności i do podporządkowania ich i zużytkowania dla jednego celu, — dla dramatycznéj twórczości. Brakło mu tylko jasno i stanowczo określonego kierunku, ale przedtém musiał on poznać

---

[1]) „Stracone zachody miłosne“, IV, 3. Przekład Z. Porębowicza.

swe siły i zdolności. To obudzenie się świadomości geniusza było dziełem przypadku.

Niedaleko Stratfordu leży mała wioska Shottery. Mieszkał tu w zachowanym podziśdzień domku John Kattaway z córką. Między dwudziestosześcioletnią Anną a ośmnastoletnim Williamem zawiązał się stosunek miłosny, który w grudniu 1582 roku zaszedł tak daleko, iż Szekspir ożenić się musiał ze starszą o lat ośm kochanką. Śpieszono się ze ślubem bardzo, jak świadczy zachowany dokument z dyspensą od trzykrotnych zapowiedzi, a raczéj dokument podpisany przez dwóch przyjaciół rodziny żony Szekspira, poręczających znaczną kwotą pieniężną, że nic nie stoi na przeszkodzie udzieleniu téj dyspensy. Dokument ten nosi datę 28 listopada 1582 r. Przyczynę pośpiechu i żądania dyspensy tłómaczy dostatecznie metryka najstarszéj córki Szekspira, Zuzanny, urodzonéj w maju 1583 roku. W lutym następnego roku urodziły się młodéj parze bliźnięta: syn Hemnet i córka Judyta.

Czy związek ten dał mu szczęście? Zdaje się, że nie. Starsza odeń o lat ośm kobiéta, o niższym znacznie stopniu inteligencyi, nie mogła zadowolnić wymagań rwącego się do życia zaledwie dwudziestoletniego młodzieńca. Nie miałoby sensu przypisywać zbyt wiele wagi do porozrzucanych w najrozmaitszych dziełach Szekspira uwag i refleksyi, przyznawać im wartość autobiograficznych wyznań,—ale mimowoli nasuwa się uwaga, że sam siebie miał on na myśli, wypowiadając tę głęboką, częstém doświadczeniem życiowém sprawdzoną refleksyę:

„Żona, od któréj starszy jest małżonek,
Łatwiéj nad jego sercem zapanuje,
Bo choć nie szczędzim pochwał samym sobie,
. . . . uczucia są nasze
Lżejsze, chwiejniejsze, łatwiéj przemijają,
Brak im niewieścich uczuć głębokości.
Więc weź młodszą żonę,
Jeśli na zawsze pragniesz wiernym zostać.
Kobiéta bowiem wonnéj róży wzorem
Rozkwita rano, więdnieje wieczorem!“ [1]).

Czyż nie przebija się wspomnienie własnego stosunku z Anną w słowach Prospera:

„ . . . . Jeżelibyś jednak
Rozdarł dziewiczą przepaskę prędzéj,
Niż wszelkie święte ceremonie według

---

[1]) „Wieczór Trzech Króli“, II, 4.

Danych obrzędów zostaną spełnione,
Wtedyby niebo rosą błogosławieństw
Nie pokropiło twego związku, sucha
Nienawiść raczéj, zézowata niechęć,
Szorstka niezgoda pokryłyby wasze
Małżeńskie łoże chwastem tak obrzydłym,
Żebyście wspólnie je znienawidzili“ [1])

Mniéj więcéj w dwa lata po ożenieniu, Szekspir opuszcza Stratford. Rozmaite przyczyny złożyć się musiały na to, aby go do wyjazdu skłonić lub przymusić. Przejrzał prawdopodobnie wcześnie jak go krępuje związek małżeński zupełnie nieodpowiedni, który szczęścia mu dać nie mógł, a stał się kulą u nogi. Kłopoty finansowe ojca, — wzmnożone zwiększającą się liczbą głów do wyżywienia — przyczyniły się nie mało do powstania i umocnienia zamiaru szukania szczęścia i karyery na szerszéj widowni. Być może, iż zamiar ten istniał już dawno, iż Szekspir chciał się dostać do Londynu, do tego mrowiska ludzi, — że chciał dać folgę swym awanturniczym, fantastycznym popędom, które nęciły go poza ciasne mury rodzinnego miasta. Niektórzy twierdzą, że Szekspir działał na podstawie z góry ułożonego planu, że poznał się na swych siłach i zdolnościach, a chcąc je zużytkować, podążył do Londynu. Dwaj najwybitniejsi ówcześni aktorzy Burbadge i Heminge zaglądali wówczas często do Stratfordu. Szekspir zapewne — jak to utrzymuje tradycya — poznał się z nimi bliżéj i nawiązał stosunek ścisłéj przyjaźni, która go, jak wiemy, z obudwoma łączyła w późniejszym wieku, a może za ich namową i wpływem postanowił poświęcić się zawodowi aktorskiemu. Jest to przypuszczenie wcale prawdopodobne, zdaje się jednak, że Szekspir nie miał z góry ułożonego planu, a swe miasto rodzinne opuścił pod wpływem niemiłych i przykrych okoliczności.

Szekspir myśliwym być musiał od lat najmłodszych. Żyłka myśliwska budzi się bardzo wcześnie u tych, którzy żyją wśród lasów i zwierzyny; budzi się wcześnie, albo nie budzi się nigdy. Wkrótce nie wystarczyły mu knieje, po których mógł polować dowolnie i bezkarnie, tém bardziéj, iż w pobliżu były starannie utrzymane lasy i zwierzyniec Sir Tomasza Lucy w Charlecoote, a w nim sporo danielów i jeleni. Zaczął się więc zakradać tam i bawić kłusownictwem. Schwytany na gorącym uczynku, otrzymał zaraz na miejscu surową i dotkliwą karę, a chcąc się odwzajemnić napisał satyryczny wiersz przeciw Sir

---

[1]) „Burza“, IV, 1.

Tomaszowi Lucy i wywołał tém srogie prześladowanie ze strony możnego pana na Charlecoote, za którego przyczyną — jak twierdzi tradycya — kilkakrotnie był zamykany do aresztu i karany chłostą nawet. Aby uniknąć tych przykrości i prześladowań, opuścił Stratford i podążył do Londynu.

Takie przedstawienie zgodne jest zupełnie z tradycyą, i niewiadomo z jakiéj przyczyny i na jakiéj podstawie, niektórzy zwolennicy Szekspira zwalczają twierdzenie o kłusownictwie jego i sporze z Sir Tomaszem Lucy. W owych czasach kłusownictwo nie uchodziło wcale za zbrodnię i czyn niehonorowy; synowie najlepszych i najpierwszych rodzin kraju, późniejsi lordowie, biskupi, dygnitarze byli kłusownikami, uważano to w uniwersytetach ówczesnych za sport bardzo szlachetny. Polowanie w cudzych lasach, na cudzą zwierzynę, nie mogło być nawet wcale karane sądownie i dopiéro w roku 1585 ten sam Sir Tomasz Lucy, prześladowca Szekspira, domagał się w parlamencie angielskim wydania ustaw przeciw kłusownikom, kto wié czy nie powodowany własném doświadczeniem, dzięki Szekspirowi. Z drugiéj strony Sir Tomasz Lucy chciał zapewne raz na zawsze odebrać Szekspirowi ochotę do polowania w lasach cudzych, a jako pan możny i s ę d z i a p o k o j u miał środki i siłę po temu, aby dokuczyć srodze winowajcy. W tém prześladowaniu leży prawdopodobnie przyczyna, która wywołała u Szekspira decyzyę opuszczenia Stratfordu; gdy do rozmaitych innych kłopotów przybył najdotkliwszy i najuciążliwszy, *exodus* do Londynu został postanowiony i wykonany.

Zachowała się podziśdzień pierwsza strofa ballady satyrycznéj skierowanéj przeciw Sir Tomaszowi Lucy i to wedle wszelkiego prawdopodobieństwa w formie mniéj więcéj autentycznéj. Być może, iż jest to rzeczywiście pierwszy utwór poetyczny Szekspira. W każdym razie nie można się zgodzić na zdanie Donnellego, że „jest to gburowata, źle rymowana strofa“, któréj cały dowcip polega na naciąganéj grze słów i podobieństwie pomiędzy nazwiskiem Sir Tomasza Lucy, a nazwą pewnego wstrętnego pasożyta (*lowsie Lucy*). Myli się bardzo pan Trepka twierdząc, że ten „jedyny utwór, którego autorstwa nie ma się prawa odmówić Szekspirowi, nie zdradza najmniéjszym nawet rysem duchowego pokrewieństwa z tém nadludzkiém dziełem geniusza, które powszechnie b y ł o mu przepisywane”. Przedewszystkiém zauważyć należy, iż to „nadludzkie dzieło geniusza” nietylko „b y ł o”, ale i j e s t z a w s z e p o w s z e c h n i e p r z y p i s y w a n e S z e k s p i r o w i, bo gromadki przeciwników jego autorstwa przecież w rachubę brać nie można. Myli się również Donnelly, gdy zachowanéj w ułamkach strofie ballady przeciwstawia wspaniałe strofy poematu „*Venus and Adonis*”, zapytując, czy możliwą

jest rzeczą, aby oba te utwory wyszły z pod jednego i tego samego pióra. Owszem, za autentycznością ballady przemawia jéj „pokrewieństwo” z tym ustępem „Wesołych kobiet z Windsoru”, gdzie w pierwszéj scenie pierwszego aktu sędzia pokoju Shallow robi wyrzuty Falstaffowi za to, że ten gruby rycerz zabawiał się kłusownictwem w jego lasach i grozi mu kryminalnym procesem za to, że „pobił jego ludzi i wybił zwierzynę”, — zapowiada, że sprawę tę przed parlamentem poruszy. Na samym początku téj sceny, gdy obaj krewniacy Shallow i Slender wychwalają świetność swego rodu, znajdujemy tę samą grę słów, jaka się znajduje w balladzie i to zupełnie tę samą, ośmieszającą mocno osobę sędziego pokoju z komedyi, w której Szekspir wedle współczesnéj tradycyi (Davies) dał karykaturę sir Tomasza Lucy, aby się na nim w ten sposób zemścić. Wobec tego musimy chyba przyznać Szekspirowi autorstwo przynajmniéj „Wesołych kobiét z Windsoru”, a co za tém idzie i bezpośrednio stąd wynika, także i autorstwo „Henryka IV-go”; kto zaś potrafił stworzyć typy takie, jak Falstaff, Henryk V-ty, Hotspur i inne tego dramatu, ten potrafił także stworzyć i stworzył króla Leara, Hamleta i Romea. „Gburowatość” i rubaszność tonu ballady nie przemawiają wcale przeciw Szekspirowi, bo „gburowatych” i rubasznych dowcipów znajdujemy sporo w najpiękniejszych jego dziełach. Forma ballady — o ile sądzić można z fragmentu, jaki istnieje, — tak złą znów nie jest wcale. Inna rzecz, czy wogóle ten fragment jest faktycznie dziełem Szekspira, ale skoro najzagorzalsi jego przeciwnicy uznają w nim „utwór, którego autorstwa nie ma się prawa odmówić Szekspirowi”, — to dyskusya co do autentyczności, lub nieautentyczności nie jest potrzebna i jest rzeczą wcale podrzędną.

* * *

Mając lat dwadzieścia jeden, Szekspir opuszcza Stratford i dąży do Londynu. Rzuca swe rodzinne miasto, w którém przez lat kilkanaście przeszedł całą skalę najrozmaitszych uczuć i wrażeń, — w którém poznał namiętności potężne i smutki wielkie, radości i rozczarowania, — opuszcza rodziców, żonę, dzieci, śpiesząc w obce mu światy, bez środków do życia, sam, bez przyjaciół i znajomych, bez nadziei pomocy w pierwszych krokach na nieznanym mu gruncie. Za to duszę jego przepełnia młodzieńcza buta, pewność siebie i stanowczy zamiar wytężenia sił wszelkich, całéj energii Anglosasa, aby urzeczywistnić swe plany i rojenia. *In seiner Brust sind seines Schicksals Sterne.*

Do r. 1592 brak odtąd zupełny wszelkich wiadomości o losach jego. Spotykamy go dopiéro w tym roku już na stanowisku pewném i niezależném, świetném w porównaniu z tém, co rzucił w Stratfordzie. Sześcioletni okres od przybycia do Londynu pokryty jest zasłoną, któréj żadne kombinacye i domysły usunąć nie mogą; stoimy wobec zagadki, któréj rozwiązać niepodobna. Co robił, czém się zajmował, — na te pytania nie ma żadnéj stanowczéj odpowiedzi. A są to lata najważniejsze w życiu Szekspira, lata walk ciężkich i mozolnych, z których wyszedł zwycięsko, silniejszy i dojrzały zupełnie, chociaż nie bez zmiany w poglądach i usposobieniu, wzbogacony doświadczeniami najrozmaitszemi, o charakterze zupełnie już skrystalizowanym. W tym to okresie sześcioletnim wzniósł się umysł jego na te zawrotne, niedościgłe wyżyny, z których ogarnia wzrokiem niezmierzone horyzonty.

Brak wiadomości o Szekspirze i jego życiu w tych latach przéjściowych do pewnego stopnia utrudnia zrozumienie szybkości, z jaką się geniusz jego rozwinął. Do pewnego stopnia tylko, gdyż pozbawia nas możliwości systematycznego śledzenia wszystkich przejawów duchowego wypoczwarczenia się genialnego umysłu, zwrócenia się jego ku twórczości dramatycznéj, pierwszych kroków na tém polu, wpływów zewnętrznych, działających nań w pierwszéj chwili obudzenia się świadomości wyższego uzdolnienia, — słowem, brak nam wszelkich szczegółów umożliwiających odtworzenie ewolucyi umysłowéj Szekspira przed rozpoczęciem pracy autorskiéj. Jedno tylko jest niezaprzeczalne: tak samo jak roślina rozwija się tylko wśród warunków odpowiadających w zupełności jéj potrzebom życiowym i indywidualnym,—wydaje kwiat i owoc tylko gdy ma potrzebny zasób soków żywotnych, promieni słonecznych, atmosferę podbudzającą i rozwijającą jéj siły,— tak samo i umysł ludzki znaléść się musi wśród warunków pobudzających i rozwijających jego skłonności i zdolności, jeżeli ma się rozwinąć w całéj pełni i sile. Grunt taki, atmosferę taką znalazł Szekspir w ówczesnym Londynie, koncentrującym w sobie kwiat inteligencyi i genialności narodu, stanowiącym ognisko wszystkich prądów i objawów życia umysłowego téj epoki odrodzenia Anglii. Rozwinął się téż szybko i wspaniale.

W jakich warunkach rozwój ten nastąpił, nie wiadomo. Zetknął on się w Londynie z życiem umysłowém o ogromnie silném i wysokiém napięciu, powstałém pod wpływami renesansu. I wówczas na silnéj i zdrowéj dziczce przesadzonéj w urodzajny, pełny soków żywotnych grunt zaszczepiona została latorośl światowéj, wspaniałéj kultury, —

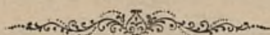
przyjęła się i dzięki sile i zdrowiu, żywotności i świeżości organizmu wzrosłego swobodnie i nieskrępowanie wydała cudowne owoce. Obcy, nowy element nie przetrawił jednak całego organizmu. Bystre oko z łatwością rozróżni w twórczości Szekspira oba składniki: narodowy, ludowy, swojski, pierwotny, a obcy, zaszczepiony, późniejszy. Oba nigdy nie zdołały zamalgamować się zupełnie. Desdemona, ta wykwintna patrycyuszka wenecka, która, gdy ją mąż dręczy zazdrością, śpiéwa smętną, pełną prostoty ludową piosnkę angielską o dziewczęciu porzuconém przez kochanka, płaczącém pod wierzbą, — oto symbol twórczości Szekspira...

Adolf Strzelecki.



W MONTMORENCY,

u dawnego grobowca Mickiewicza.



I.

Tłumy ludzi obojéj płci, wszelkiego wieku i stanu — pradziadkowie, dziadowie, matrony, młodzieńcy, dzieci, wyrobnicy, panowie, panie, służące — zalegają cmentarz, cisną się dokoła żelaznéj kraty i marmurowéj płyty z płaskorzeźbą popiersia i imienia wieszcza. Pochłaniająco przeważa ród męski; wszyscy z odkrytemi głowami, w postawie pobożnéj, milczący i zasłuchani. Mowę wygłasza, od trzech blisko kwadransów, Franciszek Grzymała, staruszek niski, krępy, łysy, piegowaty, ospowaty; cedzący słowa równo i jednostajnie, tonem kaznodziejskim, rozpaczliwie jękliwym, a przez nos. Rodakom co do litery toż samo opowiadał on już, w tymże dniu i miejscu, o téjże godzinie, przed rokiem, przed dwoma, przed trzema, dziesięciu, piętnastu, dwudziestu... — przed trzydziestu laty. Ale to nic nie znaczy: z równém namaszczeniem powtórzy to jeszcze w roku przyszłym i dalszych, do ostatka dni swoich.

Nawprost Grzymały umieścił się młodszy od niego o pół stulecia Aleksander Wernicki; chustką czerwoną wyciera wciąż okulary, które machinalnie obraca w ręku; na miękkich, łagodnie zarysowanych jego ustach błąka się uśmiéch politowania i sarkazmu; pot grubemi kropla-

mi spada mu z szerokiego czoła na twarz chudą, lecz czerstwą i rumianą, opruszoną zarostem rudawym. Przygotował się Wernicki do odpowiedzi na arystokratyczne wywody Grzymały z punktu demokratycznego — i czeka, doczekać się nie może. Grzymała jednak, nie w ciemię bity, nie tak prędko pozwoli rywalowi przyjść do głosu.

Słońce jak w raju; powietrze do omdlenia słodkie. Druga połowa maja w pełni blasku i rozkwitu. Bzy, akacye, czeremchy leją aromat odurzający. Las po pagórkach okolicznych, zarośla po dolinach bliższych, wtórują sobie do pieśni wiosennéj, — smętnéj, cichéj, poważnéj, a tak łudząco szmer wiatru stron nadniemeńskich naśladującéj, że się aż w piersi na płacz zanosi. Nad kobiercem łąk bujnych, okwieconych, nad łanami rosłéj, ciężkiéj pszenicy zwiesza się ciepły, przezroczysty błękit niebios Francyi wspaniałomyślnéj. Na widnokręgu, w gąszczach zieleni toną białe domki miasteczka d'Enghien i stacyi kolei du Nord; do uszu niewyraźnie dochodzi zduszony odgłos pociągu, kłębki popielato różowego, słonecznemi promieniami przetkanego dymu ciągną się w téj chwili sznurkiem wątłym, urywanym, mknącym coraz daléj i daléj na wschód, aż wreszcie zaciérają się i nikną... Fala zamętnych wrażeń i przypomnień z lat młodocianych, szkolnych — i późniejszych, uderza do głowy z rozwianiem się tych obłoczków, z ich zasunięciem się za siny zrąb horyzontu. Luźne, poprute, pogmatwane wątki początków i końców z przed lat pięciu, z przed lat trzech, tu wcześniejsze, tam późniejsze, kojarzą się to tu, to tam z różnorodnemi motywami arcydzieł wieszcza, tworząc razem całość chaotyczną a barwną, na pół żyjącą w duszy, na pół już obumarłą, dziś zaś po nowym szeregu lat dziesiątków osłoniętą i pokrytą niby mgłą grubą, za którą rzeczy i ludzie przedstawiają się jak we śnie dawnym, dalekim. Dom rodzinny i pierwszy wileński tomik dzieł Mickiewicza z zagięciem na wierszu: „Spojrzyj Marylo, gdzie się kończą gaje"; późniéj gimnazyum białostockie, rój kolegów, odświeżone po wojnie krymskiéj życie, wprowadzony do szkół wykład języka polskiego i ukazanie się w księgozbiorze gimnazyalnym merzbachowskiéj edycyi „Grażyny", „Wallenroda", „Pana Tadeusza", Prelekcyi; daléj wyjazd na uniwersytet nieskończenie długim, w piaskach lub błocie nurzającym się gościńcem Wasilkowa, Sokółki i Grodna, podmytego głębokim, urwistym parowem „błękitnego" Niemna, saharskie okolice Merecza, gwarna, leśna, krzyżami zasiana Litwa z zaczajonym w kotlinie grodem Giedymina— i „Wilia naszych strumieni rodzica"; znów gościniec wyboisty aż do Wiłkomierza, znów wzbałwanione morze pagórków żmudzkich, płaskie kresowe ziemie naddźwińskie, zamożne Inflanty, zielone kopuły Pskowa, historyczna dziedzina wielkiego Nowogrodu, raz jeszcze go-

ściniec równy, samotny, bez końca, wśród ziemi tak pustéj i niezaludnionéj, jak gdyby wczora wieczorem stworzonéj — i wreszcie miasto Piotra Wielkiego: „Ulice szerokie, długie, jak wąwozy w górach, domy ogromne, tu głazy, tam cegły, marmur na glinie, glina na marmurze, a wszystko równe, dachy i ściany...”

Usypiający i jak kolasa po gładkim bruku rozdudniony głos Grzymały płynie tymczasem i płynie, podtrzymując w zgromadzonych, uzupełniając w nich kołowanie złudzeń poetyckich i omamień rzeczywistości z czasów minionych, domierających, zamarłych... Nagle zamilkł. Cisza, — nikt głowy nie podnosi. Wernicki po raz ostatni ociéra czoło i okulary. Nie zwleka. W mgnieniu oka chwyta opuszczony bagaż końcowych słów poprzednika i na własny wózek go przerzuca. Jazda daléj. Ale jedzie się już tym razem inaczéj. Ostry, krzykliwy ton wymowy reprezentanta demokracyi zbawiennie oddziaływa na słuchaczy: cucą się, otrząsają z mar i dum roztętnionych, spoglądają po sobie. Rumor wyraźnego zadowolenia wydziéra się ze wszystkich piersi... Wernicki widomie wysforował się na grunt twardy, realny. Odwraca na nie poruszony przez Grzymałę temat przeniesienia zwłok wieszcza do Krakowa i podniecany przez bliżéj stojących, głównie przez Krystyna Ostrowskiego, tnie, rąbie Austryaków za wszelkie bywałe, niebywałe, możliwe i niemożliwe ich winy... Czyście już zapomnieli o roku czterdziestym szóstym, czy wam nie znana ohyda polityki rakuskiéj, czy nie słyszeliście o saturnaliach na Węgrzech po kapitulacyi w Villagosz?... Napomykacie o konstytucyi austryackiéj... Świetna racya, ani słowa. Alboż i przedtém Austrya konstytucyi nie miała i ich nie gwałciła?... Spytajcie d-ra Smolki, on wam powié, ile warte habsburskie te patenty. Wiedeń zbombardowany, Praga zbombardowana, Lwów zbombardowany — oto i cały parlamentaryzm austryacki...

Mówił Wernicki śpiewnie, mocno zabarwionym akcentem białoruskim, ale wyśmienicie, bo jędrnie, zawzięcie i najzupełniéj w „duchu czasu”... Ach, jakże szybko zmieniają się te czasy, jak rychło starzeją! Zaledwie dziesiątą, czy dziewiątą tylko jeszcze rocznicę zgonu Mickiewicza święcono oto w Montmorency, a już obchód cały miał w sobie coś sędziwego, coś przebrzmiałego wśród téj gromady świeżych przybyszów. Z osobistych przyjaciół poety żyło wtedy tylko kilku: Bohdan Zaleski, Aleksander Chodźko, Seweryn Goszczyński. Z kolegów na katedrze profesorskiéj w Collége de France Michelet pisał swą „Historyę wieku XIX”, Quinet kończył znaną pracę „Duch nowy”, — nie zachwycano się ani jedną, ani drugą. Zaciérały się coraz głębiéj tradycye i dążności epoki, kiedy trzem apostołom przeobrażenia stosun-

ków ludzkich na modłę idealną urządzano w Paryżu pochody uroczyste. Inne powstawały prądy, inne rodziły się pragnienia, inaczéj zakwitała umysłowa niwa pokoleń młodych. Wschodziła długo przedtém w ciemnościach ukryta gwiazda pozytywizmu Comte'a, ponura walka o byt Darwina podsuwała się pod podwaliny dawnéj moralności, empiryczny szematyzm Milla, fatalistyczny krytycyzm Taine'a ogarniały zwolna całą współczesną literaturę i umiejętności ścisłe. Za logiką materyalizmu w filozofii szła logika pesymizmu w polityce i stosunkach międzynarodowych. Hasła: powodzenie przed zasługą, fakt przed ideą, siła przed prawem! — już się rozlegały z mównic europejskich.

Rozum nie zakładał przeciwko temu protestu; uczucie jednak, — ono gryzło się i skwierczało okrutnie. W podłużnéj sali lewego skrzydła Kolegium francuskiego, odgrodzonéj matowemi oknami od głuchego dziedzińca, na katedrze, z któréj przed laty poeta nasz swe improwizacye wygłaszał, obecnie dla kilku rzadkich przychodniów prof. Foucoux odsylabizowywał prasanskryt świętych ksiąg Wedy; Renan tłómaczył hebrajski tekst Izajasza. Setki godzin spędziło się w przesławném audytoryum, — ale dusza, cierpka i stęskniona, o tyle tylko lgnęła do tych modłów i proroctw z nad Gangesu i Jordanu, o ile w nich posłyszéć lub doszukać się zdołała czarujących odgłosów z lat 1840—43. Zewnątrz murów szkolnych oddychało się również tém samém powietrzem moralném, w którém gorzał szlachetny i wyniosły geniusz największego z naszych wieszczów — i w niém też trawiło się sunące leniwo lata rozmyślań, to podniecanych nadziejami, których żywa dusza nie podzielała, to zasępionych zawodami, nad któremi nikt, okrom czterech ścian poddasza, nie bolał i nie płakał... A w tych rozterkach wewnętrznych, w tych rekolekcyach ascetycznych doradcą i pocieszycielem, rozjemcą i najwyższym sędzią był zawsze nieśmiertelny twórca „Dziadów", „Pana Tadeusza"—i prelekcyi, przedewszystkiém prelekcyi!

Dzieło, zaiste, olbrzymie, niesłychane. Jakkolwiek dorywczym był w niém szereg poglądów i orzeczeń profesora, odlanych w formie poetycznych raczéj odgłosów wiedzy, niźli pod postacią opracowań ścisłych, hartowanych w ogniu poszukiwań naukowych, — ogólna jego zawartość była — pomimo to — i pozostała zachwycającą. Nieprzebrana jéj rozmaitość, roztoczona wzdłuż pięciu tomów tekstu francuskiego, poprawionego w r. 1849 przez Mickiewicza, poruszała w sposób nad wyraz wysoko nastrojony najdonioślejsze lub najdźwięczniejsze struny zagadnień moralnych, literackich i politycznych, dotyczących Słowiańszczyzny. Historya, filozofia, ustawodawstwo, poezya, lingwistyka, sztuka, archeologia zbiegły się pod stereoskop czarownéj

wyobraźni wieszcza, okryły się szatą przepychu iście wschodniego, zajaśniały blaskiem, rzecby można, nadziemskim. Co za obrazy, co za widnokręgi! Tu złotolite, jak z palety Matejki zawczasu wykradzione, sceny z czasów Batorego lub Skargi, tam purpurowe ruczaje bojów na Kosowém polu, ówdzie sine od złowrogich widzeń okopy św. Trójcy, gdzieindziéj blade od przerażenia widma przepowiedni Wernyhory, — a wszystko razem przewinięte wstęgami, oprawione w ramy rzeczywistości, to tętniącéj wśród czarnéj nocy jak u Grottgera, to dziarsko roz pędzonéj jak u Chełmońskiego, to znów wrzaskliwéj i tłumnéj jak u Sienkiewicza. Barwne to, olśniewające tysiącami ogniów najczystszego uczucia braterstwa plemiennego, uświęcone wyższą od niego wspólnością duchową chrześciańskiéj cywilizacyi zachodu, serdecznie drgające od oczekiwania wielkich wypadków, ponętne zaś — do zawrotu głowy. Czas, nieodzownie, poczynił tu swoje wyłomy, luk pełno wszędzie; o literaturze bulgarskiéj (wówczas prawie nie istniejącéj wcale) ani słowa, Rusini zapomniani, o Słowakach węgierskich głucho, w ziemi chorwackiéj pusto. Krytyka również zrobiła swoje: odrzuciła niejeden rodowód nabuchodonozorski, zdarła niejeden rękopis królodworski...

A z rzeczy, które przeżyć zdołają zwyciężonych i zwycięzców, ileż ocalało? — Bez liku. Jeżeli przypuścimy, — co nie zdaje się być rzeczą wątpliwą, — że z książką każdą sprawa się ma najzupełniéj jak z mową narodu, że „siła jéj zostaje w stosunku prostym do ilości zawartych w niéj prawd, nie zaś zdarzeń" (Prelekcye, wyd. 1860, t. I, str. 45), w takim razie w Mickiewiczowskim kursie literatury zdarzenie gołe jest jak czółenko drobne, prawda — jak ocean pod niém. Misterna, Buckle'a dopełniająca teza o wpływie nietylko gleby na człowieka, lecz i człowieka na glebę (I, 57 — 58); związek czci przyrody u Słowian z organizyą ich społeczną i dążnością demokratyczną (66); wykaz dodatnich i ujemnych stron dualizmu kościelnego w rozwoju Słowiańszczyzny (148, 155); rola tryumfu i klęski w zakresie wytwarzania się w dziejach i teraźniejszości poświęceń i bohatérstwa (233); dziwne a krańcowe podobieństwo do siebie dwóch różnych stanów rozwiązłości społecznéj u Slowian (II, 114); spełniona pod tym względem przepowiednia jednego z najzacniejszych monarchów słowiańskich (133); powszechne zaćmienie sumień i rozumu słowiańskiego, wśród którego niknie w ostatku prawo lub możność przestrogi (270); świetna teorya od działywania świata niewidzialnego (według Spencera „niepoznawalnego", albo też, według Wundta nieświadomie budzącego się w każdym akcie świadomości naszéj), — teorya przyjęta w okresie pomickiewiczowskim jako postulat wszelkiéj działalności umysłowéj, etycznéj i este-

tycznéj (368), — wszystkie te lub im pokrewne i do nich podobne wskazania prawd i doświadczeń, przeniesione z Mickiewicza bądź do dyskusyi, bądź do stwierdzenia, ileż świeżego powietrza, ile przestrzeni wolnéj i jasnéj dodałyby niejednemu tegoczesnemu, erudycyą przeładowanemu dziełu o Słowianach, — które, aczkolwiek nieraz informacyjnie zasobne i bogate, tendencyjnie skrupulatne w szanowaniu drażliwości cudzych i ostatecznie wielce zapewne pożyteczne, to jednak wygląda jak gdyby było bez perspektywy, bez świata i bez celu...

....Ale oto już i Wernicki skończył swą perorę. Cmentarz się opróżnia. Po wzgórzach rozkładają się tabory pątników. Pieśń płynie, krzyżując się z wesołym chichotem dziatwy, z dźwięcznym, serdecznym szczebiotem dziewcząt, z surową, pełną powagi pogawędką ojców. Tu, przed nami, wciskające się po za kratę ciepłe strumienie pochylającego się ku ziemi słońca oblewają naraz strugą gorącego światła płaskorzeźbę, — ciemną dotąd, zakurzoną, pajęczynami zasnutą, w kilku miejscach popękaną, uwydatniającą twarz smętną i zbolałą wprawdzie, lecz zimną, stężałą, nieruchomą, nic na razie nie mówiącą. Twarz się ta ożywia teraz, zmartwychwstaje... Zatrzymajmy się przed nią chwilę. Może ona nam powié cośkolwiek i o tych urojeniach głowy genialnéj, które pod mianem mesyanizmu zaliczone u nas zostały do najzłośliwszych zboczeń i objawów patologicznych ducha narodowego.

II.

Jak długo trwać może odlane w metalu, odbite w kamieniu cielesne oblicze wielkiego człowieka, — niezatarte, niewygładzone z zasadniczych znamion swojego wyrazu? — Nagrobek w Montmorency smutne w tym względzie składa świadectwo; ale mamy jeszcze na to rekurs: w odpowiedzi samego Mickiewicza, w jednym ze szczegółów jego życiorysu. Zwiedzając w latach 1829 — 30 zabytki dawnego Rzymu, poeta oglądał między innemi i posąg Marka Aureliusza, „stojący teraz w Kapitolu", — a opisany „wiernie" w znanym wierszu, którego każdy wyraz uwydatnia się dokładnie, mocno i twardo, jak kiedy rzeźbionego śpiżu palcami się dotykamy: „piękne, szlachetne czoło, na czole błyszczy myśl o szczęściu państwa, rękę poważnie wzniósł jak gdyby wkoło miał błogosławić tłum swego poddaństwa..."

Wynika stąd, że i pomniki które obecnie, za dni naszych dźwigamy ludziom wielkim i zasłużonym, niemniéj wyraziście i „wiernie"

ostoją się i oprą niszczącym wpływom czasu i otoczenia, jak się oparła i ostała podobizna najzacniejszego z mężów starożytności, witanego niegdyś, przed tysiąc sześciuset laty okrzykami wszechwładnego ludu rzymskiego: „Cesarz, ojciec nasz powraca!...”

Chybaby piętnaście czy szesnaście wieków, które ludzkość ma przed sobą — do owéj doby — do przebycia, burzliwszemi jeszcze i bardziéj barbarzyńskiemi być miały od przebytych; ale jestto przypuszczenie możliwe tylko, nie zaś prawdopodobne. W warunkach złagodzonego, urównoważonego rozwoju cywilizacyjnego, z wszelką pewnością oczekiwać należy, że okres lat od r. 1898 do 3450 po Chrystusie wolny będzie od plag i plam takich, jakiemi przepełnione są dzieje okresu od r. 180 do 1830.

Czy bylibyśmy w stanie sięgnąć myślą lub wyobraźnią w przyszłość tak stosunkowo od nas odległą? czy zdołalibyśmy przeczuć i odgadnąć tryb bytu, widoki i troski, nadzieje i pożądania pokoleń, które żyć będą w czterdziestém owém stuleciu ery naszéj? czy potrafilibyśmy przeniknąć i zbadać wrażenia i wyobrażenia, jakie w duszach pokoleń potomnych budzić się będą — wobec np. popiersia lub posągu Mickiewicza—o nas, o naszych dzisiejszych troskach, przejściach i losach?

Zagadnienie rozwiązalne czy nierozwiązalne w granicach ścisłego rozumowania nie jest bynajmniéj czczém lub dowolném. Przyszłość, raz dalsza, drugi raz bliższa, należy do najbardziéj realnych pierwiastków duchowéj istoty człowieka, określa i powoduje dobrą połowę naszych zabiegów doczesnych, stanowi jedną z najsilniejszych dźwigni prac i przedsięwzięć, podejmowanych,—jakby się zdawało na pierwszy rzut oka — wyłącznie dla siebie, dla chwili bieżącéj. Powietrze tego co być ma, co nastąpi jutro, pojutrze, kiedyś, tak dalece oblewa i tłoczy nas zewsząd, czy to jako nadzieja, czy żądza lub pragnienie, — do tego stopnia przesiąka nietylko czynności nasze świadome i celowe, ale i najskrytsze zakątki tak zwanego instynktowego naszego istnienia, że ta jego wszechobecność staje się powodem omamień niesłychanie trudnych do rozwiania i rozwikłania. Wstępujemy po szczeblach teraźniejszości na piętra przewidywane dopiero, — podążamy gościńcem współczesności ku miejscom lub chwilom zaledwie dopiero pożądanym; faktycznie, nie mamy jeszcze pod swojemi stopami tych pięter nad nami zawieszonych, nie osiągnęliśmy tych chwil i miejsc celowo wytkniętych, zamierzonych; we wrażeniach naszych zaznacza się tylko bieżący, natychmiastowy trud pochodu i wznoszenia się momentami usiłowań wykonawczych, i one to wyłącznie pochłaniają całą naszą uwagę... Ilekroć przeto w świadomości naszéj sumujemy następnie te usiłowania współczesne, teraźniejsze, wyglądają one, jak gdyby same

jedne zawierały w sobie całość akcyi ze wszystkiemi jéj motywami; żądza, przewidywanie, pobudka, cel, jako wciąż zawieszone przed nami (w przyszłości), nie pozostawiały śladów we wrażeniach, przeto i do rachuby nie weszły, pomimo że bez ich współudziału i pomocy nie byłoby rezultatu. Matka osłaniająca resztkami zdrowia swe niemowlęta, stadło wyrobnicze oszczędzające okruszynę chleba przed widmem nieznanego jutra, żołnierz krew swą i życie niosący na boje,—alboż bronią tego, co jest lub było? Nie,— tego co być powinno i co będzie. Przyszłość jest tu podnietą i wodzem, choć trąb jéj nie słyszymy i buław nie widzimy.

A wszakże na złudny temat, że „obecność jest wszystkiém”, tworzyła się u nas, w epoce Mickiewicza, osobna doktryna „spontaneizmu deterministycznego”—rodzaj improwizacyi czynnéj, czy téż działalności improwizacyjnéj. Było to, jak się zdaje, mętne odbicie dwu prądów górujących podówczas na Zachodzie: rewolucyonizmu i mistycyzmu. Pomysł pierwszych pism Trentowskiego, polegający na tém, jakoby sama tylko „teraźniejszość” była „żywą”, istniejącą i działającą—pomysł zaniechany lub zmodyfikowany późniéj przez dodatkową formułę, że „przeszłość w nas żyje”—Stefan Garczyński odlał w wierszu, którego obronę, jak w wielu innych wypadkach, wziął na siebie Mickiewicz przez przyjaźń.

„Teraźniejszy tylko świat jest boski, jest wielki;—przeszły, przyszły jest niczém...” — pisał Garczyński. Objaśni to Mickiewicz po swojemu, to jest wśród chorobliwych nawet spaczeń natchnienia—genialnie, bez zarzutu prawie. „Zdawać się to może dziwném – powié— że poeta i filozof (Garczyński i Trentowski), ze szczepu nie odgrywającego obecnie roli bardzo świetnéj, przywiązali się do chwili teraźniejszéj, ale ta chwila, według nich, jest to działanie, życie, siła, jest to owoc dziejów przeszłych, zaród przyszłych. Tym sposobem pomniki piśmienne, wszelkie szczątki przechowujące pamięć tego, co minęło, wszelkie okruchy przeszłości, któremi tak się chełpią niektóre narody, są niczém w tém pojęciu słowiańskiém, bo przeszłość powinna się znajdować cała w duchu ludzkim, który zawsze jest obecnością”... Możnaby tu przerwać nauczycielowi i zagadnąć go: jeżeli okruchy wieków minionych są tak marne, to cóżby się stało z przepyszną strofą o Marku Aureliuszu, gdyby śpiżowy szczątek „ojca narodu na Kapitolu” istotnie był „niczém”?... Samo postawienie tego pytania prostuje i naprawia sprawę realnego w pojęciach naszych znaczenia przeszłości. Ale to dopiero jedna połowa twierdzenia. Daléj tak się Mickiewicz wyraża: „Podobnież i przyszłość, jako nadzieja filozoficzna do urzeczywistnienia, nie liczy się za nic w życiu obecném, w wielkiém życiu rodu ludz-

kiego; dopiéro duch człowieczy, realizując skupioną w sobie przeszłość, ciągle daje początek przyszłości"...

Przyszłość za nic się nie liczy w życiu obecném, a jednak życie, urzeczywistniając skupioną w swym duchu przeszłość, wyłania powoli przyszłość,—tworzy ją poniekąd. Zamglone to jeszcze, sprzecznością niejaką nacechowane, ale już zupełnie co innego zapowiada, niźli w Garczyńskim i Trentowskim. Pokazuje się z komentarza Mickiewicza, że między nami, pra-pradziadkami tych pra-prawnuków naszych z roku 3450, którym zbiorowemi siłami przekazać-byśmy chcieli niespożyte świadectwo czci naszéj dla wieszcza, istotnie zachodzi związek pewien, stosunek uwzajemnienia i być może pokrewieństwa, nie stwierdzający zdania, jakoby „w życiu obecném przyszłość za nic się nie liczyła"...

III.

„Ziemia potrzebuje ratunku; epoka nowa wymaga nowego uczestnictwa w sprawie powszechnéj". Poeta nader szczegółowo i starannie odróżnić usiłuje prawdy cząstkowe, ułomne, starzejące się od téj jednéj, która posiadać powinna najwyższy możliwy stopień uogólnienia, trwałości i pewności. Warunek pierwszy i najważniejszy do osiągnięcia owego „powszechnego" poglądu na świat i człowieka, na ich zależność od siebie i na kardynalne obowiązki wypływające stąd dla nas, istot czułych i rozumnych, polega na wyzwoleniu się z jarzma doktrynerstwa, na uświadomieniu w głębi swego jestestwa, że jakiekolwiek byłoby nasze przywiązanie do pewnéj idei, do pewnego kierunku naukowego, — źle czynimy, gdy przypuszczamy, iż światło przez nas posiadane jest bez skazy, nie zwodzi nas, nie myli. Wątpienie, jako niezbędny punkt wyjścia w poszukiwaniu mądrości, zasada to starożytnych Greków, odnowiona przez Kartezyusza; ale Mickiewicz ze szczególną siłą i dostępnością uwydatnia tegoczesny i życiowy od niéj odskok tych, co w książkach wyławiają to tylko, „co nie obraża ich miłości własnéj, co ich do niczego nie obowiązuje, nie popycha do odważenia się na cokolwiek, nie wymaga od nich żadnéj ofiarności, żadnego poskromienia swojego widzimisię. Prawda (dodaje) ma być dla tych ludzi dostępną, łatwą do zrozumienia, zalotną"...

Alboż nie tak? Alboż na własne oczy nie widzieliśmy i nie widzimy, że nawet w tak krótkiéj dobie zdarzeń, jak okres lat pięćdziesięciu od r. 1844, prawda powszechna rzeczywiście obróciła swe oblicze w stronę „wniebogłosów" słońce przyszłości istotnie zbliżyło się do ziemi o jakąś tercyę, o jakąś sekundę?... Treściwie i zwieźle,lecz stanowczo stwierdza to poeta. „W zakresie właściwym — (są jego słowa)

a téj saméj pomocy, co i nieszczęśliwy lud izraelski, wzywają zarazem i wszystkie wznioślejsze umysły Zachodu; usiłują znaleść ją nawet doktrynerzy, sami o tém nie wiedząc". Twierdzenie zaś to Mickiewicza szerzéj i wedle reguł umiejętnych rozwinął za dni naszych jeden z największych właśnie doktrynerów zachodnich, najtęższy umysł współczesny, historyk, lingwista, filozof, od którego imienia, zdaniem Brandesa, wiek XIX otrzyma kiedyś swą nazwę, jak wiek XVIII otrzymał swoją— od Woltera. Żegnając w imieniu Francyi i najwyższéj jéj instytucyi naukowéj śmiertelne szczątki wieszcza, opuszczające grobowiec w Montmorency, człowiek ten wyraził samochwalcze przekonanie, że jedynie znikome popioły Mickiewicza opuszczają ziemię francuską, duch zaś jego—zasadniczo francuski—pozostaje we Francyi. Dziwna ironia losów! W tymsamym czasie, w téj saméj niemal chwili znakomity ów przedstawiciel Francyi i wieku naszego pisał przedmowę do swego dzieła: „Przyszłość wiedzy", — a w niéj „duch francuski", duch XIX stulecia dosłownie, co do litery powtórzył—jako ostateczną i najwznioślejszą swą syntezę,—twierdzenie naszego wieszcza, wygłoszone o pół wieku wcześniéj... Spójrzmy na tę ciekawą zamianę inicyatywy i przodownictwa, na to podszycie się idei francuskiéj pod myśl polską.

Wyczerpała się, znikczemniała ta nasza cywilizacya dzisiejsza— powiedziano w „Przyszłości wiedzy". Jéj widnokręgi się zacieśniły i zaciemniły. Na wszechświat, na jego cuda i uroki szklanemi, obumarłemi oczyma dziś spoglądamy i nieraz nam się wydaje (a w gruncie rzeczy to i jest tak zapewne), że cały ów rozwój ludzki wart sam przez się zaledwie tyle, co mech lub liszaje okrywające wszelką powierzchnię wilgotną. Rozbicie, niesmak, zniechęcenie, rozczarowanie wyniosły się po nad wszystko inne i nad wszystkiém inném górują. Domniemanie osobiste i samowola indywidualnego czynu tak dalece podbiły i zagarnęły pod siebie karność społeczną, wyćwiczoną niegdyś w twardych karbach władzy bezwzględnéj, nieomylnéj, nietykalnéj, że obecnie ani o samorzutném zjednoczeniu serc, ani o przymusowém skojarzeniu dłoni marzyć nie podobna. Nawet zcalenie i zjednoczenie wyznań religijnych odrodziłoby wśród téj rozsypki jedynie anatyzm i ciemnotę wieków dawnych. Najpilniejsze, najbardziéj piekące, powszednie potrzeby życia bezustannie, na każdym kroku potrącają o pytania: co jest moralném i godném naśladowania, a co naganném i na potępienie zasługuje? — Tymczasem zaś nikt racyonalnie odpowiedzieć na to nie umié i nie zdoła, gdyż to, co słuszne i godziwe według jednéj hypotezy, bezecném i zbrodniczém mieni się na podstawie hypotezy drugiéj. Alboż honor, prawość, cnota jedno znaczenie mają u męża stanu i socyalisty? u kapłana i przemysłowca? u anacho-

rety i epikurejczyka? u postępowca i wstecznika? u myśliciela i artysty? — Polityka, ekonomika, metafizyka, stosunki rodzinne, pożycie towarzyskie wyschły jako piaszczyste stepy afrykańskie, gdzie każdy podąża na chybił trafił, na północ, na południe, na wschód, to według nakazu najbliższéj swéj koteryjki, to wedle wskazówki tygodniowego doświadczenia, — byle iść, byle nie stać na miejscu. Trudami bez wytchnienia i przerwy wiek nasz niesłychanie pomnożył fachowe znawstwo faktów konkretnych, ale na ogólne przeznaczenie ludzkie spadła stąd grubsza, niż kiedykolwiek, zasłona niewiadomości. Ludzkość zaciągnęła się jakby do potwornéj gry w skutki przed przyczynami w środki bez rezultatów, w zdobycze wbrew i pomimo zasług. W jakikolwiek punkcik wpakowałeś kulę powodzenia, tam i celność ci przypiszą, tam i prawo twoje. Bez sternictwa wiary jakiéjkolwiek i w cokolwiek, bez żagli natchnionego czémkolwiek wyższém pragnienia i upodobania płyniemy ku nieznanym i niepożądanym brzegom, pośród skał i mielizn podwodnych—mianem przypuszczeń naukowych ochrzczonych, nie wytykających nam bynajmniéj, ani jaką jest wola ślepego bóstwa „przyrody”, ani jaki jest powód wędrówki po przez puste i głuche przestworza „wszechświata”... Gdzie jest gwiazda przewodnia? Rada tych, co nam poprzestać każą na mgłach doczesności, zamknąć się w skorupce zjawisk zmysłowych i skróciwszy perspektywę oddać się uciesze najbliższéj, podręcznéj, jest poprostu wstrętna, niemożliwa do przyjęcia. Dobrobyt? zachwyt nad sztuką? sława może? Ale czémże jest sława bez nieśmiertelności, jeżeli nie fosforyczném błyśnięciem robaczka w ciemnościach nocy wiekuistéj?... Otwarcie wyznaję — kończy Renan, — że nie spostrzegam, jakimby sposobem odbudowane być mogły podwaliny życia choć cokolwiek spokojniejszego i szczęśliwszego, bez odwołania się do dawnych wierzeń, bez ściągnięcia ich napowrót na nasze padoły, — oczywiście w szacie zasady sprawdzalnéj, pojętéj realnie, rozumowo. Doniosłość bowiem i pożyteczność wszelkiego czynu ludzkiego, moc i rozległość wszelkiéj intuicyi umysłowéj, alboż czém inném w obrachunku wieków szacują i mierzą, jak krótszém lub dłuższém ich promieniowaniem na potomne czasy? Alboż nie jedynemi probierzami prawd społecznych ułamkowych, dzisiejszych, są wyroki prawd całkowitych, nieśmiertelnych,—tych, na które, być może, dopiéro setne i tysiączne pokolenia zapracują?...

Takiém jest ostatnie słowo wiedzy kończącego się stulecia; pierwsze — jak wiemy — wyrzekł Mickiewicz. Nie nastajemy jednak na kwestyę rodowodu wyobrażeń, albowiem nie tyle tu chodzi o metrykę danego pomysłu, ile raczéj o drogi i sposoby życiowéj onego realizacyi.

IV.

Doskonaleniu się ludzkiemu kładziono w różnych czasach rozmaite granice.

Z pisarzów znanych Mickiewiczowi i przez niego przytaczanych jeden tylko osławiony autor „Wieczorów petersburskich”, de Maistre, stanowczo i bezwzględnie zaprzeczał rodzajowi ludzkiemu wrodzonych, w naturze jego złożonych uzdolnień do postępu i wznoszenia się na coraz wyższe stopnie rozwoju; wręcz odmiennego zdania był Gibbon, uczony i poważany historyk starożytnego Rzymu. Vico, filozof włoski z początków wieku XVIII-go, mniemał, że dzieje powtarzają się w pewnych okresach i zwrotach kolistych, czyli cyklach, noszących u niego miano *ricorsi*. Jego „*Scienza nuova*” dostarczyła Heglowi wątków do znanéj teoryi trójcowego przewodu dyalektycznego, w którym pierwotne *ricorsi* wiążą się z sobą łańcuchem śrubowym bezprzerwnym. Condorcet, z końca wieku XVIII-go, ciągłość tę wykładał więcéj prostolinijnie i kresu w postępie ludzkości nie przewidywał. Nowsi badacze i myśliciele, głównie z obozu t. zw. pozytywistów, jak np. Comte, Buckle, Spencer, znacznie skromniéj wyrażali się o potędze wpływów człowieka na otoczenie materyalne i o rozmiarach jego zwycięstw na tém polu dokonanych lub kiedykolwiek dokonać się mających.

W okresie Mickiewiczowskim, pod koniec pierwszéj połowy naszego stulecia, pozytywizm zaledwie dopiéro dojrzéwał w głowie St. Simona i jego ucznia Comte'a, zaś idealistyczne uniesienia jego poprzedników hamował w nauce jedynie empiryzm Bakona, sceptycyzm Hume'a, tudzież relatywizm Kanta, — nader zresztą ciasno i fałszywie tłómaczony. Wnioskować by stąd należało, że do egzaltacyi i entuzyazmu skłonny umysł naszego poety otworzy sobie całkiem swobodne przejścia i upusty ku krańcom widoków bezbrzeżnie szerokich, podniebnych, na tle przemagających wtedy kwiecistości eklektyzmu Cousina i wybujałéj romantyki Wiktora Hugo. Nie zupełnie tak się stało. Walery Gostomski w wyborném swém studyum krytyczném o twórcy „Pana Tadeusza” nader trafnie zauważył, że pewien ołowiany moderator, pod postacią „zdrowego litewskiego rozsądku”, nigdy nie przestawał obciążać skrzydeł wieszcza polskiego w najwznioślejszych nawet jego polotach w pozaświat. Zanadto miłował Mickiewicz ludzi, ażeby mógł kiedykolwiek tracić z oczu ich siedzibę — ziemię. Ile razy uczuciem czy przeczuciem, fantazyą czy rozumowaniem ująć zamierzył w ramy pojęć dostępnych obraz przyszłego stanu społeczeństw ludzkich, wytknąć przypuszczalne linie postępu dalszego, pochwycić znamienne ry-

sy zmian oczekiwanych, odtworzyć oblicze pożądanego, ideowo możliwego ułożenia się rozterek ludzkich do zgodnego chóru, zawsze w podobnych razach trzymał się metody, która, w sprawach tak niebezpiecznych i chybkich, cośkowiek jeszcze zdolna jest obiecać i od wielu złudzeń ustrzedz, — metody historycznéj, porównawczo-historycznéj. Zestawianie dziejów *in actu* (minionych) z dziejami *in potentia* (zapowiadanych) wymyka się wprawdzie ze szranek ściśle naukowego poszukiwania, — należy ono w części do umiejętności faktycznych, w części do wytworów hypotezyjnych; wszakże, w drugiéj połowie naszego stulecia, już po Mickiewiczu, analogie tego rodzaju uprawnili przedewszystkiém sami pozytywiści, którym bezspornie należy się zaszczyt wywieszenia hasła: *savoir c'est prévoir*, — wiedzieć to tyle co wieszczyć.

Naczelną cechą historyozoficznych orzeczeń i wieszczb Mickiewicza jest apokaliptyczność, proroczość, mesyanizm, — ale kategorye te roztaczają się u niego na tle praktycznych doświadczeń rodu ludzkiego, a za podkład dla nich służy: uwolnione od przybłędnéj naleciałości majaczeń Towiańskiego (pod koniec prelekcyi w Collège de France) przykazanie, treścią swą wielce zbliżone do sławnéj formuły Kanta: działaj tak, aby postępowanie twoje stać się mogło wzorem czynności powszechno-ludzkiéj. Poeta nasz dostępniéj tylko, niż filozof królewiecki, wykłada najogólniejszy ów postulat etyczny, a wykład ten, przełożony na język mniéj metaforyczny, bardziéj odpowiadający wymaganiom trzeźwéj popularyzacyi tegoczesnéj, uważać można za jeden z najwspanialszych ustępów literatury dydaktycznéj wszystkich ludów i wieków... „Wiedza oderwana i uniezależniona od wielkich zagadnień społeczno-ludzkich posiada jedynie wartość prostéj ciekawości; podziwiamy ją, unosimy się nad nią, chlubić się nią mamy prawo, — lecz nie więcéj nad to...” Odkrycie np., że pod naszemi stopami jest ogień śródziemny wypalający się powoli, a ponad atmosferą ciała niebieskie krążą dokoła siebie według pewnych określonych modeł, należy niezaprzeczenie do najpiękniejszych; ale dodniosłém w znaczeniu ludzkiém, przeto powszechnie prawdziwém, stałoby się ono wtedy tylko, „gdyby prowadziło do rozwiązania tego, na czém szczęście człowieka zależy.” Astronom odsłonił dla człowieka niezbadany zakątek nieba i majestat przyrody posunął po za granice poznanego dotąd świata, — chwała niech będzie astronomowi! Dobroczyńcą atoli nazwie go ludzkość dopiéro wówczas, gdy z tych jego rozchmurzonych widnokręgów zleje się na nas światło, co choć jednéj nędzy na ziemi ulży, choć jedno cierpienie usunie, choć jedno ziębnięte serce ogrzeje, choć jedną ciemną duszę rozjaśni. Statystyk mozołami całego żywo-

ta wykrył niezmienne odsetkowe prawo śmiertelności: błogosławione będą dni i godziny jego pracy, jeżeli się przyczyniły do zmniejszenia téj śmiertelności bodaj o jedną milionową cząstkę na każde lat tysiąc; inaczéj, trud jego zabawką. Archeolog odszukał kodeks ustaw aryjskich o pięć tysięcy lat starszy od prawodawstw Manu, Mojżesza, Solona: gdzież są hymny, któremibyśmy godnie uczcili poszukiwacza, skoro się pokaże, że znalezione księgi podkopią nareszcie i zwalą olbrzymią górę nieprawości, objętych księgami Justyniana, Fryderyka II, Napoleona!

„W życiu rzeczywistém, które zawsze służyć będzie za miarę, ile teorya warta, ludzie godziwego czynu i ludzie zacnéj pracy daleko są bliżsi prawdy od tych, co sądzą się być posiadaczami jéj zasad; zasady nie stosowane w praktyce stają się bezowocnemi...” Uczeni, publicyści, propagatorowie, zajmujący się wszelkiemi kwestyami, oprócz téj jednéj — owocowości dzieł ludzkich — spostrzegają się zazwyczaj na lichocie swych pościgów zawziętych nie wcześniéj, aż im się zdarzy sposobność naocznego wniknięcia w powody niepokoju, jakie jednostkę ludzką nękają w stanowczych dopiéro chwilach jéj bytu, obchodzą zaś najmocniéj naród każdy głównie w epokach przeobrażeń krańcowych. Wtedy to pytania: com dobrego dla świata uczynił? jaką pamięć po sobie zostawiam u innych? jawią się w całéj swéj grozie i potędze. W zakresie praw i spraw życiowych, cokolwiek kto stawia, cokolwiek podaje, prędzéj czy późniéj będzie musiał doświadczyć tego na sobie... Poświęcenie czy gwałt, wlane przez jednostkę lub zbiorowość do czary zdarzeń powszechnych, wrócą na głowę potomstwa z ciężarem pomnożonym w stosunku słabego szczegółu do milionowego ogółu. Wobec tego pewnika, którego najzapaleńszy nawet materyalista nie poważy się odrzucić, — nie przeczymy, że olbrzymią zasługę wyświadczył ludzkości ten, kto sformułował prawa grawitacyi słońc,— ale jakże geniusz jego jest biédnym i nikłym wobec Tego, który serca ludzkie atrakcyą powiązał!...

Zarzuci może ktokolwiek, że za wielką wagę przywiązano tu do sił i widoków ludzkich, a zanadto mało uwzględniono siły i wyroki przyrody, trzymające nas w swych więzach, fatalnie ograniczające szczytne popędy naszego serca i łańcuchem swych przykazań krępujące przykazania wieszczów...

Być może. Lecz o jakiéj to przyrodzie mowa? Czy o téj bezmyślnéj i bezlitośnéj, co ilekroć chce zniszczyć zarazek marny w zatęchłém powietrzu, uderza w niego orkanem ślepym, od którego giną tysiące istot niewinnych i dobytek pokoleń? co ilekroć pragnie coś stworzyć, idzie ku temu miliardami prób chybionych, okrutnych, zdra-

dzieckich? Czy też raczéj mamy na myśli przyrodę drugą, tę mianowicie, co bohatérowi rzucać się każe w ogień i wodę dla uratowania ostatniego nawet nędznika? co wykarczowawszy dzikie ostępy ziemi, zniewala je do rodzenia balsamów tam, gdzie wpierw rosły głogi i pleniły się gady? — To są dwie natury różne — jak bydlęctwo i jak bóstwo. Gdzie się ukazuje druga, pierwsza przed nią znika lub staje się służebnicą jéj wierną, posłuszną. Tak dotąd było na kuli ziemskiéj, tak będzie zawsze — jeżeli tylko nie opuścimy chorągwianych godeł wieszczów. I jest na to dowód, o ile być może ścisły, dziejowy.

Powoławszy się przygodnie na swego przyjaciela, Edgara Quinet'a, Mickiewicz utrzymywał wraz z nim, że ludy pierwotne nie były tak barbarzyńskie, jak mniemamy zazwyczaj. Zdanie to zapewne jest słuszne o praojcach plemienia, które dziś posiadło ziemię. Jak daleko sięgają tradycye, przedstawiają one Aryów, przodków naszych, na dość wysokim stosunkowo stopniu obyczajności, towarzyskości, wyobrażeń prawno-społecznych i religijnych. Szczególnym, niezwykłym wydaje się tylko ich nastrój umysłowy. Gdyby im np. kapłani powiedzieli byli, że nadejść mogą czasy, kiedy człowiek zaprzęże do swego rydwanu chmury i na nich zaleci na księżyc, na słońce, na gwiazdy, uwierzyliby temu odrazu. Chmury, słońca — to tacy dobrzy, tacy bliscy, dostępni przyjaciele... Ale, gdyby kto tych Aryów zaprowadził był nad ocean i oznajmił, że prawnukowie ich przepłyną z czasem na drugą stronę téj wody straszliwéj, bez dna i granic, wzięliby go bez namysłu za szaleńca. Tymczasem, jak wiemy, niepodobieństwo ówczesne stało się dziś faktem, kiedy prawdopodobieństwo dawne uchodziłoby dziś w ustach proroczych—za symptom obłąkania...

V.

Jeden z poczytniejszych tegoczesnych pisarzy rosyjskich (Pypin, w „Historyi literatur słowiańskich", t. II, str. 1107, wyd. drugie) zaznaczył nie bez pewnego nacisku, że w mesyanicznéj doktrynie Mickiewicza przyszłe stosunki społeczne, ogólno-ludzkie wieszcz nasz urządzał na podstawie dobrowolnego związku ludów słowiańskich. Rzeczywiście, — taką jest podstawa polityki słowiańskiéj Mickiewicza. „Związek pomiędzy ludami — powiada on — opiérać się ma nie, jak dotąd, na interesie materyalnym, handlowym lub wojskowym, lecz na prawdzie wewnętrznéj („*Cours de la literature slave*", 1860, t. V, str. 6). „Dla poznania prawdy, trzeba się wyrzec wszystkiego, co nas trzyma w więzach górujących obecnie pewników doktrynerskich, zdo-

być się na intuicyę, na ów okrzyk duszy, jaki z siebie od wieków wydobywa lud izraelski... Trzeba w sobie wykrzesać ową iskrę.. ów promień rozświecający przeszłość i przyszłość, jak błyskawica rozświéca drogę przed zbłąkanym podróżnym" (*ib.*, 26, 28). „Promień i okrzyk taki dadzą żądaną dla świata ideę" (35). „Dzieło atoli genialne nie powstanie, jeśli się nie znajdzie ręka mędrca, potężna i bratnia, coby się dotknąwszy lampy misternéj, w któréj zaklęty geniusz spoczywa, pozwoliła mu posłyszéć słowo tajemnicze" (44). Żeby zaś módz to uczynić, trzeba miéć wiarę; lecz wiara dawno upadła, któż nową zapoczątkuje w sercach ludzkich? Zapoczątkuje ją mistrz, prorok, człowiek święty i dzielny, *ecce homo* epoki nowéj, osobnik-synteza, drugi Napoleon wielki (269), którego imię (w prelekcyach niedopowiedziane, czy téż wykréślone przy końcu cytaty z „Dziadów")... którego imię: „Czterdzieści i cztery" (t. V, str. 296).

Co do punktu wyjścia w tym roziskrzonym, a trudnym do zrozumienia przebiegu widzeń poety, zauważmy, że „braterstwo", pojęte jako norma stosunków międzynarodowych, jest u Mickiewicza tylko przypuszczeniem na przyszłość, hypotezą, którą „słowo" ma dowieść, a czyn urzeczywistnić. Zbytecznėm zaś byłoby dodawać, że normy téj nie stosował profesor ani do przeszłości, ani do teraźniejszości natychmiastowéj, wiedząc dobrze, że dziś „historya podobną jest do walki owadów mikroskopijnych, które się wzajem niszczą i powstają co chwila" (I, 352), tudzież, że czasy minione i obecne to grób ciemny, w którym ludzkość od wieków składała umęczonych przez siebie apostołów i zbawców. Nie trzeba było Mickiewiczowi czekać na przyjście Darwina, ażeby wiedziéć, czém są w swojéj istocie tegoczesne szranki zapasów towarzyskich, społecznych i politycznych. Dobrze znany był wieszczowi polskiemu smętny, przygnębiający, historyozoficzny wniosek Herdera: „Ilekroć zajrzysz w łono dziejów, zawsze tam postrzeżesz krew i ruinę", wśród których „rodzaj ludzki, pomimo długich, nieskończonych swych usiłowań, wciąż jeszcze zdaje się być przykutym do koła Ixiona, do skały Syzyfa i skazanym na męki Tantala" (*Phil. der Gesch*, w zbiorze dzieł, t. XXIX, str. 54 i 224).

Nie marzył więc poeta o tém, co było i przeszło, lecz troskał się i bolał nad tém, co będzie. Dlatego powiadał: „Społeczność Boża nie istniała nigdy na ziemi. Ale czy istnieć kiedykolwiek będzie i czy jest rzeczą prawdopodobną, by istniała? — odpowiadać na to przecząco nikt nie ma prawa. Przeszłość nie może być sędzią przyszłości, a zagadnienie samo, aczkolwiek, być może, obojętne i obce dla cudzoziemców, jest dla Słowian największéj wagi, gdyż w niém tkwi ich zbawienie" (t. II, str. 350).

Sprawa więc realizacyi braterstwa wraz z zagadnieniem o czasie- w jakimby to nastąpić mogło, daje się jeszcze tłómaczyć. Daleko trudniejszém byłoby rozgmatwanie samego dogmatu o przyjściu „człowieka nowego" (według wysłowienia Quinet'a). Trudność spoczywa nie tyle w samym przedmiocie, ile w cudactwie opinii powziętéj o takich akcesoryach wieszczby Mickiewicza, jak ów prototyp przyszłego posłannika: Napoleon I lub owe „Czterdzieści i cztery", lekceważone i poniewierane niekiedy u nas, a bez żadnego rozumnego powodu, gdyż nie trzeba nawet być biegłym psychologiem, ażeby pojąć, iż w stanie poetyckiego podniecenia wyrazy lub obrazy drugorzędne, lgnące do całości natchnionéj i nieraz na pierwszorzędném miejscu się sadowiące, pochodzić mogą z zakresu takich szczegółów i drobiazgów życia i otoczenia, których ani sam wieszcz, ani jego najbliżsi doszukać się późniéj nie są w możności. Rozejrzyjmy się w okolicznościach i gruncie. W znaczeniu najbardziéj dostępném mesyanizm to tyle, co wiara w ludzi opatrznościowych. Błędna w oczach jednych, prawdziwa w oczach drugich, idea „jednostki wybranéj" była oddawna i jest podziśdzień dla historyków zagadnieniem najzupełniéj naukowém. Przypomnijmy sobie, że jeszcze w dziesięć lat po zgonie Mickiewicza wszelkie możebne tytuły Cezara, jako „opatrznościowca", podnieść usiłował do wyżyn aksyomatu politycznego Napoleon III ci. W głośném swojego czasu dziele, którego plan układał (jak wieść niesie) i do którego z pewnością materyałów dostarczał Momsen,—w dziele „*Histoire de Jules Cesar*" (Paryż, 1865 — 1866) główne zasady filozoficzne są jakby żywcem wyjęte z prelekcyi Mickiewicza. Powołajmy się na jeden tylko ustęp: „Ilekroć (pisze Napoleon III w przedmowie, t. I, str. 6) Opatrzność wysuwa na widownię ludzi takich, jak Cezar, Karol Wielki, Napoleon, czyni to zawsze w tym celu, by wytknąć ludziom drogi nowe, położyć pieczęć ich genialności na epoce nowéj, spełnić w latach kilku pracę wieków wielu. Szczęśliwe ludy, które przywódzców tych swoich zrozumieją i za nimi podążą. Biada tym, które ich zapoznają i z nimi do walki wystąpią! Czynią oni jako żydowie, którzy swego Mesyasza zamordowali; są one ciemne i występne; ciemne, gdyż nie postrzegają niemocy swych usiłowań, skierowanych przeciwko ostatecznemu zwycięstwu dobra; występne — gdyż powstrzymują postęp, zagradzając przed nim gościńce szybkiéj i płodnéj realizacyi." Nieco wcześniéj, w samych latach wykładów Mickiewicza lub niewiele przedtém, zdania podobne powtarzali pod rozmaitemi osłonami najgłośniejsi tamtocześni mężowie stanu, publicyści, politycy, estetycy. Ów Cezar opatrznościowy z książki Napoleona III-go zajął u Augusta Comte'a

stanowisko apostolskie, nawet męczeńskie. Twórca filozofii pozytywnéj zwie Cezara „nieporównanym, wielkim, znakomitym, wspaniałomyślnym, szlachetnym zdobywcą Galii", zbawcą ludu rzymskiego, prorokiem ludzkości; w kalendarzu swoim wszechczłowieczeńskim znaczy jego imieniem piąty miesiąc roku i utrzymuje, że umysł Cezara, „całkowicie uwolniony od ducha teologicznego i metafizycznego", o kilkanaście wieków wyprzedził i zapowiedział „myśl nowożytną", to jest myśl „pozytywizmu filozoficznego" („*Politique positive*", t. III, str. 387 i nast., wyd. pierwsze). Niemniéj od Comte'a, szczerym wyznawcą mesyaniczności w dziełach wielkich wojowników i polityków był téż i zawzięty przeciwnik Comte'a, przywódzca filozofii urzędowéj, uniwersyteckiéj Cousin, który, wypowiedziawszy wojnę analitycznéj metodzie Niebuhra, twierdził, że „Cezar uosobił w swych dziełach ducha czasów nowożytnych, demokratycznych" (gdyż wiadomo, dodawał Cousin, że nie ma i nie może być demokracyi bez pana), i taka to demokracya znalazła jakoby wzór dla siebie, mistrza i przewodnika w osobie najdostojniejszego, najmędrszego, najgodniejszego, najłaskawszego Juliusza Cezara („*Introd. à l'hist. de la phil.*", wyd. 1841 r., str. 279).

Co z Cezara i dla Cezarów uczynili historyozofowie i filozofowie z okresu kursów mickiewiczowskich, to samo zrobił dla napoleonidów, z powodu Napoleona I, polityk, historyk, publicysta i pierwszy prezydent trzeciéj rzpltéj, Thiers. Jego olbrzymie kompendyum dziejów pierwszego cesarstwa z końca w koniec stanowi jedną długą a nieznośną apologię, nie już tylko czynów wojennych i administracyjnych wydawcy kodeksu francuskiego i autora bitwy austerlickiéj, co byłoby rzeczą naturalną, lecz zarazem wszystkich jego ukrytych zbrodni i otwartych gwałtów, które Thiers wszędzie czyści i pobiela pod tym pozorem, noszącym u niego miano wyższéj racyi stanu lub konieczności położenia, że „do wielkich ludzi nie może być stosowana miara moralności pospolitéj, że to są generałowie boscy, względem których „wszelka nagana musi pozostać bezsilną", i że ogrom rezultatów przez nich osiąganych „uwalnia ich (dosłownie) od odpowiedzialności za bezprawia, nadużycia i chytrości spełniane w celu otrzymania takowych ogromów" („*Hist. du Cons. et de l'Empire*", księga szczególnie XXIX).

Przeświadczenie o istnieniu i potrzebie istnienia ludzi opatrznościowych, nadzwyczajnych, wymykających się poniekąd z ram i warunków zwyczajnego żywota ziemskiego, nie znikło zresztą podziśdzień z obiegu dociekań teoretycznych, dziejopisarskich. Przyznają się do téj doktryny najtrzeźwiejsze niekiedy umysły, jak o tém w literaturze

naszéj świadczy spór Smolki z Bobrzyńskim o cele i zadania nauk historycznych. „Jest to właśnie (pisze Smolka) cechą wielkich indywidualności historycznych, że geniusz ich umié wyzyskać materyał danych stosunków i pchnąć ich rozwój w kierunku, o którym jeszcze poprzednim pokoleniom ani się marzyło" („Szkice", t. I, str. 298). Zresztą z innego stanowiska, albož znane powszechnie, umiejętnie zbudowane dzieło Bagehota „O prawach rozwoju narodowości" nie jest jednym z najokazalszych traktatów o tém, że zarówno cnoty, jak ułomści, wraz z całą charakterystyką towarzyską zawdzięczamy drogą naśladowniczą — osobnikom najsilniejszym, najzręczniejszym lub najrozumniejszym? — Nadto, z punktu praktyki życiowéj, alboż nie stosowną ideę ludzi opatrznościowych rozwinął Spasowicz w swém studyum o Wielopolskim, w którém z taką żywością wytknął narowy i śmieszności społeczeństwa polskiego z przed lat trzydziestu pięciu i tak niemiłosiernie schłostał „miernotę" za to, że nie poznawszy się na człowieku wyższym, dorastającym niemal do powagi kościuszkowskiéj, wystąpiła z nim do walki zgubnéj, śmiertelnéj („Pisma", t. III, str. 143—44, 246—48).

Nie ma przeto i w mesyanizmie Mickiewicza nic dziwacznego lub cudackiego; jest to wyobrażenie zupełnie proste, w literaturze historycznéj utarte i tém się tylko wyróżniające u naszego wieszcza, że się na świat ukazało w powijakach mistyczno-poetyckich. Czy było ono u Mickiewicza oddźwiękiem mniéj więcéj uświadomionym współczesnych z jego wykładem prądów i dążności? czy nosiło na sobie „znaczek fabryczny" wytkniętych tylko co sorbońskich proroków i kapłanów z urzędu, produkujących posłannictwa obstalowane z góry lub tak oszlifowane eklektycznie gwoli gminnego kursu, że służyć mogły na wszystkie tryby, czasy, przypadki, formy i osoby polityczne, czy to liczby mnogiéj czy pojedyńczéj?

Lekki cień posądzenia w tym sensie pada istotnie na mesyaniczne pomysły Mickiewicza, ale pada jedynie z przyjętego przezeń napoleońskiego „arcytypu" posłanniczego, z powodu mylnie powziętego pojęcia o doskonałości i świętości postaci, któréj sam wieszcz nie zbadał, zbadać nie mógł na podstawie świadectw autentycznych, wówczas jeszcze nie ogłoszonych, a którą dopiéro po upadku Napoleona III-go i po należytém wyświetleniu dokumentów archiwalnych ogołocili z aureoli „apostolskiéj" tacy dziejopisarze, jak Lanfrey lub Michelet (w dziele p. t. „Historya wieku XIX-go"). Oprócz tego, z mimowiednéj i mimowolnéj swojéj w tym przedmiocie pomyłki, poeta nasz zawczasu się rozgrzeszył, czyniąc w przedmowie do pierwszego (niemieckiego) wy-

dania „Kursu" wyznanie o niezmierném ubóstwie „źródeł", na których zmuszony był poprzestawać w swych wykładach. Co do reszty, między całością faryzeuszowsko-lojalnych rodowodów Comte'ów lub Thiers'ów a całością religijnych i patryotycznych męczarni myśli mickiewiczowskiéj, zachodzi taka jedynie spójność, taki jedynie stosunek, jaki my dziś w uczuciach swoich otrzymamy, gdy dziwaczny, przytoczony powyżéj aforyzm Cousina „o demokracyi z panem" postawimy obok jednego choćby tylko promienia duchowéj zacności Mickiewicza, który tak się w jedném miejscu wyraża: „Najdonioślejsze popędy ludzkości do zgody, do braterstwa łamią się i pękają tam, gdzie dążność do jedności w ludach staje się dla dowódzców tylko pretekstem do rozbojów i ujarzmień" (I, 358).

Słowem, zagadnienie o niezwykłém religijném niejako posłannictwie wielkich ludzi nie budziłoby w wykładach Mickiewicza ani obaw, ani wątpliwości, gdyby się nie wiązało ściśle z jego przepowiednią zagadkową zawartą w przenośni poetyckiéj, „a imię jego czterdzieści i cztery." Trudno zapewne utrzymywać, aby ostatnie to dziecię tułaczych dum Mickiewicza przyszło było na świat w pełni sił i zdrowia; ale tém większy powód do zbadania, w jakim stopniu było ono chorowite. Kwestya wszakże jest tak złożoną a rozległą, że ją wypada poruszyć *ab ovo* na podstawie kilku świadectw wiedzy zdobytéj w ostatnich dopiéro czasach, już po zgonie wieszcza.

VI.

Znanym jest w dziejach fakt powolnego lub stopniowego a niepowstrzymanego jakby fatalistycznego znikania z powierzchni ziemi ludów pierwotnych, czerwono i ciemnoskórych, władców niegdyś i posiadaczów całego, przez plemię białe, czyli aryjsko-semickie, zajętego obecnie obszaru świata cywilizowanego. Europa, większa część obu Ameryk, połowa Azyi, wszystkie żyzniejsze wybrzeża Afryki i Oceanii uległy już nieubłaganemu prawu ustępowania autochtonów przed nacierającymi na nich Aryami i Semitami. Masy tych „pierwotniaków", gromadnie się opiérających jeszcze gdzieniegdzie ryczałtowemu wydziedziczeniu (w Chinach np.), są tak stosunkowo słabe i upośledzone, zarówno fizycznie jak i moralnie, że zdaniem jednego z najznakomitszych nowoczesnych statystów, Bluntschlego („*Allgemeines Staatsrecht*, t. I, str. 70), doby etnograficznego ich istnienia są policzone. Przyczyna zjawiska tłómaczona bywa rozmaicie, wedle specyalności

badaczów; najpospoliciéj jednak używany termin: „fizyologiczna niższość” człowieka przedhistorycznego (czyli monosylabicznego, jak go nazywają lingwiści od języka głównych żyjących przedstawicieli szczepu, Chińczyków), nie da się utrzymać w świetle wiedzy tegoczesnéj. Antropologia porównawcza jest w téj materyi bezsilna. Czaszka mongoła lub czaszka wykopana z jaskini troglodyckiéj nic nie powié w zestawieniu z czaszką Newtona, tak samo jak niby nie powiedziały o sobie nogi konia, który trzy tysiące lat stał w stajni, przymierzone do nóg folbluta, który w ciągu tego okresu ścigał się i pracował. Typy porównywane są tu niewspółmierne, bo nie jednocześne, nie jednookresowe. Ażeby módz coś orzec o wyższości kraniologicznéj, czy też zgoła etnicznéj Aryów i Semitów nad pierwotniakami, należałoby trzy te grupy obejrzéć i zbadać przy mecie dziejowego rozejścia się ludów, przed wyjściem ich na widownię wyścigów. Dla starożytników zagadnienie to nie byłoby może trudne do rozwiązania. Dość-by może było ich spytać, czy mózg, który wydał naukę Konfucyusza (wraz z przeciętnym mózgiem jego wyznawców, monosylabistów) był lub nie był w czémkolwiek mniéj potężny od mózgów, którym Semici zawdzięczają swą Biblię, Aryowie zaś kanoniczne księgi Rig-Wedy. Max-Müller, Pictet, Benfey, Renan z rzadką w takich kwestyach zgodnością odpowiedzieli już nawet na to, że żadnéj umysłowéj niższości w danym zakresie niepodobna odkryć i zaznaczyć u pierwotniaków azyatyckich, — pomimo że dziś dali się oni znacznie wyprzedzić na drodze rozwoju ludom szczepów aryjskiego i semickiego. Renan utrzymuje np., że uzdolnieniem do rękodzieł i sztuk zastosowawczych, przedsiębierczością pozytywną *(esprit positif)*, zamiłowaniem i zręcznością w handlu, przemyśle, rzemiosłach, rolnictwie i w ogólności w staraniach o wygody i dobrobyt materyalny pierwotniacy wybitnie zawsze górowali i górują nad Aryami i Semitami. Czémże się więc stało, że kiedy wyznawcy Biblii (semici izraelscy) i wielbiciele hymnów wedyjskich (praszczurowie nasi aryjscy) szybkim krokiem podążali naprzód, ku przyszłości, oświacie i swobodzie, to uczniowie Konfucyusza i Lao-tze, przytuleni lękliwie do odwiecznych swych siedzib, pozostali przy przedhistorycznym poziomie umysłowym i społecznym? Jedynie możliwe tłómaczenie różnicy w trybach działalności historycznéj, wobec jednakowego napięcia pierwotnéj siły intelektualnéj, zasadza się na różnicy d u c h a k s i ą g, pod których wpływem trzy te odłamy rodu ludzkiego istotę swą, jaźń swą wypielęgnowały. Zamknięci w obrębie zagadnień czysto ziemskich, tutejszoświatowych, konkretnych, niby w gmachu wielkim bez okien i otworów ku niebiosom z a ś w i a t o w o-ś c i dalekiéj, ponętnéj, dokądby myśl, podniecana zagadką dziwów

niezaznanych, pociągała pragnienie i wolę do oswojenia się z niemi (a właśnie obie starożytne religie chińskie tak a nie inaczéj są zamknięte, zamurowane od strony problematów zaziemskich), — ludzie szczepu wegetującego obecnie na obszarach stosunkowo jeszcze rozległych, raz na zawsze skazani zostali na ruch dośrodkowy w sobie skupiony, wyłącznie własny i swojski, to jest na ruch dokoła siebie samych, dokoła swych zagród, domostw, stodół, pagód i cmentarzy, — i to od rana do wieczora, od stulecia do stulecia, od dynastyi do dynastyi. Jaka była dusza zamknięta w księgach religijnych, taki téż był i czyn na drogach pochodu dziejowego. Nic to nie znaczy, że myśl, wola, żądza, wypływająca z wiary, nie stanowi jeszcze sama przez się działania, nie jest ruchem i że myśl a ruch są światami nieprzeobrażalnemi równoważnie a zasadniczo jeden na drugi, niemożliwemi do ilościowego z sobą porównania i do jakościowego wyprowadzenia jednego z drugiego; dość pewności faktycznéj, sprawdzalnéj, że między ruchem a myślą zachodzą związki stałe i w pewnych razach nieodzowne, niezmiernéj psychologicznéj wagi i doniosłości.

We wszelkich zbiorowych dziełach i przedsięwzięciach ludzkich, od przedhistorycznego ich zarania, poczucie, pomysł, idea stanowi zarodkowe ziarno, pierwszą pobudkę, początkującą dźwignię postępowania i działalności, — pobudkę i dźwignię tém silniejszą i trwalszą w przebiegu zdarzeń dalszych pomniejszych, im głębiéj ona zastrzęgła w glinie najpierwszych duchowych pasowań się człowieka z otoczeniem. Z tego to drugiego powodu poszło, że jakie koło i jaki kierunek zakréśliła pierwotniakom (Chińczykom np.) myśl proroka, bohatéra, prawodawcy, takiemi téż ścieżkami czynu podążać zaczęli wyznawcy jego słowa. Ciasnym i wąskim był widnokrąg genezyjnego przykazania, — ciasną téż wąską i poziomą stała się wędrówka życia. Odmiennie stało się u Aryów i Semitów. Inny drogowskaz umysłowy na inne téż gościńce dziejów ich wyprowadził. Natchnione ich księgi, zwiastujące rzeczy niebywałe, niewidzialne, krainy nieskończone, niedostępne, wypadki nieprzeniknione, niespożyte, stały się owém parciem źródłowém, które pragnienia i zamiary wiernych pchnęły w strony wiekuistego czerpania i wyczerpywania zagadek wiekuistych dłońmi urzeczywistnień doczesnych; kanoniczne te księgi były ową ręką dobroczynną, „bratnią a potężną" — jak się wyraża Mickiewicz, — która raz na dziesiątki tysięcy lat nakręciła misterny zégar życia i przeznaczeń pradziadów naszych. O ile bowiem w przedmiocie koniecznego tego skojarzenia myśli z ruchem, idei z czynem i naodwrót powiedzieć można z Horwitzem, że pierwszy brzask działalności, napół świadoméj, napół bezwiednéj objawiający się w jestestwach organicznych w ogól-

ności, rozpoczął się od pytającego drgnięcia: co tu począć? — „*was fang ich an?*” („*Psycholog. Analysen*”, cz. II, str. 82) — o tyleż słusznie da się wywnioskować, że pierwszy świadomy czyn zbiorowy, społeczny, wysnuł się z duszy ludzkiéj w formie zagadnienia: „co o tém sądzić? jak z tém sobie radzić?” Stosunek podmiotu (subiektywności) do obiektywności (przedmiotu), jako sprężyny czynnéj do machiny wykonawczéj, stanowi w zakresie zasadniczych wyobrażeń o powstawaniu związków społecznych postulat, bez którego i po za którym ciemność byłaby nieprzeniknioną, wszechwładną. Pewnik to niezaprzeczony, — przynajmniéj w początkujących dziejach Aryów i Semitów, że z genezyjnego parcia doświadczeń raz zdobytych, uświadomionych w krainę bytów niezbadanych, niepoznanych, boskich rozwinął się cały proces postępowego ich pochodu na widowni dziejów. Treść i wartość nieśmiertelnie zaciekawiającéj owéj kądzieli, z któréj pokolenia brały i biorą doczesną swą przędzę, są w zagadnieniu niemal obojętne; chodzi głównie o to tylko, aby podnieta jaknajgłębiéj osadzoną była w sercach i trwać mogła jak najdłużéj. Im więcéj w duszach spoczęło pytań nie rozwiązanych na razie, czyli mistycznych, tém większy przez to stworzył się na przyszłość zasób popędów do realnego ich dochodzenia, badania i roztrząsania. Osnowy rzeczywistéj, faktycznego dla pracy materyału dostarcza tu samo otoczenie, sama przyroda, wśród któréj zbiorowość prowadzona jest za rękę przeczuciem lub wiarą, że nieznane dziwo „zaświata” — Sfinks, zewnątrz nas zaczajony, da się odkryć, obejść, ująć, przejednać lub nareszcie — skoro się pokaże być wrogiem nieprzejednanym, — że się da zniszczyć. I w tém to znaczeniu trafnie powiada filozof amerykański, Wiliam James: „Wiara stwarza własny swój sprawdzian. Wierzycie, że posiędziecie najwyższe dobro, które was ocali? — wybornie, nie pomylicie się wcale, gdyż najprawdopodobniéj ocaleni będziecie, choćbyście najwyższego dobra nie osiągnęli. Nie wierzycie?—to i w takim jeszcze razie trafną będzie wasza niewiara, — bo istotnie zginiecie. Różnica cała polega na tém, że korzystniéj jest dla nas wierzyć w ocalenie, niżli nie wierzyć” („*Crit. philos.*”, 1882, Nr. 36).

W oświetleniu tych uwag uwydatni się, być może, obecnie nieco dokładniéj problematyczna mickiewiczowska doktryna „posłannictw”.

Skłonność do mistycyzmu, do upatrywania pewnéj siły, władzy, czy téż tylko możliwości nadzwyczajnéj, ukrytéj po za zasłoną praw i zjawisk zwyczajnych i niemi stale lub w szczególnych wypadkach kierującéj, ujawnia się w mniejszym lub większym stopniu w całéj umysłowéj działalności Mickiewicza. Jest to jakby rys pierwotny jego

ustroju duchowego. W kursie literatury słowiańskiéj spotykamy rys ten zaraz na wstępie, w pierwszéj lekcyi, w niczém zresztą jeszcze nie zapowiadającéj późniejszego rozkwitu doktryny, — a mianowicie w oświadczeniu, że „naród polski przeznaczonym jest stać się Kopernikiem świata moralnego" (I, 13), w tém znaczeniu, jakoby społeczność nasza przechowywać w sobie miała pewną energię życiową o takich własnościach etycznych, że z niéj trysnąć może dla świata potok świeżych, zgodniejszych z potrzebami czasu norm i modeł pożycia towarzyskiego. W ciągu całego pierwszego roku szkolnego zapowiedź ta leży bez żadnego znaku życia; profesor zajęty jest zupełnie czém inném. Dopiéro z początkiem drugiego roku szkolnego, t. j. w grudniu 1841 r., wiotka płonka idei mesyanicznéj zaczyna okrywać się kwieciem wiedzy wyraźniéj nieco uporządkowanéj i rozwiéwać dokoła siebie złote pyłki wieszczby dogmatycznéj. Tu dopiéro się dowiadujemy, że szczep słowiański ożywia w téj chwili oczekiwanie nowéj myśli ogólnéj (*d'une idée generale, d'une idée nouvelle)*, która zarazem będzie myślą wspólnie wiążącą wszystkie ludy (II, 309); tu zaznaczone niezwykłe dostojeństwo słowa u Słowian, którzy ducha swego jeszcze nie roztrwonili i nie nadużytéj swéj mowie przyznają moc pierwotną (312); tu wytknięty cel usiłowań głosicieli „słowa" ucieleśniającego ideę: „służyć prawdzie, pracować dla prawdy, posługiwać się prawdą jako jedynym puklerzem przeciwko fałszowi, złości i błędom" (313); tu nareszcie znajdujemy wyznanie, że wykład literatury słowiańskiéj ma przed sobą założenie i widoki dalsze, że jest tylko wstępem i przygotowaniem do umiejętności wyższéj, ostatecznéj: „do filozofii rodziméj słowiańskiéj" (319).

Jednakże wyobrażenia Mickiewicza nie splatają się jeszcze dotąd z łatwością i swobodą. Wisi nad niemi pewnego rodzaju mgła lub zaćmienie logiczne, spowodowane jakby żywszém, oddech tamującém wzruszeniem, może bolesném, może radosném — i trwa to aż do lekcyi z d. 28 grudnia 1841 r., czyli czterdziestéj i czwartéj z rzędu od dnia rozpoczęcia kursu,—zaznaczmy to mimochodem, bez przywiązywania zbyt wielkiéj wagi do kabalistycznego znaczenia téj cyfry. Lekcya ta wraz z trzema bezpośrednio po niéj następującemi (do d. 11 stycznia 1842 r. włącznie) składają się na zarodkową pestkę całego systemu i zajmują w II tomie kursów stronic 67 (od 332 — 399). Bacznymi i oględnymi być tu musimy na najdrobniejszą okoliczność, o ile że jest to z początku jakby ważenie się z sobą w mgławicach abstrakcyi dwóch pierwiastków spornych, wydać z siebie mających syntezę pożądaną, — syntezę, według założenia profesora konkretną a przecież absolutną, gdyż umiejscowioną co do swego pochodzenia, a przecież powszechną

pod względem doniosłości swych skutków i zastosowań. Pierwiastkami temi: prawa ogółu i prawa jednostki. I ten to proces embryologiczny wyłania z siebie jedno, stałe i wielkie „prawo moralne”... Jakaż jest tego prawa formuła?

Zanim przystąpimy do odpowiedzi na to pytanie słowami samego profesora, streszczonemi o ile możności najzwięźléj, — uczynić musimy jeszcze jedno zastrzeżenie. W wywodach najściśléj nawet naukowych przewodnia nić rozumowania nie pęka, nie zrywa się jeszcze przez to, że ją obciąża materyał dowodowy zbyt suty, przesadzony, źle ugrupowany, lub przestarzały. Już dziś nie dowodzimy obrotu ziemi dokoła słońca metodami Kopernika, choć jego system planetarny uważamy za niemylnie i nieodwołalnie prawdziwy i ustalony. Mickiewicz przed pięćdziesięciu z górą laty nie mógł być równie, jak my dziś, zasobnym w erudycyę pomocniczą: lingwistyczną, archeologiczną, filozoficzną i t. p. Wiadomościom jego historycznym, przesnutym legendami możnaby poczynić zarzuty dość ważne, ale to byłaby czcza szykana tam wszędzie, gdzie profesor powołując się na fakta — podziśdzień jako takie niezaprzeczone — daje im oświetlenie, któregobyśmy obecnie użyć nie chcieli. Weźmy przykład. Poeta, stając w obronie praw jednostki i posuwając zasadę indywidualizmu do ostatnich, krańcowych jéj wyników, dość mętnie i niepewnie wyraża się o takiém zboczeniu i zbrodniczém nadużyciu swobody osobistéj, jak to, które podanie okryło bezsławném imieniem Sicińskiego. Czy ów argument *per nefas* ma świadczyć przeciwko tematowi głównemu? czy ma uwłaczać słuszności i prawdzie naczelnego założenia? — Ależ chyba w ten jedyny sposób, w jaki królestwu Bożemu i szczęśliwości wiecznéj uwłacza ten, co dla ich przyśpieszenia — wiesza się lub topi. Żadna rafa niemeńska nie zdoła przecież zaprzeczyć istnieniu Niemna, ani szybkości wód jego biegu.

VII.

Rozbiérając pamiętniki Paska, Mickiewicz trafia na ustęp, gdzie mowa o elekcyi króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego. Prymas, senatorowie, dygnitarze, możnowładcy, przywódcy stronnictw wcześnie już poczynili starania w celu przeprowadzenia własnych kandydatów. Tymczasem, zbiéra się olbrzymie koło wyborcze z dwukroć, z trzykroć może tysięcy głów; sam jeden tylko książę Bogusław Radziwiłł ciągnie za sobą ośm tysięcy popleczników. Pretendentów bez liku. Rozpoczynają się korowody narad, namów, intryg, przekupstw i obiet-

nic postronnych, składających się na olbrzymią panoramę takich samych w gruncie rzeczy oszustw i podłości, jakie dziś, na skalę liliputcią, tak często oglądamy w niektórych parlamentach zachodnich. Nagle, wśród tego chaosu ktoś w tłumie krzyknie: „Niech żyje król!...” Zdumienie i zamęt: „Gdzie? który?” — „Niech żyje Piast, król Michał”, — podjęły głosy. O tym Piaście nikt przedtém ani pomyślał: zubożony klęskami wojny kozackiéj ród Wiśniowieckich zeszedł był prawie do nędzy... W mgnieniu oka wybucha entuzyazm nieokréślony, nieopisany i niesiony na skrzydłach gorączkowéj jakiéjś, nienaturalnéj, rzecby można, egzaltacyi,—ogarnia rzesze, wzmaga się, rośnie; łamią się wśród ogólnego uniesienia i topnieją lody pojedyńczych niechęci, wola jednostek zcala się w nieprzeparty prąd woli ogólnéj, i najskromniejszy, najmniéj głośny pretendent, skutkiem obudzonéj tradycyi klęsk i zasług jego przodków, jednogłośnie, jednomyślnie okrzyknięty królem przez cały ten rój „szerszniów kęśliwych”, wotujących teraz jak „jeden mąż”... „o trzech obliczach” narodowych i o czterdziestu czterech barwach chorągwi litewskich, ruskich i czeskich [1]), zgromadzonych niegdyś przez Jagiełłę pod Grunwaldem dokoła tyluż chorągwi polskich,—razem z czterdziestu czterech ziem i województw z okresu najszerszego rozrostu granic Rzeczypospolitéj przed r. 1648... Cóż się to stało? Oto prawo społeczne wzięło górę i pochłonęło prawa indywidualne w sposób zupełnie wyjątkowy, jedyny w dziejach: nie niwecząc tych ostatnich, nie naruszając ich nawet, nie zdejmując z nich prerogatyw wolności. Odwieczne cnoty domowe, do których, wedle Mickiewicza, należą przedewszystkiém „prostota, skromność i zapał” trysnęły wieńcem opatrznościowym i cały naród, w téj aureoli, stał się doraźnie prorokiem, kapłanem, mędrcem, — słowem: posłannikiem. Ma się rozumiéć, z dzisiejszego naszego punktu zapatrywania się na dzieje owoczesne, owo poczucie się narodu nie było zbyt fortunném, jeżeli się zważy na przebieg i rezultaty krótkiego zresztą panowania Michała. Ale Mickiewiczowi szło wyłącznie o podniesienie i uświęcenie przez dobrowolność téj pierwotnéj, starodawnéj wspólnoty słowiańskiéj, w któréj—jak to już i za jego czasów wiedziano – przymus tak smutną rolę odgrywał. Jednomyślność dobrowolna, nieprzymuszona—jest téż u naszego profesora jedyną formą objawu wszechwładztwa ludowego (czyli tak zwanego dziś na Zachodzie głosowania powszechnego), którą wieszcz nasz uznaje za legalną. Każde inne kréskowanie, każda inna uchwała, fundamentalnych ustaw kraju dotycząca, choćby

[1]) Tak sobie następnie obliczali te chorągwie Towiańczycy na wychodztwie, chcąc zużytkować ogromny kapitał wpływu i znaczenia słów Mickiewicza.

się opiérała na większości tak przeważnéj, jak cały ogół — bez jednego tylko głosu — jest, zdaniem poety, wadliwa i nieprawa, gdyż kto zdoła odgadnąć, czy pozbawienie praw wszechwładztwa jednego tylko obywatela nie wystawi narodu całego na zgubę, czy nie wykluczy ze społeczeństwa takiego oponenta, takiego samotnego zbawcy i posłannika, jakim np. był niegdyś Kordecki.

Zarzucano Mickiewiczowi bądź na podstawie jego utworów poetyckich, bądź na mocy luźnych zdań jego kursu, że z przymiotu odświętnego i rzadkiego, jakim jest natchnienie, zapał, czyni regułę powszechną i powszednią, tworzy z niéj przepis na codzień, ukućby może z niéj pragnął naprędce jakąś ustawę organiczną *ad usum* wychodźczego pokolenia... obradującego — co prawda—tak samo, jak i dawne wiece nasze, najczęściéj pod gołém niebem, na brukach stolic europejskich. Ale niestosowność tego wykładu bije w oczy; rozsądek światłego człowieka nigdy tak niedorzecznego komentarza nad prelekcyami Mickiewicza nie dopuści. Pewnik poety jest pewnikiem idealnym, do którego raz jeszcze stosuje się powiedzenie wieszcza: „przesądzać przyszłości przeszłość nie może". Jednozgodność bezwzględna, niczém nie skrępowana należy w dziedzinie przedsięwzięć i prac zbiorowych do takich samych pożądań oderwanych a niezbędnych, jak prośba w modlitwie Pańskiéj o przyjście Królestwa Bożego na ziemi. Absolutów takich nigdy z oczu tracić nie wolno: bez normy, o któréj mowa w danym wypadku, każde nasze wyobrażenie społeczne byłoby bez światła i bez horyzontu, jako anarchiczne w założeniach, rozprzęgające w dążnościach, a marnotrawne w wykonaniu i następstwach.

Wręcz natomiast inaczéj przedstawia się sprawa wobec pytania, które na pierwszy rzut oka zdaje się być zarzutem o wiele głębszym,— a mianowicie wobec pytania: co myśléć i co czynić, ilekroć społeczność tracić zaczyna i straci nareszcie ową mickiewiczowską zdolność posłanniczą?... Wszak nie zbywało wcale, jak wszyscy wiemy, narodowi naszemu na opłakanych dobach podobnego zatracenia samowiedzy ogólnéj; mieliśmy ich owszem tyle, iż cała nasza historya przedstawia się niekiedy jako jeden łańcuch nieprzerwanych zaćmień. Oto z nich jeden, któremu Mickiewicz poświęcił drugą z czterech swych głównych, wymienionych przed chwilą improwizacyi w Collége de France. Oczywiście, że i tym także razem poeta używa olśniewających metafor stylowych. Szwed i Siedmiogrodzianin zaleli kraj cały. Społeczność, — a przynajmniéj część jéj znaczna, — ogłuszona, oślepiona, uległa, straciła wszystko, zwątpiła o wszystkiém, uznała się być niczém. Nadto, z punktu niektórych dzisiejszych zachodnich systemów legalizacyjnych, opartych na wyroku przypadkowéj i fikcyjnéj nieraz

większości, lub nawet na gwałcie mniejszości, który powodzenie uwieńczyło, — społeczność ta zgon swój moralny — formalnie zaaktykowała. Misya narodu, — nieśmiertelny — jak chce Mickiewicz, dar Ducha Świętego, w strzępy podarta, czyliż się w kłamstwo obróci? — Nie. Zejdzie na jednostki. Jednostka stanie się teraz wszechwładną. Ona jest mężem opatrznościowym, ona posłannikiem i prorokiem. I rzeczywiście, — powiada profesor—zjawia się oto mnich częstochowski, rokoszanin względem rzekomych uchwał i postanowień narodu, względem zatraconych instynktów samozachowawczości zgnębionego społeczeństwa, co przed skandynawskim przybłędą na oścież spustoszony kraj rozwarło. Mnich ten, oponent, gwałciciel ułomnéj i ułamkowéj woli swojego ogółu, „ożywiony głębokiém o swéj narodowości przeświadczeniem, polegającém całkowicie na moralném uczuciu obowiązku" (II, 365), powiedział sobie: cokolwiekby się stać miało, obowiązkowi swemu pozostanę wierny... I na swojém postawił: zwyciężył. Był że posłannikiem Opatrzności? — Bardzo być może. Wpierw jednak, zanim z wnioskiem w téj mierze wystąpić ktokolwiek się odważy na własną rękę, — nam mocno podkréślić wypada to, co pod postacią antytezy i dopełnienia ulotnie i jakby niechętnie napomyka trzecia prelekcya Mickiewicza (7 stycznia 1842 r.) o Sicińskim. Siciński — on również zwyciężył. I przed nim także, przed jego protestem naród, w osobach swych przedstawicieli, cofnął się i rozproszył, — „zdumiony, przerażeniem zdjęty"... Czy i w jego protestującéj, a dziś wzgardzonéj i przeklętéj duszy świécił drobny jakiś promyk posłanniczy?... Nic o tém wedle Mickiewicza nie wiemy. „Żeby mnie sądzić, nie ze mną być trzeba, lecz we mnie." Popiołów Sicińskiego— jak utrzymuje legenda — ziemia przyjąć nie chciała; ale społeczność polska nie ma prawa wypierać się go i odpychać od swego łona, bo Siciński — to nietylko kość jéj kości, lecz nieodłączna, chociaż prawdopodobnie najbardziéj skażona cząstka słonecznéj tarczy jéj ducha— do głębi przesiąkniętego wygórowaném poczuciem osobowości, indywidualizmu. I dlatego to wieszcz nasz, konsekwentny i nieprzebłagany w tym razie apostół bezwzględnéj, do świętości podniesionéj zasady praw osobistych, chłodno zaznaczywszy przygodę z posłem Upickim, okrytą przez wieść gminną wiekuistym kirem niesławy, spokojnie w swych prelekcyach przechodzi nad Sicińskim do porządku dziennego, ogłaszając tylko te zadziwiające słowa: „Do społeczeństwa należymy nie przez to, że nasi ojcowie do niego należeli, lub że zapisani jesteśmy na jego liście poborowéj, lecz dlatego, że je wybieramy jako najlepsze, najzacniejsze, najsprawiedliwsze. Jednostka nigdy nie zrzeka się w niém swych praw, — nietylko do opuszczenia jego szeregów, ale też

i do powstrzymania go w pochodzie, jeśli spostrzega, jeśli się jéj zdaje, że wchodzi ono na rozdroża, że powołania swego nie pełni." Tu również — jak to każdy łatwo spostrzeże — twierdzenie teoretyczne wysunięte zostało na czoło wywodu indukcyjnego — jedynie jako zorza przyszłości dalekiéj, jako latarnia wśród ciemnéj nocy stosunków doby współczesnéj, jako przewodnia gwiazda téj oczekiwanéj i upragnionéj doskonałości, która — przypuszczać wolno — z najwidoczniejszych nawet swych zboczeń skorzystać kiedyś potrafi... Zapiszmy także przy sposobności, że wygórowane wyobrażenie Mickiewicza i godności osobnika dopiéro dzisiaj przychodzi do uznania w nauce. Po licznych hypotezach, przenoszących środek ciężkości społecznéj z jednostki na rozmaite grupy, ciała i całostki zbiorowe (jak Herb. Spencer np.), wracamy nareszcie znowu, lecz już bez możliwéj chyba recydywy, do praw osobistych, jako do węgielnego kamienia wszelkiéj budowy socyologicznéj. Ale tu właśnie spotykamy szkopuł najtwardszy. Skoro tak jest w istocie, skoro w równym stopniu uprawnioném ma być każde zwycięstwo jednostki nad społeczeństwem, zostającém w stanie przechodniego, tymczasowego rozbicia moralnego, to zachodzi pytanie: kto lub co będzie rozjemcą i sędzią między zbawcą Kordeckim a zdrajcą Sicińskim? Oczywiście, że jedynie społeczność, powracająca do zdrowia ze stanu upadku i niemocy duchowéj. Innego, „bezwzględniejszego" — to jest nieomylnego „prawa moralnego" nie ma. Żaden inny „znak" boski czy ludzki, na ziemi czy niebie, nie dopomógłby odróżnić w gwarze i tłumie „oponentów" wszelkiego miana męża opatrznościowego od przeniewiercy, męczennika za prawdę od obłąkanego przywidzeniem warchoła, pokornego naśladowcy dróg Chrystusowych od chytrego wyznawcy worka judaszowego. Wynika to poniekąd z czwartéj i ostatniéj (w obranym zakresie) prelekcyi Mickiewicza (11 stycznia).

Dziwny to nad wyraz odczyt. Bez żadnego napozór związku z poprzedniemi, bez żadnych ozdób mitologicznych, trzeźwy, surowy, literacki, przenosi się on na grunt krajów postronnych. Wspomina o geniuszu Fryderyka Wielkiego, Napoleona I-go, Piotra Wielkiego i ze szczególném upodobaniem zastanawia się nad czynami tego ostatniego. Niezwykłe to, zaprawdę, zjawisko! Postać jak ze śpiżu lub ze skały, wola niezłomna, nieprzeparta, żywiołowa — jak ogień lub woda. W którąkolwiek skinie stronę, wraz za jego gestem naród cały się pochyla i podąża. Zapragnie-li wyrąbać okno na Bałtyk? zechce-li zrobić wyłom ku morzu Czarnemu? — dość mu powiedzieć „stań się" — i już się słowo ciałem stało... Jestże to nareszcie ostatni, najwyższy z poszukiwanych typów „człowieka opatrznościowego?" jestże to nare-

szcie najdoskonalszy okaz mistycznego „czterdzieści i cztery"? — Zapewne... — w obrębie własnego jego środowiska, i odpowiednio do duchowego nastroju, do moralnego „tonu" danego społeczeństwa, czyli po naszemu, w języku pospolitym, odpowiednio do wysokości danego przez otoczenie poziomu cywilizacyjnego i wewnętrznéj, istotnéj wartości materyału narodowego, z którym taki posłannik ma do czynienia... Na nieszczęście, — tu, w tym właśnie punkcie znajdujemy znaczną lukę w proroctwach Mickiewicza. Jasnowidzenie zawiodło, rzecby można, na tém miejscu mistrza, głównie — jak mniemamy — z powodu wspomnianego poprzednio przeliczenia się z rzeczywistą wagą tak zwanéj „świętości" idei i potęgi napoleońskiéj. W samém założeniu wykładów w Collège de France — jak widzieliśmy — tkwił warunek nieodzowny, ograniczający teren realizacyi zapowiedzianéj, że poszukiwana dla posłannictwa gleba społeczna ma być téj natury i zdolności, ażeby jéj pierwiastki etyczne stać się mogły światłem centralném, kopernikowskiém, całéj ludzkości przyświecającém. Światła zaś takie, zdaniem Mickiewicza, nie powstają bez walk i usiłowań, bez pracy wielkiéj, wszechstronnéj, popychającéj bryłę świata na nowe, nieznane dotąd, a przecież dla wszystkich dobroczynne tory. A tymczasem, zestawiając Piotra Wielkiego z Napoleonem, grunt rosyjski z gruntem francuskim, wydało się Mickiewiczowi, że „ton" francuski wyższym jest od tonu rosyjskiego. W takim razie staje się oczywistém, że ująć, owładnąć, zapanować nad pierwszym i zostać tym sposobem rzetelnym posłannikiem na całą ludzkość nie jest bynajmniéj to samo, co zapanować nad drugim (III, 361). Zagrać na skrzypcach wszechświata, a zadąć w fujarkę pasterską — to nie jedno. Wszelka łatwość zadania sprzeczną jest z samą podstawą mesyanizmu. W warunkach nieskończenie nawet trudniejszych od francuskich za dni Napoleona I — nie dość być ludem ludów, nie dość miéć trzy oblicza i czterdzieści cztery, lub nawet siedmset siedmdziesiąt siedm znaczków chorągwianych; trzeba jeszcze być „trudem trudów". Szybkie poloty żądz i zamiarów, oskrzydlonych jedynie puchami fantazyi, nie prowadzą ostatecznie nigdzie do niczego. Praktyka, zastosowanie, rzeczywistość twarda — oto z czém walczyć i pracować ma posłannik. Mickiewicz stanowczo twierdzi, że kryteryum najwyższéj nawet umiejętności — filozofii, polega na zastosowaniu: „wszelka nauka istnieje jedynie pod warunkiem, że jéj twierdzenia sprawdzają się stanowczo" (II, 73)... I skromny, niepoczesny, prosty ten wyraz jest rozwiązaniem kwestyi,— ostatniém słowem mądrości mesyanicznéj, zamknięciem wykładów wieszcza; — jest to ich amen.

Słówko tylko jeszcze — na zawieszenie tego przedmiotu — od wielbiącego komentatora doktryny litewskiego wieszcza. Czy zasoby moralne i poziom umysłowy społeczności naszéj mogłyby być téj natury i tego przeznaczenia, iżbyśmy rościć mieli prawo do roli, jaka tak widocznie usunęła się z pod stóp Francyi zrestaurowanéj po napoleońsku w początkach naszego stulecia? Wychowańcy drugiéj połowy tego wieku, uczniowie Herderów, Gerwinusów, Buckle'ów dzieci narodu, którego zabobonność, niezaradność, rozrzutność, skłonność do uniesień szybkich i szybszych jeszcze rozczarowań znamy jak własne serce, zniewoleni jesteśmy, wobec powyższego zagadnienia, wstrzymać się od jakiéjkolwiek afirmatywy... Ale Mickiewicz — on od nas wszystkich był przenikliwszy i co najmniéj o całe Ponary, wyższym. O tyle téż głębiéj rozumiał i kochał swą społeczność. Kochał ją bez granic, bez zastrzeżeń, do ostatniego tchnienia, które wyzionął w ciemnym zakątku stambulskim. Kochał, przeto wierzył. Wierzył, że ta ziemia z każdą wiosną rodzić będzie coraz bujniejsze i piękniejsze po miedzach grusze i jabłonie; że nasze wioski, wyprzęgnięte z jarzma, swoboda obmuruje cegłą oględności, pokryje miedzią dostatku, pomaluje złotem oświaty; że z naszych grodów, pod jękami pieśni Jankielowych, zlezie w końcu brudna pleśń przedwiekowego zastoju żydowskiego, wyróżnienia i nieufności; że nasi ziemianie, przestawszy polować na grubego zwierza, gorliwiéj przynajmniéj hodować zaczną swój drobiazg nieletni i baczniéj strzedz do połowy zwężonych swych zagonów; że nasi „ludzie nauki" przynajmniéj na starość czegoś się nauczą i coś zapomną; że nasi dziennikarze, wśród zajęć chlebowych na kopiejki, znajdą téż niekiedy i chwilkę wolną na rozmyślania nad zwiastowaną przed półwiekiem „f i l o z o f i ą r o d z i m ą"... Wierzył w to Mickiewicz — statecznie głęboko, do obłędu wierzył... Jakżeż więc nie miał uwierzyć i w to także, że gdzie Opatrzność dała glinę d o s k o n a l ą c ą s i ę, tam téż ona ulepi z niéj — być może — i kiedyś i człowieka lepszego, pracowitszego, roztropniejszego, — zgoła opatrzniejszego, jeżeli już nie opatrznościowego...

VIII.

Wpleceni w koło nowych stosunków towarzyskich, przebudzeni ze snów, tak gorączkowo nęcących niegdyś do niezapracowanych plonów, do sławy i nagrody bez zasługi, spostrzegliśmy dziś z wrażliwością gwałtownego wytrzeźwienia, że posiadamy za wiele na naszym gruncie zarówno poetyckich wieńców, „rękami wieśniaczki usnutych z modrych bławatków i zielonéj ruty", jak i tych „posłanniczych" wycieczek

w krainy przyszłości zaobłocznéj. Na naszéj niwie umysłowéj — powiedzieliśmy sobie, nieskończenie obficiéj porastają róże i fijołki natchnień, mirty i cyprysy dumań filozoficznych nad najwyższemi zagadnieniami człowieka, niżli powszednie ziarna nauki, niżli prozaiczne zboże, które nas chroni od głodu i chłodu. Uprawa cudownych, zawieszonych w powietrzu ogrodów zanadto zagłuszyła orne, zasadnicze gospodarcze warunki wszelkiego bytu. Rzeźki, stanowczy przed dwudziestu kilku laty zwrot kształcącéj się młodzieży ku pozytywnym zadaniom i przedmiotom wiedzy całkiem proste, uzasadnione miał powody; ruch ten, odbijający się dziś we wszystkich odłamach ludności krajowéj, obiecuje w niedalekim zapewne okresie plony zdrowe, które niewątpliwie pójść powinny na przytułek ciału społecznemu... Obawiać się o nadzwyczajne odkarmienie i utuczenie naszego organizmu ów kierunek, nadany pracom, nie upoważniał — i nie upoważnia. Ilekroć chodzi o wynagrodzenie strat poniesionych wskutek idylicznie przeciągniętéj struny zacofania, ani pośpiech, ani gorliwość zbyt wielkiemi być nie mogą. Pomimo to wszakże niedobrzeby się stało, gdybyśmy zapomnieli, że myśl filozoficzna czy poetycka nie jest samém tylko „oderwaniem" — abstrakcyą chłodną, gwiazdą bezdusznie zawieszoną nad naszémi głowami i obojętnie się przyglądającą poziomym zabiegom człowieka. Często owszem bywa ona pierwszém realizacyjném słowem społeczném, które odnajdujemy późniéj w moralnych, naukowych i ekonomicznych usiłowaniach ogółu. Snuć tę myśl z początkowego wątka

Jako jedwabnik nić ze siebie snuje;
Lać ją z wnętrza jak źródło wodę z siebie leje,
Rozpłaszczać jako blachę, gdy się złoto kuje,
Rozsypywać po ziemi, jak się zboże sieje,
A hodować jak matka gdy dziecię piastuje —

czyliż nie takiém jest — czyliż nie takiém było powołanie zchodzącego już dziś z widowni pokolenia pozytywistów, którzy tak gorąco imać się zalecali młota, kielni i ciężkiego pługa nauk ścisłych?

Mija podobno i to... Dziś dla epigonów pozytywizmu, dla kilku rzadkich lecz po dawnemu surowych propagatorów natychmiastowo-dodatniéj wiedzy społecznéj szereg pytań i wątpliwości, któreśmy przed chwilą poruszyli, odmienniéj nieco wypada postawić i na sprawę całą z innego stanowiska spojrzéć,—z tego np. które przed laty obrał nieznany już prawie dzisiejszemu pokoleniu D-r W. Cybulski, profesor uniwersytetu wrocławskiego.

Założywszy sobie wykryć zasadniczą myśl poetyckiéj twórczości Mickiewicza, w szczególności „Dziadów", D-r Cybulski sprowadził za-

gadnienie z utartych dróg retorycznego i estetycznego rozbioru na żyzniejszą glebę dochodzeń psychologicznych i naukowo-społecznych. Otrzymał wiele trafnych wniosków, rzucających barwne smugi światła na posągową postać wieszcza, a co ważniéjsza, ideę główną utworów jego dość trafnie oznaczył. Powiada że „powietrzem, tchnieniem, duszą dzieł mistrza — jest uczucie miłości”. Pierwiastek ten krytyk rozpatrzył we wszystkich częściach „Dziadów”. Miłość Mickiewicza, jak zapewnia, dotarła tu swojego szczytu, wyraziła się we wszystkich swych kolorach i wszystkie swe tajemnice opowiedziała. Zdawałoby się z całego toku opowiadania, że prof. Cybulski nieodzownie znajdzie w rezultacie to, czego tak gorliwie szukał, to jest stanowcze rozwiązanie najważniéjszych ludzkich zagadnień, niezawodne lekarstwo na obecne rany i dolegliwości społeczne, powszechny a rzetelny kamień filozoficzny, jeżeli nie uszczęśliwienia człowieka, to choć polepszenia i ulżenia ziemskiéj jego doli. Sam badacz tak, nie inaczéj, sprawę postawił, jego zaś analiza, rozjątrzywszy kwestyję wygórowaném zestawieniem nauki Mickiewicza z nauką założyciela Chrystyanizmu, rozbiór przedmiotu nader drażliwym uczyniła. Prof. Cybulski pisze: „Miłość w pojęciu poety nie jest tylko uczuciowém ogniwem spójni człowieka z człowiekiem, człowieka z ludzkością, człowieka z Bogiem, lecz zarazem siłą i władzą duchową, a to władzą jedyną, przez którą człowiek, skoro ją należycie wytęży, rozszerzy, rozżarzy, rozpłomieni, podniesie do egzaltacyi,—dojść może bezpośrednio, bez pomocy innych władz duchowych, do pojęcia i zupełnego zrozumienia wszystkich i wszelkich stosunków i objawów widomego i niewidomego, przyrodzonego, ludzkiego i nadludzkiego świata”. Tak Mickiewicz pojmować miał uczucie miłości i takie jéj określenie dał — niejednokrotnie podobno — w Kursie literatury słowiańskiéj. Na wyświetleniu téj tezy polega też cała racya bytu pracy prof. Cybulskiego. Jakież jest zdziwienie czytelnika, gdy dopiero pod sam koniec wywodu spotyka krótkie a niemal szydercze oświadczenie autora, potępiające mickiewiczowskie owo rozszerzenie zakresu i potęgi uczucia. „Zapał, egzaltacya, zachwycenie — powiada — nie są normalnym stanem ducha ludzkiego i nie mogą być nigdy(?) na stan normalny zamienione; przenosić się i utrzymywać w stanie tym jest to czynić gwałt swéj naturze”.

Dajmy na to, że tak. Ale nad czém właściwie i po co w takim razie męczył się prof. Cybulski? Jego ostatnie słowa obalają zupełnie gmach kunsztownie wzniesionych wywodów poprzednich i zasadniczą myśl Mickiewicza ubierają w szaty nienaturalnego, jaskrawego jakiegoś podniecenia, iskrzącego się jakby fosforycznemi ognikami zapowiada-

jącéj się gorączki nerwowéj. Widzeń wytworzonych w tym nastroju nie tylko niepodobna brać za kierowników i przewodników życiu, lecz same one potrzebują oparcia, opieki, lekarskiéj niemal pomocy. Prof. Cybulski w niczém nie zdołał wyśledzić normalnego objawu uczucia, które miało być u Mickiewicza, jak o tém wieszcz zapewniał, życiodawczym czynnikiem odnowienia tegoczesnych stosunków towarzyskich; przeciwnie, prof. Cybulski dołożył usiłowań, ażeby wykazać, że miłość, jak ją Mickiewicz w „Dziadach" upostaciował, występuje wszędzie naruszona lub spaczona w swéj istocie. W pierwszéj części poematu (noszącéj tytuł drugiéj) wywołane duchy przez to wyłącznie cierpią i pokutują, że w niewłaściwy lub przesadzony sposób pielęgnowały na ziemi uczucie miłości: jeden kochał za wiele, drugi za mało, ten zanadto idealnie, tamten zbyt po ludzku, inny nie kochał wcale. W części drugiéj (tytułowanéj czwartą) wydobyta z chaosu fantastycznych rojeń ludowych, miłość uosabia się w Gustawie, lecz po to tylko, żeby znosić piekielne wśród żyjących katusze i wreszcie skonać w sobie, zwyciężyć samą siebie, przenieść się z gruntu realnie-indywidualnego na grunt abstrakcyi bezosobowéj; odtąd piętrzy się ona, rośnie, wzmaga, aż dopóki w szalonym zapędzie nie wypowie wojny Stwórcy i nie wpadnie w stan zupełnego omdlenia, pozwalającego szatanom o zbuntowanego tego ducha u aniołów stróżów się dopominać. Krytyk utrzymuje, że moralna dążność poematu zasadza się na okazaniu: jako miłość, przyrodzony pierwiastek ducha ludzkiego, nieodłączna towarzyszka życia człowieka, źródło i podstawa wszelkich jego upodobań wznioślejszych, wtedy dopiero i wtedy tylko zapewnia szczęście i zadowolonie, kiedy objawowi jéj żadna zewnętrzna potęga nie staje na zawadzie...— i „Dziady" taką właśnie ideę miały do uwydatnienia. Prof. Cybulski na jedno przecież nie zwrócił uwagi. Pomiędzy stanem miłości cierpiącéj i walczącéj a stanem tego uczucia w apoteozie nieodzownie istniéć muszą stany pośrednie, — to jest szereg odmian uczucia żywego, nie pnącego się ani do mogił rozpaczy werterowskiéj, ani do ubłogosławionych wyżyn wszechświatowego panowania. Zanim miłość porwie się ku obszarom, na których stanie się regulatorem i prawodawcą podstaw i osłon życia, może i powinna wpierw znaleźć gdziekolwiek grunt i przytulisko, tymczasem zapewne skromne, niebłyskotne, zabezpieczone przecież od burz i słot, bądź wzlotu wygórowanego i ryzykownego, bądź upokarzającego upadku i złamania się. Bohaterowie, coby od kolebki do grobu wciąż tylko straszyli swych rodaków upiorowemi groźbami i zgrzytaniem zębów, a w ekstazach niepohamowanego wybujania zapominali o obowiązkach względem wymagań rzeczywistości bieżącéj, kwalifikowaliby się raczéj do domu zdrowia może, niżl-

do panteonu narodowéj wdzięczności i uznania publicznego. Bardzo być może, że „Dziady", w oderwaniu od innych utworów Mickiewicza, rzeczywiście wydać się komuś mogą czémś w rodzaju poetycznéj, genialnéj patologii ducha ludzkiego, rozmodlonego erotycznie. Miłość rozbija się i rozpadą w nich na tysiące różnokolorowych siarczyście tryskających rac, które na posępném tle nocy, na tle obecnych godeł i haseł bytu społecznego oślepiająco drgają i wirują czas jakiś, lecz pękają i nikną niebawem, jak sygnałowe rakiety kongrewskie, zostawiające po sobie zgryźliwy dym, przerażającą ciemność i trwożny niepokój o to, co daléj będzie... Ale „Dziady" — to tylko okruszyna wspaniałéj spuścizny mickiewiczowskiéj. Nie dobrze uczynił krytyk, że olśniwszy widzów ogniotryskiem metafor świetnych, wyjątkowych, niezwykłych, z „Dziadów" wykrojonych, pozostawił ich nagle bez rady i wskazówki, bez przewodnika i busoli na pełném morzu powszedniości wśród wichrów i zawiei szarego żywota. Ma to wszystko taki pozór, jak gdyby Mickiewicz był wyłącznie jednym z tych krnąbnych i hardych apostołów uczucia, którzy po to jedynie roztaczają skrzydła genialności, aby wyniosłszy miłość pod obłoki, rozwiesiwszy tęczowe jéj barwy na firmamencie natchnienia, zdmuchnąć wraz odwieczny ów symbol przymierza człowieka z przyrodą i Bogiem i skroplić go na kilka aforyzmów zjadliwego złorzeczenia, buchającego z roznamiętnionych piersi Konrada. Prof. Cybulski nie wyraża się wprawdzie równie dobitnie, — ale dla tego tylko chyba, że język jego, kwiecisty i soczysty w ogólności, staje się nieraz, w tym swoim przepychu, do niezrozumienia zawiłym. „Jak filozof bez uczucia — pisze np. — które jest jakby krwią narodów i człowieka, będzie tylko martwym i oderwanym myślicielem, tak poeta i człowiek religijny, b e z r o z u m u i w i e d z y, byliby tylko sennymi marzycielami na podobieństwo braminów indyjskich.

Przyjdzie czas, kiedy poezya, religija, filozofia będą tylko trzema promieniami jednéj i téj saméj absolutnéj myśli, któréj źródłem jest Bóg, a organem człowiek. Mickiewicz czuł w geniuszu tę jedność, miał czucie i rozum, a przecież w s z y s t k o t y l k o d o u c z u c i a o d n o s i ł..." I do jakiego uczucia! — Szał mu na imie...

Wszystko to zresztą byłoby może nawet nader trafném, gdyby trafności traf w drodze wpoprzek nie był stanął. A trafem tym jest ta okoliczność właśnie, że w chwili, kiedy przesilony nadmiarem niebotycznego wytrysku duch Konrada smutnie i dymnie kończy dzieje miłości nadziemskiéj,—a przecież obłąkanéj—pomimo to stanowiącéj według prof. Cybulskiego treść i podstawę nauki Mickiewicza, w téj saméj chwili rodzi się nowy bohater, nowy przedstawiciel idei, — ale już

przeobrażonéj; rodzi się czerstwy, rumiany, pulchny — pucołowaty niemal pan Tadeusz... I tego prof. Cybulski nie spostrzegł?.. To dziwne... — chociaż, co prawda, i nasz tu dziw jest już dziś cokolwiek spóźniony...

IX.

„Pan Tadeusz”, ostatni i najwspanialszy objaw poetyckiéj twórczości Mickiewicza, wyróżniający się od dawniéjszych, szczególniéj od „Dziadów”, tonem, kolorytem, formą i dążnością, jest przecież niezbędném ich uzupełnieniem i wyjaśnieniem. Poprzednia działalność wieszcza znalazła w nim nie tyle może szczyt i uwieńczenie, ile raczéj grunt i podstawę, oparcie i piedestał. W tém znaczeniu jest to rezerwa ducha wysłanego w „Dziadach” na rekonesans przyszłości. Bez Tadeusza postacie Gustawów i Konradów wydaćby się musiały i u prof. Cybulskiego, zarówno jak i u wielu poźniejszych krytyków, istotnie nie inaczéj wyglądają, jako zapalne mary, spłodzone na niebezpiecznych i zwodniczych oparach wyobraźni, pozbawione ciała, krwi, a błąkające się po zenitach i nadyrach westchnień i natchnień bez żadnego oznaczonego celu, bez żadnéj określonéj i ubezpieczonéj „misyi”. Istne saturnalie metafizyczne, urągające nieraz zdrowym zmysłom publiczności, okręt wydęty na wszystkie żagle, a bez równoważącego balastu. Pod te niesforne i niecierpliwe miotania się genialnego natchnienia, galopującego w ciemną, za górami, za lasami ukrytą „ziemię obiecaną”, poemat sielski podsuwa się jako rzeczywistość kojąca i błoga, jako zagroda cichego, spokojnego bytu, przeznaczona przytulić i pocieszyć złamane, lub upokorzone marzenia. Nikogo odtąd nękać już nie będzie historya rozpłomienionych wypraw Gustawów lub Konradów w krainy dalekiego ideału; wiémy zawczasu, że każda taka wyprawa ma w odwodzie za sobą skarbiec usprawiedliwiającéj, testamentem Robaka zastrzeżonéj pewności, że gdziekolwiek się drodzy ci nasi awanturnicy obrócą, czémkolwiek ich ludzie przyjmą, dokądkolwiek zajdą, znajdą zawsze za powrotem bratnie przyjęcie i cel życia w zacnym, prostym, gościnnym soplicowskim dworku. Owi zbuntowani synowie przyrodzonéj mickiewiczowskiéj tkliwości i słodyczy, iż takim niepomiarkowanym zapałem szukający rozwiązania religijnych, społecznych i naukowych problematów po wszech cmentarzach i kościołach, dlatego tylko tak dumnie i wyzywająco stawią się wobec najstraszliwszych ziemskich i niebieskich potęg, iż mniemają, że siebie samych jedynie wystawiają na gromy bogów i ludzi, że do rzutkich

i niebezpiecznych swych przedsięwzięć nie wolno im powoływać „pospolitego ruszenia" — z ogółu żywiołów rodzimego bytu. Realny świat Tadeusza wciągną oni do swoich kombinacyi chyba dopiéro wtedy, gdy całkiem pomyślne zwiady uwieńczą niespokojną i krewką ich ciekawość.

Mickiewicz był reformatorem bardziéj z przekonania i wyrozumowania, niźli z temperamentu i charakteru; głównymi sprawcami jego niezadowolenia były: otoczenie i wypadki współczesne. Umysł jego skłonny do zagadnień podniosłych, piął się na ich wyżyny nie tyle wrodzoną każdéj genialności mocą, ile raczéj wskutek parcia rozkołysanéj i ruchliwéj atmosfery. Odrzucał on otaczający porządek rzeczy, zwalczał go, bo sam ten porządek łamał się i pękał wtedy na wszystkie strony. Był to okres niedogaszonych pragnień, zniecierpliwionych oczekiwań, połowicznych tryumfów i całkowitych zawodów. Społeczeństwo europejskie tylko co był przeorał wzdłuż i wszerz wielki ów rataj ludów — Napoleon; roślinność młoda szybko i obficie wszędzie poczynała okrywać powierzchnię starego europejskiego świata. Nowe idee, jak potoki rzek w pierwszych chwilach tworzenia, zanurtowały po wszystkich krajach, szumnie i hucznie spadając z wyżyn umysłowych. Gwałtowne projekty naprawy zawrzały w ogniskach towarzyskiego życia. W literaturze, po gładkiém, czystém, marmurem wykładaném dnie, pism Goethego, rozlała się gorąca lawa wybuchów Byrona; w sztukach, po majestatycznych i głębokich tonach Mozarta i Beethowena, rozdarły powietrze ostre, sprzeczności pełne, z harf, dzwonów i trąb złożone dźwięki muzyki Rossiniego, a wtórowały im szalone leśne pogwizdy germańskich improwizacyi Webera. Rzeźba, architektura, walter-skotyzm, wszelka zgoła plastyka i malatura zeszły na drugi plan. Na scenę wystąpiły żywioły walki, rozigrane, rozszalałe, jako pożar wśród burzy. Rozfalowana pierś ludzka parowała od namiętności dzikich, rozpasanych—romantycznych. Najtkliwsze drgnienia serca przybrały wyraz energicznéj, zataczającéj się od przepełnienia żywości. Miary, spokoju, rozwagi, idealności czystéj, wzniosłéj, w klasyczne formy ujętéj, napróżnobyś tu szukał. Całą górną warstwę społeczności zachodniéj zdawała się ogarniać i ogarniała w rzeczy saméj jakaś wulkaniczność rodzajna. Ludzkość chciała jednym niejako tchem doskoczyć do najdalszych, ostatnich granic swego przeznaczenia. Pragnęła i oczekiwała cudowności, ale realnéj; wierzyła w tę cudowność, ale wierzyła istynktami i zmysłami; modliła się o Królestwo Boże, ale niezbędnie na ziemi. Niepokoiła ją najdrobniejsza przeszkoda, drażniło każde opóźnienie, naglił każdy krok już zrobiony. W takie zarzewie, rozdmuchane z popiołów wielkiéj rewolucyi z końca wieku

XVIII, wpadł mglisto-proroczy, głęboko-mistyczny duch Mickiewicza. Co pod parciem suto otlenionego powietrza wieszcz nasz wydobył ze swéj piersi, musiało nosić na sobie podwójną cechę warcholstwa kosmopolitycznego i poruszonych wstrząśniętych strun własnego przypomnienia, własnego bólu... Stan powszechnego naprężenia, zwiastujący orkan, nie trwał przecież długo. Otoczony i ściśnięty ekonomicznym materjalizmem polityki orleańskiéj, rewolucyonizm zachodni rozpadł się niebawem na tysiączne grupy rozjuszonych spekulacyi prywatnych i zajadłych swarów doktrynerskich. Przyduszony wśród gruzów, ruin i matactw, ogień pierwotny tlał wszakże w dolnych pokładach. Groziło to prawdopodobieństwem katastrofy najgorszéj ze wszelkich możliwych, bo chronicznéj i przebiegającéj z miejsca na miejsce, partyzanckiéj. W masie rozbitego, pokawałkowanego życia społecznego nie było spójni i jedności na tyle, żeby z niéj nowa całość, w drodze ogólnego przetopienia, zdołała się wytworzyć; ale było aż nadto materyału palnego, żeby pośród klęsk częściowych niejedno z nieśmiertelnych dzieł starego świata mogło spłonąć.

Przeczuwał to wieszcz polski. Cofnął się z placu, na którym poczerniałe od dymu rumowiska, oddać wkrótce miano w dzierżawą gumiennym Guizot'a lub Thiers'a—więc skupił się w sobie; zwołał do gromady rozpierzchłe po cudzych niebiosach władze twórcze, kazał im iść w krainę dum ojczystych, pod słomiane strzechy nowogrodzkich zaścianków, w niepokaźny świat tradycyi rodzinnych i gospodarstwa domowego, — świat niedostępny dla burz i wstrząśnień falujących zazwyczaj po wierzchach i wyżynach społecznych. Tak powstały nieporównanego wdzięku i nieprzebranych bogactw obrazy przyrodzenia nadniemeńskiego, owe pola malowane zbożem rozmaitém, owe puszcze i lasy „których cień spadał niegdyś na koronne głowy, groźnego Witenesa, wielkiego Mindowy"; „owe karczmy chylące się po dwu stronach drogi, oknami wzajem sobie grożące jak wrogi"; owe obłoki „przejrzyste, sfałdowane, po wierzchu perłowe, po brzegach pozłacane, w głębi purpurowe". Wśród téj natury, jakby świeżo wychodzącéj z rąk Twórcy, wśród tego ludu prostego, szorstkiego, szczerego, rozsypanego po obszarach nietkniętych kołami i zębami cywilizacyi przemysłowéj, — tu dopiéro Mickiewicz poczuł się sobą, tu osadził pogodzone z życiem i ludźmi, a na obczyźnie lub przez obcych obalone i rozbite ideały. Uczucie miłości osobistéj, rozdarte w Gustawie walką z chłodnym rozsądkiem i twardością form przyjętych tym razem podąża na gody weselne radośnym gościńcem „naturalnego powinowactwa"; Tadeusz, dziecię zwichniętego w podstawie, nie na przywiązaniu opartego związku, kocha i bierze Zosię, córkę Ewy, wydanéj niegdyś wbrew skłonnościom

serca za innego, nie za Jacka Soplicę, którego kochała; wyrównana w ten sposób zadośćuczynieniem podstawa stosunków prywatnych oddziaływa zbawiennie i na stosunki pożycia obywatelskiego. Stargana w „Dziadach" harmonia wraca na gruncie ojczystym w skołatany rozterką organizm społeczny. Dusza Konrada, rzucająca się ze złorzeczeniem i groźbą na najwyższą sprawiedliwość, pokutuje tu w sukni zakonnéj Robaka—pokutą najwznioślejszą i najmędrszą, osnutą na pracy, usłudze i poświęceniu się dla pospolitego dobra. Pieśń wieszcza, nieszczęśliwa i smutna gdzieindziéj, jak i całe jego życie, chmurna, rozżalona i szalejąca, niby niemoc spętanych olbrzymów, po raz pierwszy na dziedzińcu soplicowskim, w gromadzie wieśniaków i szlachty okolicznéj wypogadza się, wyrównywa, płynie swobodnie, wesoło, ochoczo i jak to słońce na zaręczynach Zosi — własném, rodzinném ciepłém powietrzem westchnąwszy,— błogo, cicho, spokojnie zasypia... „Pan Tadeusz" jest z tego względu jedynym stróżem i opiekunem autentycznéj nauki Mickiewicza; jedyném niezmąconém źródłem swojskich przykazań wieszcza; jedynym probierzem wszelkich jego pomysłów. Inne utwory, wielkie i piękne jako dzieła sztuki, są pod względem idei społeczno-politycznych tylko pytaniami, tylko szaradami i zagadkami, rzuconemi w otchłań ideologii. Są to problematy obcego w wielu razach autoramentu, dla których prawo do swobodnego, obywatelskiego starania się o naturalizacyę udzielone być może chyba za pospolitą zgodą wszystkich panów braci Dobrzyńskich i okolicznych. To téż sielski ten poemat, pomimo lekkiéj i żartobliwéj w wielu miejscach formy, pomimo wesołych i sarkastycznych wycieczek przeciwko pojęciom i położeniom, tu i owdzie ustalonym, ma swoją— wcale nawet nie podrzędną filozofię. Filozofia to jednéj z naczelnych kategoryi umysłu ludzkiego: kategoryi z d r o w e g o r o z s ą d k u... Nie ponętna to, nie olimpijska dziedzina — ten rozsądek zdrowy. Zniewoleni jednak jesteśmy zajrzéć na chwilę i na te jego szare, jałowe pola, gdyż lubo rozsądek ów „zdrowy" bywa niekiedy — w dziedzinie np. badań estetycznych — zwodniczym i zdradzieckim przewodnikiem, w bardziéj zaś złożonych kwestyach naukowych narazić nawet często może na śmieszność, to jednak staje się sędzią ostatniéj instancyi tam wszędzie, gdzie jest mowa o w y n i k a c h poszukiwań wszelkich, wkraczających w zakres wiedzy społecznéj. Formułowane przez niego wyroki lub uchwały zasadniczo-teoretyczne nie mają zazwyczaj donioślejszéj wagi, ale jego *veto*, zwłaszcza w obrębie zagadnień zastosowawczych i praktycznych, nie ulega prawie nigdy odwołaniu.

X.

Psychologiczna strona filozofii „zdrowego rozsądku“ tak się u Mickiewicza przedstawia: Rozum, myśl, umysł — nie jest mocen docierać do głębi prawd zasadniczych. Właściwość i zakres jego władz ogranicza się do tego, że tylko mierzyć i rachować może. Dotknie powierzchni najgłębszych tajemnic; dotrze ku szczytom najwznioślejszych w przyrodzie objawów Wszechmocy; wykréśli drogi, któremi kroczą słońca i komety; wytknie granice i stopnie najzawilszych kombinacyi morfologicznych; zsumuje i zróżniczkuje ilości, liniami i trójkątami obejmie przestrzenie—i otrzyma w końcu całość podobną do desenia, szkicu, zarysu obrazu, w który mistrz pędzla wléwa późniéj kolory, światła, życie — otrzyma całość, która jest mniejszą od prawdziwéj, nawet ilościowo. I gdy rozumem daléj różnicy dochodzi—„zginie wpierw nim w to ugodzi”. Tak nieraz kontroler robót publicznych napróżno sobie łamie głowę nad zdaniem sobie sprawy, zkąd się wzięła (lub gdzie się podziała) nadwyżka, którą otrzymał (lub powinien był otrzymać) z pracy trzydziestu dziennych robotników — w porównaniu do trzydziestodniowéj pracy jednego robotnika. W pzyrodoznawstwie synonim takich nadwyżek nosił niegdyś miano sił życia (witalizmu); w sztukach składają się one na idealność; w życiu jednostek reprezentują wolność; w zbiorowym pochodzie pokoleń wytwarzają postęp.

Umysłowe zdolności człowieka, — zapewnia Mickiewicz — władza czy też władze rozumowania, sądzenia, wnioskowania i t. d., któremi się nauka logiki zajmuje, nie są w stanie pojąć ani stworzenia, ani Stwórcy; nie pojmie ich również wyobraźnia — matka poezyi i sztuki; nie pojmie téż i uczucie — krynica natchnionego czynu. Rozczłonkowany i rozdarty duch człowieka podzielne tylko, rozbite i połamane wydać może systematy, teorye, doktryny lub dzieła. Dajmy astronomom, artystom, ustawodawcom wszelką potęgę, wszélkie środki i wszelkie talenta do przebudowania, odmalowania i urządzenia wszechświata po przez całą jege nieskończoność i wieczność, każdy zwróci go nam — od siebie, na swoją rękę — w takiéj postaci, że od pierwszego rzutu oka spostrzeżemy ograniczoność i niezdarność tych ułomnych; uspecyalizowanych całokształtów. Makrokosmos w swéj pełni i w swym majestacie odbić się może i odbija się wiarogodnie jedynie tylko: w pełni i majestacie swojego mikrokosmosu, którym jest dusza ludzka, albo raczéj duch człowieka, człowiek sam, — człowiek (jak się wyraża Mickiewicz), „który żyje w ciele, odłączony od ciała”.

Twierdzenie powyższe, roztrząsane, rozwijane lub stosowane raz z mniejszém, drugi raz z większém powodzeniem przez dawną szkołę filozofii angielskiéj (Baine, Mill, Spencer) tudzież przez celniejszych uczonych francuskich (Vacherot, Janet, Lévêque), dostarczyło studyom psychologicznym sporo cennego materyału; u nas, na naszym gruncie, doktryny umiejętnie zbudowanéj i dowodnie popartéj utworzyć stąd jeszcze niepodobna. Pogodzenie entuzyazmu z rozumem, o które Garczyński dopraszał się „u swojego jestestwa tajemnego, u swojego wewnętrznego człowieka, dla rozwiązania zagadki losów ludzkich”, wtedy dopiéro nastąpiłoby może, kiedyby rzucone przez Mickiewicza ziarnko idei syntetycznéj skupiło przy sobie nareszcie z ugorów naszych naukowych choć tyle pokarmu, ażeby pomysł mickiewiczowski wykluć się zdołał ponad poziom niewłaściwych, często też dotkliwych tłómaczeń. W téj saméj sali, gdzie się przed laty rozlegał głos Mickiewicza, uczeń znakomitych jego towarzyszów, profesor Lévêque, tak się wyraża o niezbędności całkowitego przerobienia podstaw umiejętności i filozofii: „Filozofia nowa — powiadał — obrać sobie musi zupełnie nowy punkt wyjścia. Wypada zbadać i w jedno zcalić rozmaite gałęzi i usystematyzowane działy wiedzy konkretnéj nie ze stanowiska specyalisty stojącego w centrum każdéj gałęzi umiejętności, lecz z punktu widzenia uogólniacza (*généralisateur*), który te odłamy wszystkie razem obejmuje i przenika. Praca to olbrzymia, ale też i skutki byłyby niezmiernie doniosłe. Ilekroć filozofia lub umiejętność traci z oczu ową obręcz zcalającą i jednoczącą, tylekroć owoc prac naszych więdnieje i zamiéra; synteza bowiem jest węzłem wszelkiéj naukowéj, literackiéj, artystycznéj działalności; bez niéj, cały świat moralno intelektualny rozpada się i rozkłada na coraz drobniéjsze cząstki doktryn i doktrynek: utylitarnych, materyalistycznych, ultraspirytualnych, mistycznych, aż dopóki nie dojdzie do zupełnéj anarchii, do zupełnego rozcieńczenia, w którém i ład i postęp znikają. Żeby jednak dotrzéć nareszcie do téj ogólnéj syntezy, od czego należy zacząć? Oczywiście od zcalenia poznawczych funkcyi naszéj duszy. Nie zaprowadzi gospodarz porządku w gospodarstwie, jeżeli w rodzinie jego niesforność panuje; nie odniesie wojsko zwycięstwa, gdy same z sobą się pokrzyżuje, pokłóci i pomiesza. Prawda ta, oczywista dla najprostszego zdrowego rozsądku, byłażby fałszem w zakresie badań filozoficznych? Czyliż można dociec głębszéj nieco, a raczéj wyższéj jakiéj i ogólniejszéj pewności połamaném na kawałki narzędziem poszukiwawczém? Albożpodobna dojść kiedykolwiek do porozumienia się wtém biedném naszém gospodarstwie naukowém, gdzie każdy członek według innego systematu uprawę prowadzi. Logika osobno, estetyka

osobno, etyka osobno, psychologia osobno, polityka osobno... Nauka o duchu — jest dziś prawdziwą torturą i anatomią ducha. Skończmy raz przecie z antagonizmami, z antytezami i z całą tą logomachią szkolną, zachęcającą jedynie do turniejów i zabawek filozoficznych. Mamy przed sobą zadanie o wiele wznioślejsze; należałoby poszukać, jakimby sposobem stare nieprzejednalne kierunki pojednać w duchu nowéj wyższéj dążności...

Pojednawczość — syntetyczność!.. Chodziłoby może jedynie o wynalezienie narzędzia zcalającego, — retorty psychologicznéj, w któréj stopić by się dały dotychczasowe sprzeczności filozoficzne. Wieszcz nasz nie radzi cofać się przed trudnościami tak wielkiego zadania. Oceniając znaczenie jednego z utworów Garczyńskiego i przytaczając jego czterowiersz, w którym niebo i ziemia świadczą geniuszowi, jako serc u świadczy:

... Myśl wysoka,
Jako myśli — czynów dzielność,
Jako czas — pieśniom proroka,
Jako prawdzie — nieśmiertelność,

Mickiewicz powiada: „Nic zwięźlejszego nad kilka tych wierszy ogarniających całą przestrzeń, którą filozofia polska przemierza. Garczyński utrzymuje, że serca wzniosłego dowodem jest myśl wysoka że myśl wsparta na wzniosłém sercu jest rękojmią czynów wielkich, że poeci, łącząc wiedzę z darem odgadywania, składają świadectwo prawdzie i nawzajem — czas im samym przyświadcza. Wszystko zatém ogniskuje się tu i początek bierze w sercu... Serce nie znaczy tu nic innego, tylko siedlisko ducha, pokrywę człowieka wewnętrznego. Wieszcze słowiańscy, którzy ciągle mówią o sercu, unikają używania wyrazu „głowa", jako jednoznacznego z „rozumem", „inteligencyą"; rozum bowiem i duch (dusza) nie są dla nich tą samą rzeczą. Z ducha myśl płynie i w ustach proroków staje się prawdą, która opanuje wieczność... Nigdy tak wiele ważąca zwrotka nie była ujętą w tak krótkie i zwięzłe słowa".

Nie podjęlibyśmy się ferowania wyroku, czy w tém określeniu serca, pojętego jako mieszkanie zbiorowéj władzy pojmowania istoty rzeczy, psychologia tegoczesna odsłoni dla siebie kiedykolwiek nowe jakie okienko na ciemne i głuche dotąd przestworza wiedzy o stosunku materyi do ducha, obiektu do subiektu. Nadmienić tylko wypada, że w jednéj z najgłośniejszych prelekcyi w Collège de France sławny fizyolog Kl. Bernard, roztrząsając pytanie: gdzie mianowicie umieścić należy ogniskowanie się wrażeń, które człowiek otrzymuje z zewnątrz, zniewolonym był w ostatecznéj swéj konkluzyi przyznać słuszność tym,

co radziby byli Mickiewiczowi przypisać pierwszeństwo w postawieniu największéj i najpłodniejszéj może w wieku XIX-ym hypotezy naukowéj. „Nie znamy umiejętności (powiedział profesor francuski), któraby dowodniéj od filozofii świadczyła o istnieniu duszy. Stwierdza ona niezbicie: 1) że ślady wrażliwości w systemie tylko nerwowym dają się spostrzegać; ale 2) że nerwowy ów system nie jest wrażliwy sam przez się, służy on bowiem jedynie do przenoszenia wrażeń; wrażenia dopiéro wtedy stają się dla nas rzeczywistemi, gdy c o ś z wewnątrz nas na ich spotkanie poślemy. Nie dość dla całości wrażenia słuchać trzeba jeszcze s ł y s z é ć; nie dość patrzéć, trzeba jeszcze w i d z i é ć (to jest miéć obudzoną wolę, chęć, zdolność, czy potrzebę widzenia). Owóż fizyologia nie może pochwycić owego wewnętrznego c o ś, nie umié dlań nawet miejsca wyznaczyć; opisuje i bada formalną stronę zjawisk, same narzędzia i pośredniki wrażeń; nie poczuwa się zaś na siłach do wykrycia odbiorczego, czyli dźwigniowego czynnika wrażeń. Nie mniéj wszakże jest prawdą, że czynnik ów, granica świata materyalnego i duchowego — istnieje. Wysoka tylko metafizyka zdoła może uświadomić w nas kiedykolwiek jego istotę."

Ta granica świata materyalnego z duchowym czémże inném być może, jeśli nie sercem, któremu mowa całego rodu ludzkiego, nasza zaś w szczególności, przyznaje zdolność czucia i przeczucia; w którém się zbiegają nasze uciechy, smutki, nadzieje, zwątpienia; które odpycha nas wstrętnie od zbrodni, fałszu, niecnoty, a mimowolnie pociąga ku wszystkiemu, co wzniosłe, dobre i szlachetne? Sercem człowiek moralny w nas rośnie; ono w wieku młodocianym nas wychowuje i kształci; ono jest pierwszym pośrednikiem ślubów i związków, które na całe życie zawieramy. Jedno jego tętno, jedno jego drgnięcie wykréśla nam nieraz drogę, z któréj już nigdy późniéj nie zejdziemy. Błąd serca pchnąć nas może w otchłań cierpień, zgryzot i pogardy ludzkiéj, z któréj wydostać nas potrafią chyba dobre, wyższe popędy tegoż serca. Ono wkłada na nas obowiązki, ono nam praw naszych strzedz każe. Młode, dumne, pyszne, rzuca nas, jak Jacka Soplicę, na bezdroża; ale oto nagle, w chwili spełnienia zbrodni, — „rozpaczą jakąś i żalem do ziemi przybija"; ocknione, „zły przykład każe okupywać dobremi przykłady" i zmywać plamę na sumieniu „cichemi, użytecznemi czynami". Od kolébki do grobu serce nam z życia robi dramat, tragedyę—poemat lub sielankę. Przedewszystkiém zaś, jest ono domem naszym, — najmilszym w nim zakątkiem dla dumań tkliwych, dla marzeń tęsknych, dla natchnionych polotów myśli. Tu, w otoczeniu tych dum i natchnień, rodzi się i umiéra—geniusz. Kiedy po długich i ciężkich pracach rozumu, wyobraźni, pamięci zmęczony duch wraca z dalekiéj wy-

cieczki i do wypoczynku się układa, jak duch Newtona w legendowéj kontemplacyi pod drzewem, lub duch Keplera we śnie,—kiedy dokoła zapanuje cisza urocza i uroczysta, — zachodzi nagle drobny jaki wypadek w jedném ze zmysłowych okien duszy: spadające jabłko mignęło przed oczyma, psotliwa pamięć lekkiego szczutka dała wyobraźni... I oto rzutem błyskawicznym wszystkie naraz potęgi duszy zbiegają się w punkcie przytomności, wzajem ku sobie pochylone i wzajemnie się wspierające. W téj właśnie chwili mickiewiczowski „wewnętrzny człowiek" przejrzał się w absolucie; makrokosmos odbił się w mikrokosmosie; wszechświat, wszechstworzenie i wszechstwórca ukazały się duchowi ludzkiemu... Niestety, — zjawia się błyskawicznie, — więc też i błyskawicznie mija —

Czémże me czucie? —
Ach iskrą tylko...
Czémże me życie? —
Ach jedną chwilką...

Nie ulega najmniejszéj wątpliwości—i to już po raz drugi czy trzeci przypominać sobie musimy, że nastrój wyjątkowy wyjątkowym chyba tylko jednostkom na stałe przypisany być może. Wynika z samego układu okoliczności i czynników powodujących podnieconą do jasnowidzenia jedność funkcyi duchowych, że tak niezwykłéj ekstazy niepodobnaby narzucić, w charakterze wzoru lub reguły, zwyczajnym trybom naszego postępowania. „Chwila, gdy się przedłuża... iskra gdy się rozżarza — zwala i stwarza" — utrzymuje Mickiewicz; ale ciągłą, nieustającą twórczością człowiek nie żyje; poezya ani powietrzem, ani chlebem powszednim stać się nie może. I nikt też tego nie potrzebuje. Bo jak odświętną równowagę władz duszy zdobywamy natchnieniem, tak znowu na równowagę powszednią zapracować możemy rozsądkiem zdrowym. Praca, nauka, rozmyślanie, pielęgnowanie cnót drobnych, trzymanie na wodzy pragnień gorętszych, poszanowanie ideału i prawdy — one również dać nam mogą prawdziwe namaszczenie kapłańskie, w najszlachetniéj pojętém znaczeniu wyrazu. Najdokładniéj uwydatnia się tu nietylko teoretyczne, lecz nawet praktyczne, rzeczowe dobro filozofii Mickiewicza, która logiczny (rozumowy) system dochodzenia praw i prawd społecznych zastąpić pragnie systemem psychologicznym (duchowym). Zasadnicze cechy tego dobra mieszczą się wszystkie w ogólnéj charakterystyce „Pana Tadeusza", — w téj jego osnowie towarzyskiéj i obyczajowéj, któréj mistrzowskie zobrazowanie nazwaćby można „idealizacyą zwyczajnego, pospolitego życia"... Mierny, czerstwy, nie obdarzony żadnemi szczególnemi łaskami przyrodzenia lub wychowania świat spokoju i harmo-

nii ducha — to także swojego rodzaju wyżyna, o któréj zdobycie kusić się i walczyć warto. Słońce, które na tych płaskowzgórzach świeci, promienieje w jednostkach łagodną mądrością rozwagi, względności, wyrozumienia, pobłażania; w społeczeństwach budzi mierną i niehardą, lecz wierną i twardą cześć dla wszystkiego, co słuszne, uczciwe, zasłużone, w dobréj myśli poczęte; całéj zaś przyrodzie nadaje owo szczere, przyjaźnie uśmiéchnięte, losowi ludzi zacnych życzliwie przychylne wejrzenie, jakie gromadzie soplicowskiéj towarzyszyło wówczas, kiedy wnoszono zdrowie wodzów, Tadeusza, Zosi, — wszystkich, „których kto żyw spamięta i których zmarłych pamięć pozostała święta”...

I. T. Hodi.



GUSTAW TEODOR FECHNER,

jego żywot i filozofia [1]).

Podziśdnia trwa jeszcze w całéj swéj mocy poczęte od odnowienia filozofii rozdwojenie między wymaganiami przyrodoznawstwa, a potrzebami życia uczuciowego. Ściśle naukowe poznanie przyrody, podciągające wszelkie wydarzenia świata pod prawa niezłomne, zdaje się istotnie zagrażać poważnie wolności ducha. Skoro bowiem świat przedstawia mechanizm prawidłowo funkcyonujący, w którym wszystko się dzieje tak, jak dziać się musi, gdzież w takim świecie mogą znaléść miejsce: zasługa zwalczającéj się cnoty, dzieło twórczego geniuszu, nadzieja pokładana w miłości dobrotliwego Boga? A może owe prawa żelazne obowiązują jedynie świat ciał, wzajemnie uderzających się w przestrzeni, gdy tymczasem myśli nasze są całkiem od nich wolne? Ale wtedy znika przejście od poznawalnéj przyrody do państwa ducha; martwa materya ma swoje prawa dla siebie, i nie wiadomo, w jaki sposób może ona przyjść do świadomości, w jaki sposób z ruchoméj materyi powstaje uczucie i wrażenie. Świat fizyczny i psychiczny zostają rozerwane i rozdzielone przepaścią nie do przebycia: co żyje i czuje, nie podlega prawu, a co podlega prawu, jest martwe i bez czucia. Albo wreszcie, jeżeli nie mechanizm materyalny, lecz to co

---

[1]) „Gustaw Theodor Fechner", von Kurd Lasswitz, Stuttgart, 1896 r., str. VIII + 207.

żyje i czuje, jest jedynie prawdziwém i miarodajném w świecie, wtedy wiedza przyrodnicza myli się i wprowadza nas w błąd co do istoty podawanych przez się praw wszechświata; świat wprawdzie przestaje być martwym, ale zarazem wali się cały gmach poznania przyrody. Która z powyższych alternatyw ma racyę bytu? Żadna, albowiem prawidłowość i poznawalność świata nie są sprzeczne z żywą świadomością naszego bytu w świecie wolności, piękna, dobra i boskości, lecz owszem dają się pogodzić i muszą być pogodzone. Chodzi jedynie o to, aby przy rozwiązaniu tego zagadnienia przyrodoznawstwo nie poniosło żadnego szwanku, aby podstawy wiedzy zachowały się nietknięte; natomiast na kresach téj ostatniéj znajduje się jeszcze obszar dość rozległy dla wiary. Do takiego właśnie sposobu pojednania wiedzy z wiarą dąży Gustaw Teodor Fechner.

Urodzony 19 kwietnia 1801 r. we wsi Grosssärchen, gdzie dziadek jego, a późniéj ojciec — obaj ludzie światli — byli pastorami, Fechner w piątym roku życia stracił ojca i odtąd wraz z bratem Edwardem, późniejszym malarzem, pozostawał pod opieką matki oraz wuja, również pastora. Po ukończeniu gimnazyum w Dreznie, wstąpił do tamtejszéj akademii medyczno-chirurgicznéj, skąd po półroczu przeniósł się, jako młodzieniec 16-letni, na wszechnicę lipską. Ale medycyna ówczesna, pozbawiona ścisłéj metody oraz teoryi wiążącéj fakty empiryczne, nieświadoma różnicy między dziedziną obserwacyi a dziedziną tłómaczenia, nie zadawalniała umysłu łaknącego poważnéj nauki. Pilniéj tedy słuchał wykładów fizyologicznych Webera i algebraicznych Mollweidego, aniżeli ściśle lekarskich, i pomimo ukończonych studyów, pomimo złożonych egzaminów, nie czując powołania do zawodu lekarskiego, całkiem medycyny zaniechał i poświęcił się fizyce. Wprzód jednak, widocznie ulegając wrodzonemu popędowi do metafizyki, dał się porwać wszechwładnéj podówczas spekulacyjnéj filozofii natury; zwłaszcza „Podręcznik filozofii przyrody" Okena wywarł wpływ potężny na 18-letniego studenta, oglądającego się za jakimś kierownikiem w labiryncie nauk lekarskich, i na długie lata nadał kierunek jego umysłowi. Na szczęście Fechner rychło się opamiętał i spostrzegł, że rozważanie świata ze stanowiska ludzkiego myślenia, woli i uczucia zanadto podlega samowoli fantazyi, aby prowadzić mogło do poznania rzeczywistości, że przy pomocy metody spekulacyjnéj można ostatecznie dowieść wszystkiego. Zwrot stanowczy ku fizyce doświadczalnéj i matematycznéj nastąpił w r. 1824, gdy Fechner objął katedrę fizyki. Była to epoka sławnych odkryć Oersteda, Ampère'a, Faraday'a, Ohma na polu elektryczności i magnetyzmu. Fechner przystąpił do własnych w tym kierunku doświadczeń i w krótkim czasie zasłynął jako badacz wielce sta-

ranny i ostrożny. Jednocześnie z zamiłowaniem uprawiał optykę, zwłaszcza niektóre zagadnienia specyalne, jak barwy podmiotowe, obrazy następcze i t. d., stanowiące przejście do badań fizyologiczno-psychologicznych i świadczące o jego pociągu do psychofizyki. Niestety, badania fizyczne, prowadzone przez lat blisko 20 i wymagające nader dokładnego posługiwania się skalą, niezmiernie nadwyrężyły jego wzrok i przyprawiły go o długą (1840—1843) a niebezpieczną chorobę, niemal katastrofę, do któréj może więcéj jeszcze przyczyniła się niezmordowana praca literacka. Przekład i wydanie 4-tomowéj „fizyki" Biot'a oraz 6 tomowéj„ chemii" Thénard'a, dokonane od r. 1824 do 1828, nie licząc późniéjszych wydań i uzupełnień; redagowanie od 1830 r. czasopisma farmaceutycznego, gdzie zamieszczał liczne prace własne; nadewszystko zaś wydawnictwo leksykonu domowego, którego po zaślubieniu Klary Volkmann zmuszony był się podjąć dla zabezpieczenia sobie bytu materyalnego, leksykonu składającego się z 8 grubych tomów przeciętnie po 54 arkusze druku, zawierającego trzecią część własnych artykułów Fechnera z najrozmaitszych dziedzin i wydanego w niespełna 5 lat: tak olbrzymia praca, nie dziw, że podkopała doszczętnie jego zdrowie. Nasamprzód ucierpiały oczy; powoli światłowstręt doszedł do tego stopnia, że chory nie mógł ani czytać, ani pisać, i w końcu, nie znosząc nawet niebieskich okularów, skazany był na samotne siedzenie w ciemnym pokoju, a prędzéj lub późniéj na zupełną utratę wzroku. W 1841 r. przyłączyło się cierpienie układu pokarmowego; chory przez długi czas nie znosił żadnych pokarmów ani napojów, schudł jak skielet i dla braku sił zmuszony był leżéć w łóżku, zarówno przez otoczenie, jak i lekarzy uważany za nieuleczalnego. Już była nastąpiła niejaka poprawa trawienia, gdy znowu bóle głowy i bezsenność coraz bardziéj dokuczały nieszczęśliwemu, wreszcie dało się uczuć pewne osłabienie umysłu, polegające na zupełném wyzwoleniu się biegu myśli z pod rozkazów woli. Ale w jesieni 1843 r. całkiem niespodzianie nastąpiła poprawa, naprzód ze strony umysłu i oczu, późniéj — żołądka; zaś w końcu 1843 r., Fechner, uważany powszechnie za ociemniałego i dotkniętego zboczeniem umysłowém, całkiem wrócił do zdrowia. Takie iście cudowne ocalenie sprowadziło szczególną zmianę w jego usposobieniu; wierzył on zrazu, że sam Bóg poniekąd wybrał go dla dokonania nadzwyczajnych rzeczy, do czego długa choroba miała służyć niejako za przygotowanie. Wiara ta, naturalnie, trwała krótko, ale w myśleniu jego zaszedł przełom stanowczy a doniosły w skutkach; wrodzona mu, ale utajona, skłonność do

spekulacyi filozoficznéj wyszła na jaw. Jak niegdyś medycynę dla fizyki, tak obecnie zarzucił fizykę dla ogólnych zagadnień filozoficznych.

W osobliwém, ale nader ponętnie napisaném dziele, p. t. „Nanna [1]) czyli o życiu duchowém roślin" (1848), Fechner usiłuje dowieść, że rośliny narówni ze zwierzętami powinny być uważane za istoty obdarzone duszą. Czy rośliny, które przecież żyją, oddychają, pachną, kwitną, rozmnażają się i tak są piękne, czy rośliny — pyta — mają wiecznie istniéć jedynie i wyłącznie dla innych, nic nie znacząc dla siebie? Na jakjéj zasadzie odmawiamy im bodaj najmniéj jasnego poczucia własnego bytu? Powoływanie się na zasadniczą różnicę w ustroju między zwierzętami a roślinami jest niesłuszne i dotyczy tylko wyższych przedstawicieli fauny i flory. Zstąpmy bowiem do najniższych ustrojów, do wspólnego pnia, z którego rozwinęły się oba szeregi — zwierzęcy i roślinny — a różnica powoli się zaciera, aż całkiem znika. Jeżeli zaś przypuścimy, iż odlegli przodkowie nasi w szeregu rozwojowym już posiadali świadomość, oczywiście w formie nader nierozwiniętéj, musimy ją przyznać również przodkom obecnego świata roślinnego, z racyi wspólnego ich początku. Miałażby świadomość w ciągu wieków zaginąć w roślinach? Dla czego? Mówi się wiele o braku w roślinach układu nerwowego oraz związanéj z nim jedności czynnościowéj, któryto brak właśnie ma je pozbawiać świadomości. Ale gdzie dowód, że świadomość wogóle koniecznie wymaga układu nerwowego? Że skrzypce, fortepian i t. p. wydają dźwięki przy pomocy strun, nie wyklucza to przecież możliwości istnienia innych instrumentów dźwięczących bez strun, np. fletu, piszczałki organowéj. Budowa tu i tam jest inna, inne téż warunki powstawania dźwięku; ale przy tém wszystkiém instrumenty mają jednę właściwość wspólną: powstawanie prawidłowych drgań. Owóż takim wspólnym warunkiem dla zwierząt i roślin są procesy organiczne. Odżywianie, oddychanie, rozmnażanie, zależne u zwierząt od systemu nerwowego, odbywają się w roślinach bez pomocy nerwów; ztąd wolno wnosić, że obecność układu nerwowego nie przedstawia również, z natury rzeczy, koniecznego warunku życia duchowego, lubo jest nim w szczególnym ustroju wyższych zwierząt. Rzecz prosta, nie ma tu mowy o jakiéjś samowiedzy, nie należy utożsamiać duszy roślinnéj z miniaturą duszy ludzkiéj; może to być całkiem odrębny rodzaj czucia, który w uzupełnieniu do świadomości ludzkiéj i zwierzęcéj znalazł swój wyraz w roślinie.

---

[1]) Nanna nazywa się małżonka północnego boga światła i wiosny, Baldura, jéj poświęcony był świat kwiatów.

Ztąd już jeden krok do uduchowienia całéj przyrody. W „Zend-Avesta czyli o sprawach nieba i tamtego świata ze stanowiska przyrodniczego” (1851) Fechner rozszerza świadomość na ciała niebieskie oraz wszystko, co się znajduje na nich i pomiędzy niemi. Więc ziemia i gwiazdy są organizmami i duchami, tylko wyższego rzędu aniżeli człowiek, a wszystkie duchy bytują w powszechnéj świadomości boskiéj. Tu również rozwija on swoje poglądy na nieśmiertelność ciała i duszy, o czém wszystkiém mowa będzie w dalszym ciągu. Pewność uzyskania osobowego a niezniszczalnego życia w Bogu, bez zrzeczenia się trwałego, naukowo uzasadnionego przekonania rozumu — oto czynny motyw osobisty jego filozofii, pierwiastek uczuciowy, nakréślający kierunek jego myśli. Powołanie, działalność, nawyknienia ścisłego badacza zbiegły się w Fechnerze z rzetelną pobożnością i głęboko religijną potrzebą wiary; w takiéj, jak on, naturze nie mogły one współistniéć tylko zewnętrznie, obok siebie, lecz wymagały wewnętrznego zjednoczenia za pomocą jednolitego poglądu na świat.

Z innych dzieł, pochodzących z pierwszego okresu działalności filozoficznéj Fechnera, zasługują na uwagę: „O najwyższém dobru” (1846) oraz „Fizykalna i filozoficzna nauka o atomach” (1855), gdzie energicznie występując w obronie atomistyki, jednocześnie załatwia ostateczne swe rachunki z spekulacyjną filozofią przyrody.

Ale prawdziwém arcydziełem Fechnera, które zgotowało mu największą, najtrwalszą i najbardziéj zasłużoną sławę, są jego „Zasady psychofizyki” (1860, 2 t.). Aby wiedziéć, o co tu chodzi, musimy się wprzód porozumiéć. Mówimy: jedna linia jest dwa razy dłuższa od drugiéj, lub jeden ciężar jest trzy razy większy od drugiego, ponieważ linie dają się porownywać przez nakładanie, a ciężary przez ważenie. Ale czy możemy również powiedzieć, że wystrzał armatni jest 10 razy głośniejszy od karabinowego, lub światło słoneczne jest 100 razy jaśniejsze od księżycowego? Nie, albowiem doświadczenie wskazuje, że lubo 100 wystrzałów jednoczesnych są głośniejsze od jednego, wrażenie przez nie wywarte bynajmniéj nie rośnie ściśle proporcyonalnie do ich liczby, częstokroć zaś nie odróżniamy nawet wcale 10 wystrzałów od 11. Otóż Fechner stawia pytanie: czy istnieje sposób dokładnego mierzenia wrażeń, czyli stanów podmiotowych, t. j. sposób, któryby pozwalał nie tylko oceniać je, jako większe lub mniejsze, lecz nadto ściśle określać ich stosunek liczebny, jak to czynimy z bodźcami, t. j. czynnikami fizycznemi? „Psychofizyka” jest odpowiedzią na powyższe pytanie, naturalnie, twierdzącą.

Przez „bodziec” czyli „podnietę” pojmuje się wszystko co działa na system nerwowy, więc drganie eteru, drganie powietrza, dotknięcie

i t. p., daje się on mierzyć obiektywnie i wywołuje wrażenie, wogóle mówiąc, wzrastające z jego natężeniem. Doświadczenie wszakże pokazuje, że aby wywołać wrażenie, t. j. zmianę w naszéj świadomości, bodziec musi dojść do pewnego natężenia. Tę granicę ilościową, poniżéj któréj bodźce nie zostają odczute, nazywamy „progiem podrażnienia". Wyobraźmy sobie teraz, że mamy na jednym z palców ciężar 500 gr.; dodawajmy doń stopniowo po 1 gr., lub zmieniajmy go na inne ciężary stopniowo, o 1 gr. większe: doznajemy wciąż wrażenia takiego, jak gdybyśmy trzymali 500 gr., nieczujemy żadnéj różnicy między ciężarem pierwotnym a następnemi, jakkolwiek wszystkie one znacznie przekroczyły próg podrażnienia. A zatém, dwa bodźce dostatecznie duże tylko wówczas dają się rozróżniać pod względem wielkości, gdy różnica ich doszła do pewnego natężenia, w naszym przypadku do 39 gr. Tę różnicę dostateczną, poniżéj któréj dwa bodźce jednorodne nie mogą być rozróżniane ilościowo, Fechner nazywa „progiem różnicowym". E. H. Weber znalazł, że dwie linie dają się odróżnić, jeżeli różnica ich wynosi przynajmniéj $^1/_{50}$ część mniejszéj linii. Dla wywołania zmiany w czuciu po podnoszeniu 40 gr. należy dodać 1 gr.; dla sprowadzenia takiéjże zmiany po 80 gr. już 1 gr. nie wystarcza, lecz co najmniéj 2 gr.; po 400 g. potrzeba 10 g., po 800 gr. 20 gr. Słowem, stosunek najmniejszego, czyli ledwo dostrzegalnego przyrostu do samego bodźca, pozostaje zawsze stałym, bez względu na rzeczywistą wielkość bodźców, albo: im większy jest bodziec, tém większy musi być przyrost, aby go odczuć. Na tém polega prawo Webera, które możemy przedstawić tak: $d\beta : \beta =$ ilość stała, gdzie β oznacza bodziec, $d\beta$ przyrost.

Owóż właśnie w stałym stosunku ledwo dostrzegalnego przyrostu bodźca do samego bodźca bystry umysł Fechnera dojrzał miary wrażliwości, czyli wartości progowéj wrażenia. Drogą doświadczeń niezwykle starannych i mozolnych ustalił on ją dla rozmaitych zmysłów, posługując się trzema metodami, wymagającemi zawiłych rachunków matematycznych. Znalazłszy miarę wrażliwości w prawie Webera, przechodzi Fechner od niéj do miary wrażeń. Mierzyć można tylko wielkości, wszelka zaś wielkość składa się z jednostek czyli jednorodnych części, których suma równa się całości. Czy istnieją podobneż jednostki miary dla wrażenia? Za miarę wrażliwości, czyli wielkość ledwo dostrzegalnego wrażenia, jak widzieliśmy, Fechner przyjmuje stosunek przyrostu bodźcowego ($d\beta : \beta$), będący wielkością stałą. Oznacza on także najmniejsze wrażenie przez $d\gamma$ i jako zasadniczą formułę psychofizyczną podaje równanie: $d\gamma = K d\beta : \beta$, gdzie K wyobraża stałą, zależną od warunków doświadczenia. Daléj Fechner stawia

przypuszczenie — najbardziéj może ze wszystkich przypuszczeń psychofizyki kwestyonowane — że jak energia podniety wzrasta przez dokonanie małych przyrostów, tak wrażenie składa się z najmniejszych wrażeń; jak $1g + 1g = 2g$, tak dwa ledwo dostrzegalne wrażenia tworzą w sumie jedno wrażenie dwa razy większe, czyli $d\gamma + d\gamma = 2d\gamma$. Jeżeli zaś to przypuszczenie jest prawdziwe, jeżeli wrażenia najmniejsze nie zacierają się wzajemnie przy składaniu, lecz sumują jak liczby, a wrażenie najmniejsze czyli ledwo dostrzegalne jest rzeczywiście przyrostem istniejącego już wrażenia, tedy wrażenie γ równa się sumie wszystkich jego części składowych $d\gamma$, jest wielkością matematyczną, a więc podległą prawom rachunku. Drogą rachunku z powyższéj formuły zasadniczéj wyprowadza Fechner następującą: $\gamma = K \log (\beta : b)$, gdzie γ oznacza wielkość wrażenia, K stałą, β wielkość danego bodźca, b tę wielkość bodźca, przy któréj wrażenie odpowiednie równa się zeru, czyli wartość progową bodźca dla odnośnego zmysłu. Formuła przetłómaczona na język powszedni brzmi: wrażenie ma się w stosunku prostym do logarytmu bodźca czyli: gdy podnieta wrasta w stosuku geometrycznym, wrażenie wzrasta w stosunku arytmetycznym.

Przez znalezienie swéj formuły mierniczéj Fechner dopiął zamierzonego celu — mierzenia wrażeń za pomocą podniet. Wszelkie odnośne badania nazywa on psychofizyką zewnętrzną, któréj wyniki służą za punkt wyjścia i podwalinę daleko sięgających wniosków, tworzących znowu treść psychofizyki wewnętrznéj, o czém mowa będzie poniżéj.

Z małemi przerwami Fechner do ostatnich dni swego życia pracował nad nową nauką, któréj podstawy z taką śmiałością nakreślone napotkały ze wszech stron poważnych przeciwników (Helmholtz, Mach, Bernstein, Hering, G. E. Müller i t. d.). Z zarzutów jedne dotyczą przeważnie pewności wewnętrznéj budowy nauki i jéj wyników, a zatém wartości prawa Webera, doświadczeń i metod mierzenia, stosowania matematyki i wyprowadzenia formuły logarytmicznéj, inne są natury bardziéj zasadniczéj i bądź kwestyonują wogóle możliwość psychofizyki, bądź żądają innego tłómaczenia otrzymanych wyników, zwłaszcza formuły logarytmicznéj, że pominiemy ogólne wnioski, wchodzące w zakres psychofizyki wewnętrznéj. Ale gdyby nawet psychofizyka, jak ją Fechner pojmował, okazała się mrzonką, — a takie jest zdanie wielu wybitnych psychologów, którzy uznają wartość tylko prawa Webera, i to jedynie w pewnych granicach — zawsze musimy mu przyznać niespożytą zasługę powołania do życia nowéj nauki o zakresie rozleglejszym niż psychofizyka. Myślimy o psychologii doświadczal-

néj. On pierwszy wskazał drogę prowadzącą w psychologii do wyników liczebnych i obserwacyi dokładnych; on pierwszy nauczył nas stosować eksperyment w psychologii, t. j. drogą dowolnéj zmiany warunków doświadczenia studyować, mierzyć i statystycznie obliczać wpływ zmiennych stanów świadomości, wpływ uwagi, podniet zewnętrznych i t. p. na szybkość, pewność i rozległość naszych postrzeżeń. Jego to prace podstawowe umożliwiły zakładanie pracowni psychologicznych, z których pierwsza powstała w 1879 r. w Lipsku za sprawą Wilhelma Wundta. Czego Fechner dokonał sam, bez pomocy asystentów, w sposób pierwotny, nad tém obecnie pracują ludzie wyćwiczeni w metodach i zasobni we wszelkie środki techniki nowoczesnéj. Atoli wszyscy oni uznają Fechnera za właściwego twórcę swéj nauki.

Fechner od najmłodszych lat okazywał wielkie zamiłowanie do sztuk pięknych, które stopniowo przybrało formę krytyki estetycznéj. Dla niego, zwolennika poznania empirycznego i indukcyjnego, estetyka nie jest nauką filozoficzną, która bada, czém piękno różni się od innych dziedzin kultury, od dobra lub prawdy, albo jak w ogóle możliwą jest dziedzina piękna. Takiéj „estetyki z góry" nie odrzuca on wprawdzie, ale za swoją rzecz nie uznaje. Widząc w estetyce część ogólnéj hedoniki, t. j. nauki o tém, co wzbudza przyjemność, stawia on jéj jedno zadanie: określanie praw, mocą których coś się podoba, lub nie podoba; rozwiązanie tego zadania wymaga nietylko analizy wrażenia artystycznego, lecz również doświadczenia i mierzenia. Będzie to „estetyka z dołu" czyli doświadczalna. Fechner dokonał całego szeregu pomiarów na najrozmaitszych przedmiotach, poczynając od figur geometrycznych i najpospolitszych rzeczy i kończąc na klasycznych obrazach Rafaela i Holbeina, a wyniki swych badań wyłożył w wielu pomniejszych pracach oraz ostatecznie w 2 tomowym „Wstępie do estetyki" („*Vorschule der Aesthetik*", 1876). Fechner, w przeciwieństwie do większości estetyków niemieckich, widzi w kojarzeniu jeden z najgłówniejszych czynników wrażenia estetycznego; pogląd to nie nowy, bo już broniony przez szkota Home'a w ubiegłym wieku, a późniéj również przez Lotze'go; do jakiego jednak stopnia zasada kojarzenia wyrugowaną została z estetyki przez filozofię, świadczy wymownie fakt, że odczyt miany przez Fechnera w 1866 r. w lipskiém towarzystwie sztuk pięknych doznał zupełnego fiaska wśród znawców filozoficznie wyszkolonych.

Po ukończeniu badań estetycznych, 77 letni Fechner uczuł potrzebę zsumowania w jedném dziele swych poglądów życiowych oraz wyjaśnienia swego stanowiska względem własnych, a pozornie tak sprzecznych prac — z jednego punktu centralnego. Tak powstało

dzieło, p. t. „Pogląd dzienny w przeciwieństwie do nocnego” (1879). „Poglądem dziennym” nazywa Fechner wiarę w świat, jako istotę obdarzoną duszą, oraz w Boga, jako wszechistotę psychofizyczną, będącą jednocześnie prawem i świadomością wszechświata. „Nocnym” nazywa on pogląd, według którego świadomość wiąże się jedynie z pojedyńczemi centrami podmiotowemi, które — jak ludzie i zwierzęta — w stosunku do całości świata mają byt znikomy, reszta zaś świata ma przedstawiać się w rzeczywistości, jako ciemna i niema noc. W tém — że dziele Fechner wyjaśnia swój stosunek do spirytyzmu. Zwolennikiem spirytyzmu Fechner nigdy nie był, jakkolwiek brał żywy udział w seansach, urządzanych przez znanego spirytystę Slade'a, wraz z astronomem Zöllnerem, fizykiem W. Weberem i matematykiem Scheibnerem; ale też nie uważał zjawisk spirytystycznych za zwyczajne oszustwo: należy je albo odeprzéć w sposób niezbity, albo uznać za fakty, oczekujące wytłómaczenia. Bądź co bądź jednak zajmowanie się spirytyzmem jest, jego zdaniem, niedorzeczne i zdrożne, a odnośne fakty są natury patologicznéj, jeżeli bowiem duchy istotnie wkraczają w obręb naszego świata, to sądząc z ich dziecinnego i trywialnego zachowania się, mamy tu do czynienia z jakiémś nienormalném zjawiskiem życia zaświatowego. „Pogląd dzienny” może się obejść bez spirytyzmu, bo sam przyjmuje w życiu normalném ciągłą styczność obu światów. Słowem, zjawiska spirytystyczne, o ile są prawdziwe, mają wszelkie cechy objawów chorobowych, których lepiéj nie wywoływać sztucznie, jako szkodliwych dla życia normalnego.

Powyższy obraz działalności i życia tego wszechstronnego umysłu byłby niedokładny, gdybyśmy go nie dali poznać ze strony najmniéj spodziewanéj — jako humorystę i satyryka. Jego pisma humorystyczne są to po większéj części satyry, skierowane bądź przeciw ówczesnéj medycynie, bądź przeciw filozofii natury, a powstałe z szczególnego połączenia bujnéj fantazyi i krytycznego umysłu; jako nie naukowe, wydawane były pod pseudonimem Dr Mises. W „dowodzie, iż księżyc składa się z jodyny” szydzi on z rozwielmożnionéj metody leczenia wszelkich chorób jodem. „Panegiryk obecnéj medycyny i historyi naturalnéj” wychwala ironicznie postępy terapii, które dają się streścić w zdaniu: „wszystkie środki leczą wszystkie choroby”. Wszakże najponętniejszy jest szkic, zatytułowany „Anatomia porównawcza aniołów”. Określiwszy aniołów, jako istoty żywe stojące w szeregu organicznym o szczebel wyżéj od człowieka, dr Mises zapytuje, jak na podstawie analogii przyrodniczych i filozoficznych należy ich sobie wyobrażać. Człowiek nie jest istotą najdoskonalszą, brak mu jednolitości kształtów. Usuńmy wszelkie nierówności, a zostanie kula, jako kształt idealny.

Takim jest kształt najpiękniejszych części ciała ludzkiego (głowy, oka); aniołowie mają właśnie postać kulistą. Oko jest narządem światła, a w świetle zamieszkują anieli; jak powietrze jest pierwiastkiem człowieka, tak światło — pierwiastkiem aniołów. Aniołowie to oczy wyzwolone; światło — ich językiem, barwy — dźwiękami. Nie są to kule kręgielne, puste i martwe, lecz samoorganizujące się, wolne ciała świetlne. Jak się poruszają bez nóg? Unoszą się dokoła słońca, mając za zmysł ciążenie powszechne, przy którego pomocy odczuwają najbardziéj oddalone ciała niebieskie, najlżejszą zmianę w budowie świata. Aniołowie — to żywe planety; skąd jeden krok do wniosku, że i planety same są aniołami, tylko grubszego gatunku, niż dopiéro co opisani bezpośredni mieszkańcy słońca, bo bardziéj od niego odlegli, wniosku, którego wprawdzie dr. Mises na razie nie wysnuwa, ale za to późniéj Fechner już nie żartem, lecz całkiem seryo rozwija w postaci teoryi, że ziemia jest organizmem, a ludzie jéj narządami. Z innych pism humorystycznych godzi się przytoczyć jeszcze 4 szkice: „Cień żyje", „Przestrzeń ma 4 wymiary", „Istnieją czary", „Świat zawdzięcza swe powstanie nie twórczéj lecz niszczącéj zasadzie", — wszystkie wydane pod wspólnym nagłówkiem „Cztery paradoksy". Czytelnik pewnie pragnąłby wiedziéć, czém wytłómaczyć owo rozmiłowanie w satyrze i humorystyce u człowieka oddanego ścisłym badaniom fizykalnym, lub rozmyślaniom filozoficznym? Po części, zapewne głęboko zakorzenionym popędem estetycznym, który poznaliśmy już, a który—dodajmy — znalazł wyraz, oprócz krytyki estetycznéj, również w utworach poetyckich i beletrystycznych, nawiasem mówiąc, nie wybitnych. Po za tém, humor i satyra Fechnera mają dwojaką przyczynę i dwojaki cel. Prowadząc dowodzenie z nadzwyczajnym dowcipem, obalając każdy zarzut jakimś śmiałym pomysłem, a ten znowu innym dowodem, pragnie dr. Mises pokazać, jak łatwo jest bronić napozór słusznemi dowodami rzeczy najbezzasadniejszych i najnieprawdopodobniejszych, jak łatwo jest odrobiną fantazyi i zręczném posługiwaniem się obrazami, analogiami wszystkiego dowodzić, a jednak nie dowodzić niczego. A czyż nie taką jest argumentacya filozofów natury, mistyków i spirytystów? Ale z drugiéj strony, za swawolą szydercy ukrywa się tajemniczy pociąg serca, przeczucie własnego światopoglądu. Znamy już urywkowo fechnerowskie pojmowanie wszechświata; ono to właśnie rządzi grą idei u d-ra Misesa. Tymczasowo żartobliwy autor podaje nam wprawdzie tylko powabną grę fantazyi. Ale kto umié czytać między wierszami, ten w dziwacznych obrazach poety łatwo dojrzy spaczone cienie żywego świata, który w umyśle badacza i myśliciela przybrał już kształty namacalne. Satyry jego są to niejako czułki ostrożnie wyciągnięte

dla przekonania się, ile wogóle należy mówić przed ludźmi, próbki myślowe, za które badacz ostrożny nie chce brać na się odpowiedzialności. Wie bowiem dobrze, że i na poważne jego pomysły ludzie kiwać będą głowami; więc je wprzódy przyodziewa w sukienki błazeńskie i każe im odbyć pochód maskaradowy przed publicznością. Wśród widzów spostrzegamy prof. Fechnera, dobrotliwie śmiejącego się z zachowania się d-ra Misesa. Oto humor prawdziwy.

Całe życie Fechner spędził w Lipsku, z małemi wyjątkami, w towarzystwie żony, wiernych i wybitnych przyjaciół, prowadząc korespondencyę z uczonymi zagranicznymi. Życie to upływało w ciągłéj pracy, mało obfitując w wydarzenia ciekawe. Do najboleśniejszych ciosów jego należała śmierć trzech najbardziéj mu oddanych przyjaciół: filozofa Weisse'go, d-ra Härtel'a i fizyologa E. H. Webera; do największych radości — powszechne a nieoczekiwane święcenie jego 80-letnich urodzin w r. 1881, złotego wesela w r. 1883, oraz 50-letniego jubileuszu profesury zwyczajnéj w r. 1884. Szczególniéj ucieszyły go nominacya na obywatela honorowego Lipska oraz powinszowanie otrzymane od gminy kościelnéj Grosssärchen, miejsca urodzenia. 6 listopada 1887 r. jeszcze cały dzień pracował, o godz. 9-éj wieczór tknięty apopleksyą, coraz bardziéj upadał na siłach; zmarł 18 listopada.

Filozofia Fechnera dąży, jak nam wiadomo, do pojednania wiedzy z wiarą, do pojednania chlubnego, bo przyrodoznawstwo zachowuje w niém wszystkie swoje pozycye, t. j. podstawy i zdobycze. Fechner tedy, jak przystało na prawdziwego fizyka, sprowadza wszelkie sprawy materyalne do ruchu, a siły uważa za wyrazy, oznaczające pewne stany ruchu. Pomijamy jednak wywody, dotyczące materyi i siły, jako zbyt oderwane i trudne do pobieżnego przedstawienia, a przechodzimy odrazu do kosmogonii Fechnera.

Procesy nieorganiczne różnią się od organicznych nie zasadniczo, lecz wyłącznie rodzajem ruchu, zachodzącego w cząsteczkach. W molekułach nieorganicznych cząstki krążą naokoło położenia równowagi, nie zmieniając wzajemnego względem siebie położenia; w organicznych zaś cząstki poruszają się względem siebie w sposób skomplikowany, zmieniając w ciągu tego ruchu położenie swe na wręcz przeciwne, ale téż wracając doń po pewnym okresie. Przez zetknięcie, wzajemne oddziaływanie lub wymianę wzajemną składowych części powstają wyższe układy ruchowe, czyli rozmaite ciała: nieorganiczne, organiczne i mieszane. Błędném jest mniemanie, jakoby życie rozwinęło się z materyi nieorganicznéj; przeciwnie, pierwotnym stanem materyi jest stan organiczny, o czém świadczy dowodnie całe dotychczasowe doświadczenie, które pokazuje, że zawsze i wszędzie nieorganiczne powstaje

z organicznego, nigdy zaś odwrotnie. Życie tedy jest najogólniejszą własnością bytu. Zapewne, że owego stanu pierwotnego nie należy utożsamiać ani z obecną budową protoplazmy i komórek — co można nazwać stanem cząsteczkowo-organicznym, — ani z budową cząsteczek nieorganicznych; dość, że z niego właśnie wyłoniły się oba stany obecne, jako przeciwległe wyniki różniczkowania się materyi. Fechner nazywa ów stan pierwotny materyi kosmorganicznym. Przyjęcie hypotezy kosmorganicznéj usuwa trudności, związane z wyprowadzeniem życia z substancyi nieorganicznéj. Oto jak Fechner tłómaczy powstanie ziemi, a na niéj istot żywych. Wobec wielkich odległości cząstek w pierwotnym stanie materyi, jedyną w niéj siłą rządzącą mogła być tylko grawitacya. Dopiéro późniéj, wraz z wzajemném zbliżeniem się cząsteczek, na widownię zaczęły występować siły molekularne. Wprawdzie fakt niezbędności pewnéj średniéj temperatury dla ruchów cząsteczkowo-organicznych każe przypuścić, że wywiązująca się z ściągania materyi ciepłota, powodując natychmiastowe przejście ziemi w stan anorganiczny, uniemożliwiała powstawanie organizmów. Ale z drugiéj strony, ponieważ proces był ciągły, a jego największe działanie cieplne powinno było występować przedewszystkiém w środku ciężkości lub innym jakimś punkcie wewnętrznym zgęszczającéj się masy, przypuszczalnie w obecnym środku ziemi, przeto poczynając od owego rozżarzonego jądra środkowego aż do warstwy granicznéj, pozostałéj w stanie kosmorganicznym, musiały istniéć wszelkie możliwe stopnie zgęszczenia, a więc i najrozmaitsze temperatury. Gdy zaś drogą promieniowania ciepłota jądra dostatecznie się obniżyła, tém samém owa warstwa graniczna — możemy ją uważać za powierzchnię planety — posiadała już warunki niezbędne do przekształcenia ruchów kosmorganicznych na cząsteczkowo-organiczne. Prawdopodobnie cała obecna masa ziemi przeszła przez stan cząsteczkowo-organiczny. Mianowicie, pod wpływem temperatury jądra, wzrastającéj w miarę zgęszczenia, skorupa ziemska, ledwo zdoławszy przeistoczyć się w molekularno-organiczną, ulegała spalaniu, przechodząc w stan nieorganiczny wnętrza ziemi; gdy tymczasem granica, na któréj mogły jeszcze zachować się stany organiczne, coraz bardziéj przesuwała się od środka ku zewnątrz. Proces ten, złożony z kolejnych faz, ciągle się powtarzał dopóty, dopóki nie nastąpiło wyrównanie między ciepłotą zgęszczenia a promieniowaniem. Dopiéro na tak ustalonéj powierzchni ziemi, gdzie zresztą zawsze znajdowały się części o temperaturze względnie niższéj, mogły zachować się trwale, bez ponownego spalenia resztki masy cząsteczkowo-organicznéj. One to właśnie są przodkami obecnie żyjących na ziemi organizmów, i z nich dzięki coraz bardziéj sprzyjającym

a stalszym warunkom rozwinęła się drogą różniczkowania cała mnogość istot żyjących. Przejście materyi kosmorganicznéj w jednolity system mieszany, zwany ziemią, nie dotyczy wyłącznie martwéj jéj powłoki. Oprócz rozżarzonego morza wewnętrznego, oprócz stałéj skorupy, oceanu, atmosfery, należy tu jeszcze cały świat ludzki, zwierzęcy i roślinny — wszystko razem związane wspólną siłą dokoła jednego punktu środkowego. Ziemia, jako całość, jest organizmem wyższego rzędu, a wszystkie istoty żyjące — jéj narządami. Istotnie, pod wieloma względami zachodzi podobieństwo między ziemią a człowiekiem: dzień i noc odpowiadają czuwaniu i snowi, krążenie wód — krwi obiegowi, odpływ i przypływ morza — pulsacyi serca, zieleń pokrywająca ziemię — czującéj skórze człowieka i t. d. Analogia, naturalnie, ma swoje granice; ale skoro w człowieku nie ma części zupełnie do niego podobnéj, dlaczego ziemia ma być całkiem podobna do jednéj z swoich części? Takie pojmowanie żywych istot, jako narządów wyższego organizmu, nadaje im tém większą spójnię wewnętrzną, ile że w pochodzeniu swojém ukazują nam się również jako wytwory różniczkowania jednolitego praorganizmu. Skorupa ziemska, ulegająca na zewnątrz przemianie molekularno-organicznéj, na wewnątrz zaś znowu anorganicznéj, w gruncie rzeczy nigdy nie była pozbawiona życia; jéj warstwa zewnętrzna składała się raczéj z mieszaniny organicznéj i nieorganicznéj, przypominającéj masę śluzową. Stosownie do budowy miejsca i warunków zewnętrznych, owa masa śluzowa zróżnicowała się na większe i mniejsze istoty, które, dzieląc się daléj, z czasem rozpostarły się po całéj ziemi, morzu i powietrzu. Ale bardzo nieznaczna tylko część ich zdołała dojść do stałości organicznéj, do życia w wyższém znaczeniu słowa, związanego z określoną budową komórkową i podziałem pracy; większość mogła osiągnąć stałość tylko jako istoty nieorganiczne, inne zaś pozostały na niskim stopniu organizacyi. Wypływa stąd, że protoplazma nie powinna być uważana za początek życia, lecz raczéj za jego pozostałość pierwotną, niezdolną do dalszego rozwoju, oraz że cały pochód rozwojowy państwa organicznego zmierza do usunięcia mas mniéj zróżnicowanych na rzecz osobników bardziéj jednolitych, to znaczy do wytworzenia zarówno stałości nieorganicznéj, jak i osobników o budowie coraz delikatniejszéj i jednolitszéj. Za poglądem tym przemawiają w zupełności fakty paleontologiczne, świadczące, iż rozmaitość wyższych istot wzrastała z biegiem czasu; nie przeczą mu również odkrycia geologiczne, według których w najstarszych warstwach napotyka się mniejszą rozmaitość istot żyjących, albowiem palentologia ma do czynienia z organizmami, które dosięgły już pewnego stopnia stałości, z owych zaś pierwocin życia, o których mówi hypo-

teza kosmorganiczna, mogło już nic nie zostać Dociekania paleontologiczne co do powinowactwa wczesnych form organicznych, o ile są naukowo uzasadnione, naturalnie, zasługują na uznanie. Hypoteza kosmorganiczna pragnie tylko wskazać, w jaki sposób rozmaitość i rozwój znajdującego się na powierzchni ziemi życia dają się podprowadzić pod wspólny punkt widzenia z kosmicznym procesem rozwoju układu słonecznego.

Rzecz prosta, że i pochodzenie człowieka nie stanowi wyjątku od ogólnego prawa rozwoju organizmów, co zresztą nie powinno obrażać niczyjéj godności, bo przecież nikt z nas nie czuje się poniżonym przez to, że w stanie zarodkowym przechodził wszystkie stadya rozwoju organicznego, począwszy od prostéj komórki zarodkowéj. Jeżeli jednak już w zarodku ludzkim tkwi zdolność do rozwoju, musimy ją przyznać również owym praprzodkom w państwie organizmów, których człowiek jest najwyższym wykwitem. Wśród nich zaiste nie było dżdżownicy lub małpy, podobnie jak człowiek pojedyńczy nie był dżdżownicą w łonie matki, ani małpą w okresie ssania. Zdolność zostania człowiekiem, z biegiem rozwoju ziemi drogą różniczkowania, sięga aż do dyspozycyi cząsteczkowéj najpierwszych cząstek organicznych; zawsze musiały istniéć istoty, które, nie będąc jeszcze ludźmi, nosiły już w saméj swéj organizacyi możność osiągnięcia tego stanowiska; istoty zaś pozbawione téj zdolności zatrzymały się właśnie na najwyższym, dostępnym dla nich szczeblu rozwojowym. Z protoplazmy, dżdżownicy lub małpy nigdy nie powstanie człowiek, jak z próżnéj skorupy od jajka nie wylęgnie się powtórnie kurczę. Ale jak kurczę potrzebowało do swego rozwoju skorupy, tak człowiek nie daje się pomyśléć bez produktów pobocznych swego rozwoju, bez całego procesu różnicowania ziemi, wspólnéj matki wszystkich jéj mieszkańców.

Kreśliliśmy dotychczas pogląd Fechnera na wszechświat ze strony fizycznéj; przedstawia on nam dzieje wszechświata, jako wytwór koniecznego rozwoju układu materyalnego. Ale wszechświat ma jeszcze drugą stronę. Podlegamy wprawdzie niezłomnym prawom natury, ale jesteśmy przecież istotami świadomemi, czujemy i myślimy. W jaki sposób powstała świadomość na świecie? Zważywszy jednak, że posiadanie świadomości jest faktem niewątpliwym, co większa, ze wszystkich rzeczy rzeczą najpewniejszą, bo przez nią tylko doszliśmy do przekonania o istnieniu świata, o własném istnieniu, przyznać trzeba, że pytanie jest fałszywie postawione. Właściwie należy się pytać: jak może coś istniéć bez świadomości? Czy istnieją téż procesy pozbawione strony wewnętrznéj, t. j. czucia, które stwierdzamy w procesach naszego własnego ciała? Czy może coś być przedmiotem dla innych, nie

będąc zarazem podmiotem dla siebie? Zdaniem fizyologii, tak jest. Za nieodzowny warunek świadomości uważa ona pewne zmiany fizyczne w mózgu, lub przynajmniéj w odpowiednim aparacie nerwowym, cały zaś świat pozostały przedstawia jéj się, jako mechanizm czysto ruchowy, bez czucia, bez wrażeń. Inaczéj sądzi Fechner. Zawiły układ ruchowy, jakim jest mózg i nerwy wyższych zwierząt, powstał i rozwinął się stopniowo z ruchów mniéj złożonych; od niego ciągnie się niezliczony szereg form przejściowych aż do najprostszych ustrojów, których cała natura organiczna polega na oddziaływaniu na bodźce zewnętrzne za pomocą ruchów cząsteczkowych ich komórek, na odżywianiu i rozmnażaniu. Czy wszystkie wymienione sprawy wiążą się z świadomością, o tém sądzić możemy jedynie na mocy zewnętrznego podobieństwa z naszém własném życiem. Skoro jednak na mocy tego podobieństwa przyznajemy drapieżnikowi uczucie głodu, na jakiéj zasadzie odmawiamy roślinie uczucia wysychania? Gdzie należy poprowadzić linię z napisem: tu kończy się świadomość? Podług Fechnera, linia taka wogóle nie istnieje; nie ma zupełnéj przerwy w świadomości, lecz jedynie ciągły szereg coraz słabszych jéj stopni. Wszędzie, gdzie występuje na jaw jedność układu fizycznego, powinniśmy przyjmować towarzyszące jéj zjawisko psychiczne, naturalnie, w równym stopniu odległe od wysokości świadomości ludzkiéj, w jakim prosta budowa fizyczna różni się od subtelnéj budowy mózgu. Nie świadomość wogóle, lecz tylko określony jéj stopień idzie w związku z pewną wyższą komplikacyą układu nerwowego. Atoli z drugiéj strony, świadomość, lubo żadną miarą nie przedstawia produktu warunków fizycznych, wymaga jednak koniecznie towarzyszącego jéj procesu fizycznego. Oba zjawiska — fizyczne i psychiczne — nie mają się do siebie jak przyczyna do skutku — jedno nie wywołuje drugiego, — również nie są one skutkami jednéj przyczyny wspólnéj a wyższéj, lecz jedynym i tym samym procesem, który nazywa się fizycznym, o ile go rozważamy z zewnątrz, w jego skutkach obiektywnych, oraz psychicznym, o ile go rozważamy subiektywnie, w sobie i dla siebie. Co dla mnie jest moją myślą, to dla zewnętrznego spostrzegacza — moim procesem mózgowym; co dla mnie jest fizycznym procesem spadnięcia kamienia na nogę mojego sąsiada, dla niego jest psychicznym procesem bólu. Wogóle, co ze stanowiska wewnętrznego objawia nam się jako nasz duch, to z zewnętrznego objawia nam się, jako jego cielesne podścielisko. Żaden duch nie może postrzegać innego ducha bezpośrednio, jako takiego, lecz jedynie samego siebie; istoty poruszające się mogą obcować z sobą i wnioskować o sobie tylko za pośrednictwem

świata obiektywnego, ciał przestrzennych: jedyny to sposób wzajemnego objawiania się duchów.

Teraz zachodzi walna kwestya, któréj rozwiązanie stanowi oś całéj filozofii Fechnera.

Jeżeli wszelki proces zachodzący w świecie ma charakter psychofizyczny, t. j. jest z jednéj strony ruchem, z drugiéj — czuciem, co się staje z prawem progu, które opiéwa, że istnieją sprawy fizyczne, nie wychylające się wcale nad poziom świadomości, a więc pozbawione strony podmiotowéj? Ze stanowiska fizyologii, niedostrzegalność bodźca może pochodzić stąd, że, mając natężenie zbyt słabe, już w drogach nerwowych ulega zniszczeniu i wógóle do mózgu nie dochodzi. Otóż, po pierwsze, według praw rozprzestrzeniania się ruchu, maleje on zawsze w pewnym stosunku do swego chwilowego natężenia, a więc zniknąć może chyba w nieskończoności, czyli nigdy; co w naszym przypadku oznacza: bodziec, który raz wywołał ruch nerwowy, musi przebyć cały system nerwowy, zatém dojść do mózgu i przekształcić się na ruch psychofizyczny. Powtóre, liczne przykłady świadczą o istnieniu czynności psychofizycznych, pozostających pod poziomem świadomości. Zagabnięci np. w chwili, gdy myśl nasza jest czémś zaprzątnięta, nie wiemy, o co chodzi pytającemu, ale nim powtórzono pytanie, jużeśmy jego treść uchwycili. Bodziec zewnętrzny oczywiście już tu dawno zniknął; ale skierowana nań uwaga nie mogłaby go wprowadzić w obręb naszéj świadomości, gdyby nie trwał nadal w nas w postaci ruchu psychofizycznego. Fizyologiczne tłómaczenie progu nie wytrzymuje krytyki. Fechner rozwiązuje powyższe pytanie w ten sposób, że uważa świadomość i próg jéj za pojęcia względne, dotyczące zawsze jakiegoś określonego organizmu. Istnieje tyle progów, ile stopni świadomości, i tyle stopni świadomości, ile określonych organizmów. Człowiek np., jako taki, jako istota jednolicie świadoma, posiada oznaczony próg psychofizyczny, który właśnie nadaje jego świadomości ową jednolitość, odgraniczającą i wyodrębniającą ją od innych psychofizycznych ruchów świata. Pewien świéży ruch psychofizyczny może, względnie do jednolitego układu energii naszego mózgu, okazać się zbyt słabym, aby objawić się w nim w postaci nowego procesu psychicznego; co wszakże nie przeszkadza mu stanąć powyżéj progu innéj jedności, tak iż nigdy nie jest pozbawiony całkiem odpowiedniego procesu psychicznego. Nie mając wartości psychicznéj dla naszego układu ośrodkowego, zyskuje ją w całéj pełni w innym jakimś układzie podrzędnym. Słowem, wszelki ruch fizyczny musi miéć swój odpowiednik psychiczny, jeśli nie w naszéj specyalnéj świadomości, to w innéj, ogólniejszéj. Na tém właśnie polega doniosłe znaczenie progu w sprawie tłómaczenia

zjawisk duchowych, odkrywa nam bowiem ciągłość ruchu psychofizycznego i tłómaczy zarazem przerywany charakter świadomości indywidualnéj.

Wypływa z powyższego, iż wszelka świadomość poszczególna może istniéć tylko na tle jakiéjś świadomości ogólnéj, która względnie do pierwszéj leży pod progiem; taki stosunek zachodzi np. między ogólną świadomością naszego życia organicznego (oddychanie, przemiana materyi i t. d.) a jasną, na psychofizycznéj czynności naszego mózgu opartą, szczegółową świadomością naszych postrzeżeń zmysłowych. Wszelka świadomość indywidualna równa się podniesieniu procesu psychofizycznego układu cząstkowego nad próg takiéjże czynności układu ogólniejszego; jéj zniknięcie równa się obniżeniu do natężenia ogólnéj świadomości, łączącéj z sobą wszystkie świadomości poszczególne. Teraz staje się dla nas zrozumiałém, dlaczego świat rozpada się w naszém pojmowaniu na ducha i ciało. Wszystko, co się dzieje powyżéj progu naszego własnego systemu psychofizycznego, przedstawia nam się, jako nasze życie duchowe; wszystko zaś, co się odbywa poniżéj tego progu, przedstawia nam się, jako natura zewnętrzna, martwa, materyalna. Niemniéj wszakże i ona ma właściwą sobie stronę subiektywną. Właśnie ze stanowiska przyrodniczego, które uważa narządy nerwowe za wytwór różniczkowania, a procesowi nerwowemu przypisuje jednakie z materyą mechaniczno-chemiczną prawa ruchu, nie ma powodu do szukania początku świadomości dopiéro w jakiéjś specyalnéj formie ruchu nerwowego; bo skądby się tu wziąć miała, gdyby już uprzednio nie tkwiła we wszelkiéj wogóle postaci ruchu? Rozumié się, świadomość spadającego kamienia, drgającego eteru, procesu krystalizacyjnego nie daje się wcale porównać ze świadomością wyższego organizmu; względnie do téj ostatniéj, tamte procesy fizyczne leżą głęboko ukryte pod poziomem, są nieświadome, ale bynajmniéj nie dla siebie i w sobie. Do znanéj nam już tezy, że wszechświat jest organizmem, należy dodać bardzo doniosłe uzupełnienie, że jest również istotą duchową, oraz że świadomość tkwiła już w kosmorganicznym prastanie świata. Możemy ją sobie wyobrazić, jako nieokréślone, chwiejne, niewyraźne czucie, które, w miarę różnicowania się materyi na jednostki organiczne oraz trwałą resztę nie organiczną, również ulegało różniczkowaniu, stopniowo koncentrując się i doskonaląc w indywiduach, a opadając dla nich poniżéj progu w państwie nieorganiczném. Ten proces przekształcania się czynności pierwiastkowo świadomych na bezwiedne bynajmniéj nie został już zakończony i daje się obecnie jeszcze prześledzać w życiu istot świadomych oraz naszém własném,

skąd wolno wnosić, iż nietylko wszystkie ruchy były pierwotnie wykonywane świadomie, lecz oraz że urządzenia, któremi posługują się istoty świadome, wytworzone były niegdyś przez czynność świadomie ku temu celowi skierowaną. Sprawy odbywające się obecnie w sposób czysto mechaniczny, „same przez się”, jako to: nastawianie oczu na przedmiot, macanie rękami, chodzenie, musiały być z początku mozolnie wyuczane; również czynności, których uczyliśmy się z świadomym zamiarem, jak czytanie, pisanie, gra na fortepianie, wykonywamy, po nabyciu dostatecznéj wprawy, czysto mechanicznie. Pierwotnie wyobrażamy sobie każdą literę, każdy klawisz, musimy nawet kierować na nie całą naszą uwagę, jak dziecko uczące się chodzić — na swe nogi; ale ciągłe powtarzanie świadomych doświadczeń, ustawiczne ćwiczenie sprawia, że oswajamy się z odnośnym ruchem; towarzysząca mu czynność psychiczna opada pod próg, a ruch zostaje nadal wykonywany, tylko że bez współudziału naszéj świadomości centralnéj. Dopiéro w skutkach swoich ruch dostaje się znowu w jéj obręb, ale już jako coś zewnętrznego, mechanicznego. Tak samo wszystkie procesy mechaniczne przyrody były związane z świadomością, po której obniżeniu się poniżéj progu pozostał goły mechanizm, przekazywany drogą dziedziczności od pokolenia do pokolenia, Krążenie krwi, trawienie, oddychanie odbywają się bezwiednie, nie są téż wyuczone, lecz odziedziczone; ale przypuścić wolno, że pierwotnie, w bardzo odległéj przeszłości, były przez naszych praprzodków wyuczone. Wszystkie obecne odruchy powstały niegdyś jako ruchy świadome.

Fechner nie poprzestaje na tém uogólnieniu, lecz rozszerza je na cały wszechświat. Wszystko, co pracuje obecnie w sposób bezwiedny na rzecz życia świadomego, stanowi pozostałość jakiéjś sprawy ongi świadoméj. Świat jest systemem nietylko rozwijającym się według praw koniecznych, lecz nadto dążącym do celu świadomego. Różniczkowaniu fizycznemu państwa kosmorganicznego na szereg indywiduów żyjących odpowiadało podobneż różniczkowanie na równoległy szereg istot duchowych. Wszechświat przedstawia istotę na wskroś duchową, bez początku i końca uduchowienia, względem któréj wolno jedynie pytać: w jaki sposób i w jakim stopniu z ogólnego uduchowienia wyłoniła się owa szczególna jego forma, tak dla nas jasna w człowieku, nie podawana w wątpliwość w zwierzętach, ale któréj domyślać się powinniśmy i w innych systemach jednolitych. Analogia, oparta po części na oznakach budowy i życia innych istot, po części na stopniowaniach naszéj własnéj świadomości, prowadzi nas daleko po za szranki ostatniéj, każąc odnajdywać wewnętrzne życie duchowe w każ-

dém drganiu eteru i materyi, w roślinach i gwiazdach, w całym wszechświecie. Podział na dusze indywidualne istnieje tylko między stopniami sąsiedniemi, przyczém poszczególna ich świadomość polega na wychyleniu się nad poziom ogólnéj świadomości jakiegoś wyższego układu, który ze swéj strony obejmuje w sobie ich treść. Świadomość ziemi, jako ogólna, mieści w sobie poszczególne świadomości swych mieszkańców, które, nie wyczerpując bynajmniéj jéj treści, właśnie przez współdziałanie w niéj dopiéro otrzymują swoją jedność i spójnię. Oprócz tego, ziemia tworzy niejako węzeł wplatający nas wraz z naszemi współstworzeniami w związek wyższy, boski; za takież punkty węzłowe uważać należy i inne gwiazdy, z których każda posiada swą świadomość odrębną przez to, że bierze udział w powszechnéj świadomości boskiéj, przenikającéj cały wszechświat.

Świat, jak widzimy, nie jest martwy i drętwy, głuchy i ślepy, lecz wszędzie, poczynając od rzeczy największéj a kończąc na najmniejszéj, żyje i porusza się w nim świadomy duch.

Wypada nam jeszcze przedstawić poglądy Fechnera na moralność i religię. Najogólniejszą postacią świadomości jest uczucie, t. j. rozkosz i ból; odpowiadają im ze strony fizycznéj trwałość i nietrwałość. Oprócz znanego nam już progu ilościowego, Fechner przyjmuje jeszcze istnienie progu jakościowego, t. j. granicy, ponad którą ruch psychofizyczny przybiéra charakter rozkoszy lub bólu. Oba progi są od siebie niezależne, to znaczy: zabarwienie uczuciowe może cechować zarówno stany świadome jak bezwiedne, co wypływa z względnego pojmowania świadomości. Stany, znajdujące się ponad progiem jakościowym, czyli mające charakter rozkoszy lub bólu, Fechner nazywa harmonicznemi, *resp.* nieharmonicznemi. Otóż widzieliśmy powyżéj, że rozwój fizyczny odbywa się w kierunku wytwarzania jaknajtrwalszych form, bądź organicznych, bądź nieorganicznych, czyli według zasady dążenia do trwałości; trwałość zaś jest fizycznym odpowiednikiem rozkoszy; wynika stąd, że równolegle z wzrastającą trwałością zachodzi również wzrost stanów harmonicznych, świat dąży do harmonii, czyli do *maximum* rozkoszy. Człowiek powinien dążyć, o ile od niego zależy, do sprowadzenia na świat jaknajwiększéj sumy rozkoszy, jaknajwiększego szczęścia. Etyka Fechnera jest więc w gruncie rzeczy eudemonistyczna. Ale wyraz „rozkosz" bierze się tu w najszerszém i najszczytniejszém znaczeniu; kładzie się nadto nacisk, że chodzi nie o rozkosz indywidualną, lecz o całość świata, o wchłonienie idei wszechcelu w wolę człowieka. Kto w czynach swoich kieruje się zasadą wszechporządku, ten postępuje zarazem zgodnie z wolą boską; moralność i religia zléwają się w jedno.

Zasadnicza idea powszechnéj prawidłowości rozwoju świata wymaga deterministycznego poglądu na świat, bo skoro wszystko dzieje się w pewien określony sposób, jako następstwo stanu poprzedniego, zatém i wola ludzka musi podlegać określonym ściśle prawom. Niemniéj wszakże jest ona wolna: nie może bowiem być narzucona człowiekowi z zewnątrz, lecz polega w swéj istocie na postanowieniu z wewnętrznych pobudek. Wolność woli oznacza jedynie samo określanie z wewnętrznych pobudek, w przeciwieństwie do przymusu zewnętrznego, ale nie do całkiem nieprawidłowéj nieokréśloności, a tylko taka swoboda wewnętrzna jest niezbędna do umożliwienia postępowania moralnego. Samookréślanie osobowości, mocą którego podporządkowuje się ona prawu moralnemu, równa się wewnętrznéj konieczności, z jaką sama nadaje sobie prawo moralne.

Już przez samo zastosowanie do całego wszechświata, pogląd psychofizyczny sięga daleko po za granice doświadczenia i poznania naukowego, wkraczając w zakres wiary. Trzy zasady, wzajemnie uzupełniające się, mogą służyć za drogowskazy do ukształtowania wiary religijnéj: teoretyczna, praktyczna i historyczna. Pierwsza zasada żąda zgodności wiary z wynikami poznania doświadczalnego; druga opiewa, że wiara, oparta na przypuszczeniach błędnych lub niedostatecznych, prowadzić będzie do następstw szkodliwych dla rozwoju ludzkości i jednostki; im więc wiara zbawienniejsza, tém prawdziwsza; podług trzeciéj zasady, długoletnia żywotność i powszechne uznanie wiary świadczą o istnieniu podstaw wewnętrznych, które ją wytwarzają i podtrzymują. Wierzący w objawienie potrzebuje tylko dwu ostatnich zasad: praktycznéj i historycznéj. Ale właśnie w pomijaniu zasady teoretycznéj przez ortodoksyę tkwi przyczyna ruchu antyreligijnego, ogarniającego coraz większą liczbę osób. Otóż im „pogląd dzienny" przychodzi z pomocą, dając możność odzyskania wiary utraconéj. „Pogląd dzienny" czci w Bogu najwyższą Istotę, jednolitą i świadomą, która nietylko obejmuje świadomość, wiedzę, chcenie i czucie wszystkich swych stworzeń, lecz również posiada świadomość ponad to wszystko sięgającą. Bóg jest wszechwiedzącym, t. j. świadomą jednością samego prawa, rządzącego wszelkim rozwojem. Na téj wewnętrznéj konieczności jego istoty polega zarazem jego absolutna wolność, gdyż określenie przez warunki zewnętrzne może mieć miejsce wyłącznie w systemach skończonych, układ zaś nieskończony, wszechobejmujący musi się sam określać. Przeto ostateczne przeznaczenie świata jest identyczne z wolą bożą. Jako wcielenie wszelkiego bytu duchowego, Bóg obok całéj sumy rozkoszy obejmuje również wszelki ból

swych stworzeń. Skąd bowiem wzięłyby początek miłość i ufność w Bogu, gdyby sobie wszelkich cierpień oszczędzał, darząc niemi swe stworzenia? Owszem, cierpienia Boga muszą być nieskończenie większe od cierpień jakiéjkolwiek istoty skończonéj, z tą atoli różnicą, że jednocześnie nosi on w swéj świadomości odkupienie cierpień, wcielone w dążności nieskończonego wszeświata do harmonii.

Przechodzimy do ostatecznych konsekwencyi „poglądu dziennego" — do nieśmiertelności duszy i ciała. Właśnie dlatego, że życie wiąże się ściśle z procesami materyalnemi, dusza nie może zginąć wraz z śmiercią ciała; albowiem — powiada Fechner — ustanie jednych procesów materyalnych pociąga za sobą nieuchronnie inne procesy materyalne, jako skutki, którym z natury rzeczy również przysługuje strona psychiczna; a ponieważ życie duchowe człowieka stanowi tylko część świadomości ziemskiéj, przeto procesy materyalne, pojawiające się w następstwie życia cielesnego, będą nadal czynne w świadomości ziemi, jako świadomość rozszerzona. Życie człowieka oddziaływa ustawicznie na życie ducha wyższego, przedewszystkiém ziemi, a przez nią i na Boga; każdy człowiek gotuje sobie za życia swój byt przyszły. „Po śmierci człowieka, duch jego nie rozpływa się w duchu większym a wyższym, z którego powstał, lecz wstępuje raczéj w bardziéj świadomy z nim związek, a i całe jego mienie duchowe staje się dlań wyższém i jaśniejszém." „Życie zaświatowe naszych duchów ma się do doczesnego, jak życie wspomnień do życia postrzeżeń, z którego powstało." Oczy otwarte dostarczają nam niezliczonego mnóstwa postrzeżeń, które znikają po zamknięciu oczu, ale jako wspomnienia, wyobrażenia, żyją w nas nadal, żyją nawet życiem o wiele wolniejszém i bogatszém, niż poprzednio postrzeżenia. Te były krępowane określonym porządkiem zewnętrznym, wyobrażenia zaś znikają i wracają, łącząc się z sobą swobodnie. W podobny sposób powinniśmy sobie wystawiać życie zagrobowe. Będąc za życia postrzeżeniami, które odbiéra świadomość ziemi, istniejemy po śmierci jako jéj wspomnienia, wyobrażenia, nietylko nic nie tracąc z swéj żywości, lecz owszem zyskując na sile i swobodzie. Daléj, ponieważ jako wspomnienia zachowujemy w duchu ziemi swoje właściwości indywidualne, możemy przeto znowu napotykać w nim dawniejsze jego postrzeżenia, t. j. zmarłych ludzi, jako indywidualne wspomnienia ziemi. Mamy tedy i widzenie się po śmierci. A podobnie jak wspomnienie minionego bólu nie jest bolesne, natomiast wyobrażenie popełnionéj niesprawiedliwości ból nam przynosi, tak samo byt zaświatowy uwolni nas wprawdzie od ułomności i cierpień życia doczesnego, ale nie od

wspomnień naszych czynów i win. Niemniéj wszakże i w owéj nowéj działalności, w owém wolném życiu duchów znajdziemy sposobność do należytego wyrównania naszych przewinień oraz do bardziej harmonijnego ukształtowania, rozwinięcia i udoskonalenia naszego na ziemi rozpoczętego żywota. Skoro bowiem nasze życie zagrobowe ma być wyższym stanem świadomości, tedy zgodnie z powszechném prawem rozwoju, rozległemu wzajemnemu przenikaniu się duchów będzie odpowiadała wyższa samodzielność ich wolnego jądra osobowego.

Dr. A. Grosglik.



Z PAMIĘTNIKÓW

Adama Raczyńskiego,

Majora b. wojsk polskich.

Przeglądając pozostałe papiéry po ś. p. ojcu moim Adamie Raczyńskim, niegdyś majorze b. w. p., między innemi natrafiłem na jego pamiętniki. Ciekawsze z nich szczegóły podaję tu w streszczeniu, — będzie to cegiełka dorzucona do historyi dawniejszych obyczajów z przed lat kilkudziesięciu.

Edward Raczyński.

PAMIĘTNIKI.

Urodziłem się roku pańskiego 1799 z Elżbiety Czarneckiéj, starościanki daniczewskiéj, we wsi Zieleniowie, dziedzicznym majątku mego ojca, w powiecie włodzimierskim na Wołyniu.

Miejscowości mego urodzenia nie pamiętam, gdyż miałem niespełna lat dwa, kiedy po śmierci stryja mego ojca, pana Bernarda Raczyńskiego, starosty buskiego, mieszkającego w powiecie krzemienieckim we wsi Kotiuszyńcach, przenieśliśmy się tam na mieszkanie.

Wieś ta należała do składu ogromnych dóbr wiśniowieckich, własności Mniszchów, którą stryj mego ojca trzymał prawem zastawném.

Bernard Raczyński, razem z marszałkiem koronnym Michałem Mniszchem i hetmanem Klemensem Branickim z Lubomla, brał spadek po Leniewskich. Panu Bernardowi z działu przypadł kapitał 15,000 dukatów obrączkowych, które pan Mniszech pożyczył od niego, dając mu w zastaw wieś Kotiuszyńce.

W parę lat po przeniesieniu się moich rodziców z Zieleniowa do Kotiuszyniec, nastąpił układ między moim ojcem a Mniszchem, który Kotiuszyńce chciał oddać dawnéj bonie dorosłych już swych dzieci; mocą tego układu ojciec zwrócił Kotiuszyńce, dodał jeszcze 5,000 dukatów, a wziął wzamian Maniów, leżący naprzeciw, po drugiéj stronie Horynia.

Rodzice moi mieli rozległe znajomości i stosunki, a jako ludzie jeszcze młodzi, lubiąc się bawić, przyjmowali u siebie, bywając również na wszystkich zabawach w okolicy, najczęściéj jednak jeździli do Wiśniowca, zawsze zapraszani przez Mniszchów na wszystkie bale, zebrania i spacery. Nie było tygodnia, aby w Wiśniowcu obeszło się bez jakowéjś zabawy, gdyż pani marszałkowa lubiła spędzać czas wesoło.

Najświetniejsze przyjęcia i zebrania odbywały się w czasach tych, kiedy książę Dominik Radziwiłł starał się o rękę córki Mniszchów, Izabelli.

Otóż raz, pamiętam, że na prośbę pani marszałkowéj ja i moja starsza siostra pojechaliśmy z rodzicami do Wiśniowca na imieniny pani Mniszchowéj, które obchodzono z wielką paradą, spacerem, teatrem amatorskim i fajewerkami.

Na takie uroczyste obchody zbiérali się zwykle goście przybyli zdaleka, jak również cała ówczesna arystokracya wołyńska.

Pani Mniszchowa, chociaż niezmiernie dumna i wielka arystokratka, zawsze jednak bardzo uprzejmie witała moich rodziców, raz jako niby koligatów, a powtóre dlatego, że mój ojciec, wiodąc ród swój z Wielkopolski, miał tam znaczną rodzinę, którą pani Mniszchowa znała osobiście: marszałka nadwornego przy królu Stanisławie Poniatowskim, Raczyńskiego, którego córka była za Jabłonowskim, ojcem księcia Maksymiliana, i biskupa Raczyńskiego, późniejszego prymasa. A i to miało pewne znaczenie, że matka moja, bardzo ładna i wykształcona, była córką Nikodema Czarneckiego, starosty daniczewskiego, konfederata barskiego. Ten ze stu swymi strzelcami poleszukami, o których mówiono, że strzelby czarują, węże zanadry chowają, cudów w konfederacyi dokazywał; znał też osobiście marszałka Mniszcha, z którym się często naradzał w sprawach konfederackich, jako z biorącym w niéj gorący udział. Matka moja rodziła się z Drzewieckiéj, podkomorzan

ki krzemienieckiéj, któréj ojciec słynął ze swéj prawości, posiadając wielki szacunek współobywateli.

Po upadku powstania kościuszkowskiego, dziad mój, starosta Czarnecki, osiadł w poleskich swoich dobrach w powiecie kowelskim, gdzie miał miasteczko Stobychwę i wieś Werchy, w których były ogromne lasy pełne grubego zwierza, polował więc też teraz w nich ciągle, z bratem pierwszéj żony, chorążym koronnym Steckim z Międzyrzeca-Koreckiego.

Zwykle jesienią, pan chorąży zjeżdżał do Stobychwy na parę tygodni na polowanie. Wtedy, przestronny stary dwór modrzewiowy napełniał się zewsząd przybyłymi gośćmi, więc też polowano na zabój i pito na umor.

Zaszła jednak okoliczność, która go do wyjazdu zagranicę zmusiła. Zostawiwszy więc pod opieką księdza Stenkiewicza troje najmłodszych dzieci, dwie córki i syna, z rozporządzeniem, aby je odwieziono do babki, podkomorzyny Drzewieckiéj, ruszył konno samotrzeć z dwoma wiernymi kozakami Prochorem i Krawczukiem, przemykając się lasami przez Hulewiczów i Czerewachę głębiéj na Wołyń do innych majątków, które miał około Równego: Satijów, Diadkiewicze i Michałówkę, — w których zabrawszy jaki był kosztowniejszy sprzęt, wyjechał za kordon do Galicyi, gdzie miał również dwie wsie, i tam niedługo po przybyciu umarł.

Po ucieczce pana starosty, towarzysze polowań i hulanek rozpierzchli się na wszystkie strony. Daszkiewicz zaś, paroch stobychewski, zaraz w nocy po wyjeździe Czarneckiego, zabrawszy jego kilkoletniego syna Kajetana, swego ulubieńca, zemknął na Litwę, skąd był rodem, do jakiegoś bazyliańskiego klasztoru, gdzie umarł w kilka miesięcy potém, nic nie powiedziawszy patrom o pochodzeniu dziecka, które ze sobą przywiózł; po śmierci więc Daszkiewicza malec został bez najmniejszéj opieki, bazylianie, nie wiedząc skąd i kto jest, oddali go do kuchni klasztornéj na kuchcika. Dopiéro w rok późniéj, po usilnych poszukiwaniach babki Drzewieckiéj, udało się jéj, już nie pamiętam jak, odnaléść wnuka, którego oddano na wychowanie do Wiednia, do Terezyanum.

Ale wróćmy do wizyty w Wiśniowcu.

Matka moja w zajeździe poprawiwszy ubrania, pojechała z nami na „zamek”, tak bowiem i dotąd nazywają pałac wiśniowiecki.

Stoi on na wysokiéj, urwistéj od strony Horynia górze, chociaż otoczony naokoło wysokiemi, grubemi murami, jednak wcale nie wy-

gląda na warowny zamek, nie posiadając ani wałów obronnych, ani też baszt strażniczych w otaczających go murach.

W czasach wojen kozackich i napadów tatarskich, przy tamtoczesnym sposobie prowadzenia wojny, mógłby się był dość długo bronić, mając jedyny tylko dostęp od strony miasta.

Do zamku prowadzi dość stroma droga, po jéj lewéj stronie ciągną się wysokie mury niegdyś po-jezuickiego kościoła, po prawéj — niski mur, po za którym znajdują się zabudowania dla służby zamkowéj.

Wjazd na dziedziniec zamyka brama żelazna, kuta z grubych sztab, — przed bramą, na zewnątrz, stoi ogromny moździerz i dwie śmigownice na lawetach, broniące przystępu do bramy.

W murze budynku, na prawo przy bramie, wmurowana jest duża, żelazna tablica w formie tarczy, w któréj środku połączone są herby Wiśniowieckich i Mniszchów, nad niemi w górze znajduje się wypukły złocony nadpis: „*Acta non verba*".

Prędko przejeżdżając przez bramę, nie dostrzegłem liter na tarczy, mignęła mi tylko w oczach wstęga złota, więc jako dziecko, które wszystko chciałoby wiedzieć, zapytałem matki, co oznacza ta złota wstążka koło bramy?

— Nie wstążka to, lecz nadpis — odpowiedziała matka. — Trzeba żebyś się nauczył na pamięć tego, co tam napisano, a myśl tam zawartą, zachował głęboko w sercu i pamięci, aby była ci wskazówką w drodze żywota.

Przy bramie zamkowéj stało na straży konno i pieszo kilkunastu nadwornych kozaków w barwie mniszchowskiéj.

Ogromny dziedziniec zamkowy, w którego środku wznosiła się na podstawie jakaś biała figura, otoczony był dokoła wkopanemi w ziemię armatami, zdobytemi przed laty na rozmaitych nieprzyjaciołach przez dawnych panów Wiśniowca.

Zamek zbudowany jest w prawidłowy kwadrat, składający się z dwóch równych części oddzielnych, połączonych ze sobą żelaznemi kratami. Więc na lewo od wjazdu, znajduje się główny korpus zamku o jedném piętrze, z łamanym dachem i z dwoma przybudowanemi do niego po obydwu stronach pawilonami, jednakowéj wysokości ze środkowym budynkiem, również o łamanych dachach, tworząc razem z korpusem jakby olbrzymią klamrę.

Główny korpus i pawilony kryte są ciemnego koloru dachówką emaliowaną, w karpią łuskę. Teraz nie umieją już wyrabiać podobnéj dachówki, która do dziś dnia pokrywa dach zamku, przetrwawszy na nim kilkaset lat nienaruszenie.

W samym środku głównego gmachu jest podjazd wsparty na sześciu filarach, na przyczółku nad niemi znajduje się misternie wyrobiony z gipsu kolorowany herb Wiśniowieckich, otoczony armaturą ułożoną z dział i chorągwi wojennych. Na prawym pawilonie od strony parku, również na przyczółku gankowym, jest herb Mniszchów, jak pierwszy, wypukły, kolorowany.

Na prawo od wjazdu w dziedziniec, stoją oficyny parterowe, tak samo w klamrę zabudowane, połączone z głównym korpusem, z jednéj strony żelazną bramą wjazdową, wprost któréj, po drugiéj stronie dziedzińca, ciągnie się również żelazna krata, odgradzająca park od zamku. W parku przez kratę widać kapliczkę, w któréj niegdyś Maryna Mniszchówna brała ślub z Dymitrem Samozwańcem [1]).

W zamku zastaliśmy już dużo zebranych gości. Pani Mniszchowa, bardzo uprzejmie przywitawszy moją matkę, pocałowała w głowę moją siostrę i mnie téż coś powiedziała, czego już nie pamiętam, gdyż w téj chwili cała moja uwaga zwrócona była na niezliczone błyskotki, porozstawiane w rozmaitych miejscach sali, do któréj weszliśmy. — Olśniony byłem widokiem téj, jakby królewskiéj rezydencyi, nic dotąd podobnego nie widziałem jeszcze nigdy. Zdało mi się, że jestem w jednym z tych cudownych, zaczarowanych pałaców, o których w bajkach słyszałem.

Spostrzegł to moje zaciekawienie marszałek Mniszech, a ponieważ był to człowiek bardzo dobry i przystępny pomimo swéj wielkiéj powagi i znaczenia, uśmiechnął się więc do mnie bardzo łaskawie, nic nie mówiąc ujął za rękę i poprowadził do marmurowego komina, na którym znajdowało się jakieś chińskie bożyszcze, kręcące się nieustannie na jedném miejscu i kiwające głową.

Widowisko to zajęło mnie niezmiernie, zachodziłem więc z różnych stron, aby zobaczyć, co go tak porusza. Zacny zaś gospodarz, patrząc na moje zadziwienie, rad temu uśmiechał się łagodnie. Te oględziny przerwane zostały wejściem syna pana marszałka, Karola.

Pan Karol miał już wtedy około lat dwudziestu, oddany więc zostałem pod jego wyłączną opiekę,—przybył właśnie dnia tego ze szkół krzemienieckich, na imieniny swéj matki.

Karol Mniszech był ułomny, miał jedną nogę krótszą i niezwykle wielką głowę, — była to pamiątka po przebytéj angielskiéj chorobie w dzieciństwie. Otóż wziąwszy mnie pod swą wyłączną opiekę, ani na chwilę już nieodstępował przez czas naszéj wizyty.

---

[1]) Podanie to jest mylne: ślub Maryny odbył się w Krakowie, 29 listopada 1605 roku. (*Przyp. redakcyi*).

Poszliśmy pielgrzymką po komnatach z moim grzecznym przewodnikiem, który mi pokazywał wszystkie osobliwości znajdujące się w zamkowych salach, a było co widzieć. To całe ściany obciągnięte złotą lub srebrną lamą, pyszne puhary i wazy kryształowe, przykute do podstaw srebrnych lub złotych, składające się z figur lub zwierząt rzeźbionych, to znowu zbroje rycerzy w postawie stojących ludzi. — Dziś już nawet dobrze nie pamiętam wszystkiego, gdyż mnie to nie bardzo zajmowało.

Pamiętam tylko doskonale ogromny zégar stojący na dwóch sfinksach, na którego wiérzchu stało dwóch murzynów z pałkami w ręku, uderzających w stojącą między niemi tarczę, za każdym razem kiedy zégar oznaczał kwadranse lub godziny.

Te sfinksy z zégarem stały jakby pośród lasu, otoczone drzewami o zielonych liściach. Na gałązkach drzew siedziały ptaszki, kiedy zégar zaczynał bić, murzyni uderzali pałkami w tarczę, kuranty grały, a ptaszki, świegocąc i trzepocząc skrzydełkami, przelatywały z gałązki na gałązkę. Cały zégar znajdował się pod ogromnym kloszem szklanym, bardzo wysokim.

Była tam jeszcze w drugiém miejscu i klepsydra, przy któréj obracała się kula ziemska z księżycem i gwiazdami. Na wiérzchu klepsydry stała śmierć z kosą, każdą razą gdy piasek kończył się wysypywać z jednéj szklaneczki w drugą, dopókąd nie wysypał się ostatecznie, śmierć machała kosą.

Kiedyśmy tak chodzili z pokoju do pokoju z moim grzecznym przewodnikiem, przypatrując się wszystkim osobliwościom, naraz, na dziedzińcu zamkowym, rozległ się jakiś szum, pisk, hałas, strzelanie z muszkietów i klaskanie z batów.

Był to sygnał, jak mi objaśnił pan Karol, do wyjazdu na spacer przed obiadem. Zwykle o téj porze Dominik Radziwiłł odbywał go ze swoją narzeczoną.

Wyszliśmy tedy oba przed ganek pałacowy.

W téj chwili właśnie kilkanaście powozów rozmaitego kształtu wjechało na dziedziniec zamkowy, między niemi wyróżniały się dwa przepyszne ekwipaże Radziwiłła, zaprzężone jeden w sześć, drugi w pięć koni.

Sześć koni prześlicznych, anglezowanych, zaprzężonych parami w lejc, z dżokiejami na każdéj parze, w angielskich szorach, szło w karecie żółtéj, rozkładanéj. Przy drugim powozie, koczu z budą spuszczoną, było pięć koni szpakowatych, w krakowskich chomontach, z lamparciemi skórami, z lisiemi kitami przy głowach końskich i buńczukami z kolorowéj włosieni. Konie były polskiéj rasy, również ładne jak

i te, co szły w karecie, powoził krakowiak z konia, ubrany we wspaniałą czerwoną kierezyę, naszywaną złotem. Pod kierezyą miał kurtkę błękitną, na kurtce pas nabijany złotemi gwoździkami, przy pasie wisiało mnóstwo rozmaitych kółek w różnych kierunkach.

Zaprząg ten najwięcéj mnie zajął i bawił, gdyż najmniejsze poruszenie rzeźkich koni sprawiało brzęk dzwonków i kółek gęsto naszytych na uprzęży, a wywijanie batem i klaskanie taką mi radość sprawiało, że za każdym razem chwytałem mego towarzysza za rękę, okazując tém, jak mnie to zachwyca.

Kiedy już wszystkie powozy uszykowały się na dziedzińcu, wedle zwykłego porządku, wtedy za danym znowu sygnałem, mnóstwo kobiét i mężczyzn wyszło z zamku na ganek parami.

Na czele orszaku, szła pani Mniszchowa z córkami i poważniejszemi matronami, za któremi dopiéro postępowała reszta towarzystwa.

Książę Dominik kazał podjechać pod ganek żółtéj karecie, a podając rękę pani Mniszchowéj, prosił ją z niskim ukłonem, aby raczyła wsiąść do niéj.

— Kiedyż bo aspan, mości książę, zwykle po szalonemu jeździsz swemi końmi. Ja wolałabym jechać mojemi, — przecież i moje są również ładne, jak waszmościne — dodała z dumą.

Radziwiłł uśmiéchnął się tylko na to ostatnie powiedzenie i jeszcze raz pokłoniwszy się, rzekł:

— Najpokorniéj upraszam panią marszałkową, aby nie odmawiała mi téj łaski i honoru, w dniu jéj imienin.

Mniszchowa, po chwilowém wahaniu, zgodziła się na prośbę Radziwiłła, podprowadzona przez niego weszła do karety.

Oprócz niéj, siadło jeszcze pięć osób: jakieś cztery poważne matrony i jeden mężczyzna, był to książę Antoni Jabłonowski, który późniéj ożenił się z drugą córką Mniszchowéj, Pauliną.

Zaledwie kareta ruszyła z przed ganku, w téjże chwili okrążyło ją mnóstwo służby radziwiłłowskiéj na koniach, bogato przybranéj od złota i srebra.

Byli tam angielscy dżokieje, Turcy, Persowie, Murzyni, wszyscy w narodowych strojach, na oryginalnego pochodzenia koniach z ich krajów. Oprócz nich, asystowało jeszcze przy karecie kilku radziwiłłowskich dworzan-szlachty, na dzielnych bachmatach.

Cały ten pstry, ale barwny orszak, błyszczący w słońcu złotemi i tęczowemi kolorami, wraz w karetę posuwał się bardzo poważnie.

Do kocza zaprzężonego w pięć koni po krakowsku wsiadła narzeczona Radziwiłła, panna Izabella Mniszchówna, dwie panny Stelma-

szewskie, które się razem z Mniszchównami wychowywały za granicą, i jedna ze starszych dam.

Kiedy te wszystkie panie wsiadły, wtedy Radziwiłł kazał krakusowi zsiąść z konia i sam zajął jego miejsce, gdyż książę Dominik bardzo lubił sam powozić.

Jak tylko Radziwiłł wskoczył na siodło, zaraz podano luźnego konia furmanowi, w téjże saméj chwili zjawiło się sześciu krakusów na szpakowatych koniach, w czerwonych kierezyach naszywanych złotem, w błękitnych kurtkach i czerwonych magierkach, ozdobionych pawiemi piórkami, otoczywszy dokoła powóz.

Radziwiłł zaś poprawiwszy się na koniu i zebrawszy lejce, pomknął z miejsca jak wicher.

Wyjeżdżając z dziedzińca zamkowego, droga dość stromo schodzi na dół do miasta, powóz więc toczył się z szalonym impetem, otóż panny Stelmaszewskie, przestraszone taką jazdą, zaczęły krzyczéć ze strachu i prosić księcia, aby tak nie pędził, lecz Radziwiłł, nie zwracając uwagi na te krzyki i prośby, pomykał daléj jak strzała, a wpadłszy do miasta z takim rozmachem, skręcił w boczną ulicę i zaczął na niéj wywijać powozem ósemki między porozstawianemi na ziemi garnkami i stolikami ze szkłem przez żydów przekupniów.

Dnia tego właśnie był jarmark na Nowym Wiśniowcu, wszystkie więc próżne miejsca na ulicach przeważnie zastawione były szkłem i garnkami przez przybyłych z tym towarem handlarzy.

Chociaż droga, dla przejazdu powozów była uprzątnięta przez służbę mniszchowską jeszcze przed wyruszeniem całego orszaku z zamku, lecz Radziwiłł wyskoczywszy naprzód przed drugimi, umyślnie pomieszał szyki, a szyjąc się w najciaśniejsze uliczki, wykręcał ósemki między kramikami, tłukł garnki i wywracał stoliki ze szkłem.

Pomimo więc usiłowań służby zamkowéj utrzymania drogi w porządku, zaczęła się ona zapychać chłopskiemi wozami, umykającemi z bocznych uliczek przed rozpędzonym powozem Radziwiłła.

Zrobił się więc straszny zamęt, prawdziwe *larum tartarum* Żydzi krzyczeli, chłopi się śmieli, a Radziwiłł tymczasem nie patrząc na nic, pędził daléj jak szalony najciaśniejszemi uliczkami, posyłając naprzód swoich krakusów, aby mu drogę torowali

Nakoniec nakręciwszy się po mieście w różnych kierunkach, natłukłszy niezliczoną moc garnków i szkła, wyleciał jak z procy z miasta. A było mu pilno, gdyż na ten dzień właśnie przygotował niespodziankę dla gospodarzy i gości w Butyniu, jednym z folwarków wiśniowieckich, dokąd jechano w téj chwili na spacer, a gdzie był ładny park, ogród i domek letni z przepychem wielkim urządzony.

Tam to właśnie dawał on śniadanie na cześć solenizantki, pani marszałkowéj; przy śniadaniu miała być gospodynią jego narzeczona, Izabella.

Ponieważ nikt z obecnych gości w Wiśniowcu nie był wtajemniczony w te przygotowania, więc aby pierwszym być na miejscu, Radziwiłł chciał wyprzedzić powozy, które przed nim wyruszyły z zamku, dla tego i kręcił rozmaitemi uliczkami, aby wyminąwszy wszystkich, znaleść się na przodzie. Wydostawszy się więc z miasta, pędził daléj co koń wyskoczy, mijając po drodze tych, co już przez Wiśniowiec przejechali. Kiedy zrównał się z karetą, w któréj jechała Mniszchowa, asystencya przy niéj jadąca, a składająca się, jak wyżéj powiedziałem, z Anglików, Turków, Persów i Murzynów, tak znienacka i przeraźliwie krzyknęła, każda w swoim języku, jakiś wiwat dla Radziwiłła, że jadący w karecie struchleli ze strachu, usłyszawszy ten dziki krzyk, a pani Mniszchowa tak się przestraszyła, że o mało nie rozchorowała się na serce.

Konie radziwiłłowskie, idące w karecie, widocznie przyzwyczajone do podobnych wiwatów, tylko się żachnęły, furmani je momentalnie wstrzymali, lecz drugie zaprzęgi tak pierzchnęły, że mało brakowało do wielkiego nieszczęścia.

Skończyło się na lekkim wywrocie jednego z powozów i nieszkodliwém potłuczeniu jadących w nim, drugi powóz został tylko złamany, od którego konie oderwawszy się, w świat poleciały. Musiano więc będące w nim osoby porozmieszczać w pozostałych.

Radziwiłł zaś tylko się mignął i jak szalony popędził do Butyna, gdzie przygotował swą niespodziankę.

W tym celu, na parę tygodni przed tém, umyśliwszy wyprawić śniadanie w Butyniu, posłał do Nieświeża, sprowadziwszy stamtąd swego kuchmistrza wraz ze służbą, całym kredensem sreber, przyborów i zapasów potrzebnych do zamierzonego przyjęcia, aby z miasta Wiśniowca nic nie potrzebowano, dla utrzymania w tajemnicy przygotowującéj się niespodzianki.

Jakoż kilkanaście wozów ciężko ładownych, objechawszy dokoła Wiśniowiec, przybyło do Butyna w największéj tajemnicy. Wszystko tak było dobrze obmyślane i wykonane, że się na dworze wiśniowieckim nikt niczego nie domyślił.

Jeśli zaś w czasie czynionych przygotowań w Butyniu wybierano się tam z Wiśniowca na spacer, to Radziwiłł potrafił zawsze zmienić zamiar i prowadził całe towarzystwo w przeciwną stronę.

Najczęściéj jeżdżono do wsi Łozy, gdzie mieszkał jeneralny nadleśny. Chociaż miejsce to nie zalecało się wcale pięknością położenia,

gdyż było w lesie, lecz za to był tam duży ogród fruktowy i kwiatowy, oprócz tego rozmaite oranżerye, trebhauzy, ananasarnie i wiele innych cieplarni z nagromadzonemi w nich wielu osobliwemi drzewami, egzotycznemi roślinami i różnemi rzadkościami botanicznemi.

Jeżdżono więc tam zachwycać się pięknemi i rzadkiemi kwiatami, których była zawsze wielka obfitość, gdyż ogrodnik Lercan, mieszkający na miejscu, jak najstaranniéj je pielęgnował, aby miał czém pochwalić się przed panią Mniszchową, któréj za każdą jéj bytnością w Łozach ofiarowywał bukiet, złożony przez siebie z najpiękniejszych okazów.

Sekret przygotowującego się śniadania w Butyniu tak był dobrze strzeżony, że nikt z jadących w téj chwili niczego nie domyślał się nawet. Wszyscy byli w codziennném ubraniu, jak zwykle na spacer.

Jak tylko kareta pani Mniszchowéj zatrzymała się przed letnim domkiem, Radziwiłł podbiegł do niéj w téj chwili, a otworzywszy sam drzwiczki, podał jéj rękę i wprowadził do środka, gdzie na nią czekała już córka z pannami Stelmaszewskiemi.

Marszałkowa, która po doznanym przestrachu w drodze nie odzyskała jeszcze swego zwykłego wesołego humoru, zaraz od progu zaczęła strofować córkę, że pozwoliła na taką szaloną jazdę, która ją omal o śmierć nie przyprawiła.

Kiedy już przybył ostatni powóz, a małe saloniki letniego domku ledwie pomieścić mogły gości, Radziwiłł zaproponował spacer do parku.

Mniszchowa, któréj Radziwiłł podał rękę, wyszła jeszcze w złym humorze. Kiedy przeszli ogród, w parku dała się słyszéć muzyka, wszyscy zwrócili się w tę stronę; uszedłszy nieco w kierunku słyszanéj muzyki, goście z miłém zdziwieniem ujrzeli porozbijane bardzo bogate i obszerne namioty tureckie, w najpiękniejszém miejscu nad stokiem pagórka, z którego wierzchołka rozciągał się rozległy widok na całą okolicę i duży staw na Horyniu. Przy namiotach roiło się od służby radziwiłłowskiéj w paradnych strojach, kapiących od złota i srebra, oczekującéj na spacerujących.

Mniszchowa, która lubiła wszelkie niespodzianki, szczególniéj parady, odrazu rozchmurzyła się, a zwracając się do prowadzącego ją Radziwiłła, spytała z miłym uśmiechem:

— Cóż to ma znaczyć, mości książę?

— Nie śmiąc jeszcze prosić pani marszałkowéj na dzień dzisiejszy, tak dla mnie uroczysty, do Nieświeża, — odpowiedział Radziwiłł z głębokim ukłonem — gdzie wspanialéj i solenniéj obchodziłbym imie-

niny pani marszałkowéj, proszę przyjąć łaskawie śniadanie, przygotowane tu, do którego na gospodynię uprosiłem pannę Izabellę.

Mniszchowa uśmiechnęła się z zadowoleniem, a Radziwiłł poprowadził ją do nieopodal stojącego obszernego i bogatego namiotu tureckiego, który był wybity wewnątrz najkosztowniejszemi makatami i perskiemi dywanami. W namiocie stał ogromny stół, zastawiony z wielkim przepychem, na którego środku wznosiła się wysoka cukrowa piramida, bardzo misternie wyrobiona. Nad piramidą ulatywały dwie skrzydlate figurki, trzymające wieniec z liści laurowych z cyfrą solenizantki. Oba końce stołu również były przystrojone. Na jednym z nich stała starożytna świątynia, cała wyrobiona z cukru. W środku świątyni wieszczka, siedząca przy ofiarniku, prorokowała stojącéj przed nią młodéj parze. Na przeciwległym końcu stołu wznosił się kiosk chiński, w którym nawpół leżący mandaryn na złocistém wezgłowiu odbierał z rąk niewolnicy podawaną mu fajkę na długim cybuchu.

Resztę wolnego miejsca zastawiono najwykwintniejszemi konfiturami, fruktami, ciastami, wędlinami litewskiemi, misternie pokrajanemi i efektownie ułożonemi, jak również butelkami z rozmaitemi najkosztowniejszemi gatunkami win i likierów.

Na zaproszenie księcia Dominika, goście zasiedli do stołu, podano kilka gorących dań, któremi wesoło i ochotnie się raczono po odbytéj przejażdżce i uniknieniu niebezpieczeństwa od rozhukanych koni, przypatrując się nieoszacowanéj wartości zastawie stołu, złotéj i srebrnéj. Kryształy i porcelana chińska, również niezmiernéj ceny, nie zwracały prawie na siebie uwagi. Przez cały ciąg śniadania grała muzyka radziwiłłowska, przybyła również z Nieświeża. Pod koniec uczty Radziwiłł wniósł toast za zdrowie solenizantki. Starzy i młodzi ruszyli się do kielichów. Po spełnionym toaście, panie wstały od stołu i wyszły do parku, niektórzy ze starszych mężczyzn towarzyszyli damom, reszta pozostałych wzięła się do opróżniania butelek. Byłoby to przeciągnęło się długo, gdyż się już z czupryn zaczęło kurzyć, gdyby nie marszałek Mniszech, który stanąwszy między pijącymi oznajmił, że już dawno minęła trzecia popołudniowa godzina, a przyjęcie również sute czeka ich w Wiśniowcu.

Ruszono się więc do odjazdu w takim jak i uprzednio porządku, tym razem jednak odbyło się wszystko bez przypadku, gdyż furmani, pamiętając o poprzedniéj jeździe, lepiéj pilnowali koni, które się już nie spłoszyły, pomimo że przy przejeździe Radziwiłła, który znowu wszystkich wyprzedzał, powtórzył się krzykliwy wiwat przez otoczenie asystujące przy karecie Mniszchowéj.

Szczegóły przyjęcia w Butyniu udzieliła mi matka, gdyż ja z moją siostrą zostawaliśmy w Wiśniowcu pod opieką jakiéjś niemłodéj matrony, bawiącéj stale przy pani Mniszchowéj. Ta przyniosła nam tyle i tak rozmaitych zabawek, że się nam wcale nie nudziło w oczekiwaniu na powrót rodziców.

Odeszliśmy je, dopiero usłyszawszy z wielkim szumem zajeżdżające powozy na dziedziniec zamkowy. Pobiegliśmy więc do okna, przez które z niewymowną radością przypatrywałem się, jak młodzież na dzielnych koniach wyprawiała rozmaite gonitwy na dziedzińcu zamkowym; to skacząc przez baryery, umyślnie ustawione przez masztalerzy, to wyścigając się wzajemnie, lub w biegu osadzając na miejscu konie, kilka razy obracając niemi w różne strony.

Wszystkie zaś panie, po powrocie ze spaceru, udały się do swych apartamentów, przemieniać spacerowe toalety na balowe; amatorowie zaś, którzy mieli odegrać w teatrze zamkowym jakiś wodewil francuski, poszli przygotowywać się do wystąpienia i odbywać próby.

Około godziny siódméj wieczorem udaliśmy się do teatru. Naturalnie, że przedstawiana sztuka wcale mnie nie zajmowała, jedynie tylko dekoracye i oświetlenie różnokolorowemi kinkietami. Dekoracye były bardzo ładne i kosztowne. Z grających na scenie poznałem tylko naszą sąsiadkę, pannę Paulinę Żółtowską.

Bardzo ładna i młodziutka wtedy panienka grała rolę Kupidyna schodzącego z obłoków. Schodzenie odbywało się bardzo naturalnie, przy zupełném złudzeniu, nie było widać żadnych przyrządów, zdawało się, że rzeczywiście spływa z obłoków za pomocą poruszających się skrzydeł. Skoro więc stanęła na ziemi, nie wytrzymałem i krzyknąłem radośnie: Paulinka! Chciałem koniecznie biedz do niéj na scenę, aby się od niéj dowiedziéć, jak się dostała do nieba i co robiła, aby jéj wyrosły takie duże i ładne skrzydła.

Z trudnością mi wytłómaczono, że biedz do niéj na scenę nie można. Późniéj, ile razy ją widziałem czy u nas, czy u kogo z sąsiadów, koniecznie chciałem się od niéj dowiedziéć, jak się dostała do nieba i co tam widziała.

Po skończoném przedstawieniu, był wspaniały obiad, nie pamiętam już o wielu daniach. Podawane potrawy wcale mnie nie zajmowały, lecz tylko sala, w któréj jedliśmy obiad.

Sala stołowa i zastawa stołu tak olśniły mój umysł chłopięcy i tak się głęboko w méj wyobraźni wyryły, że dziś po latach tak wielu, kiedy sięgnę pamięcią tych czasów, jeszcze to wszystko żywo się odtwarza w mych oczach, jakby tylko co widziane.

Najpierw ta ogromna sala o ścianach lustrzanych od stropu aż do dołu, w których łamały się światła trzech ogromnych, wiszących u sufitu w równych odstępach świeczników, ozdobionych tysiącem szlifowanych wieszadeł szklanych, rzucających na całą salę tęczowe odblaski światła. Największy ze świeczników, środkowy, o kilkuset świécach, zwieszał się dość nizko nad ogromnym stołem, ustawionym w podkowę, pośrodku któréj siedziała sama pani Mniszchowa. Światło setek gorejących świéc w świecznikach zalewało tęczowém migotliwém światłem siedzących za stołem gości, jak również całą zastawę stołu, złotą, srebrną i kryształową, łamiąc się na niéj w tysiące jaskrawych barw i promieni. Na samym środku stołu, wprost saméj marszałkowéj, na ogromnéj tafli lustrzanéj, otoczonéj złotą galeryjką misternéj roboty, zakończonéj z czterech stron dość dużemi figurami stojących rycerzy w pełnéj zbroi, stała piramida cukrowa z cyfrą solenizantki, ofiarowana jéj w Butyniu przez Radziwiłła. Z dwóch stron lustrzanéj tafli, na któréj pomieszczała się piramida, stały w ogromnych nieoszacowanéj wartości wazach japońskich bukiety z naturalnych kwiatów, przywiezione z Łóz przez Lercana. Na bukietach jaśniejszemi kwiatami ułożona była cyfra solenizantki. Daléj za bukietami na lewo i na prawo stały dwie srebrne fontanny, także na lustrzanych podkładach, wyrzucające w górę wodę różaną, napełniającą całą salę swym zapachem.

Pamiętam doskonale kształt tych dwóch fontann. Były to jakby sześciokątne studzienne cembrowiny, stojące na czterech małych centaurach, zastępujących nóżki; ze środka tych cembrowin wznosił się słupek z dwoma misami, przytwierdzonemi na nim jedna nad drugą. Pierwsza od dołu była większa, druga w górze mniejsza, pośrodku któréj był amorek, siedzący na łabędziu i podnoszący dziób jego do góry, z dzioba tryskała w górę woda, formując kaskadę. Na brzegu cembrowin wspierały się na ogonach cztery syreny, lejąc przez trąby trzymane w ustach wodę do pierwszéj misy. Woda, kaskadą z dzioba łabędziego, padała na mniejszą misę, z téj na większą, z któréj napowrót wylewała się przez brzegi do cembrowin.

Na obydwóch końcach stołu stały z jednéj strony starożytna świątynia, a na drugim kiosk chiński, te same co były w Butyniu. Ponieważ zrobione były z krystalizowanego cukru, każda więc krupka cukrowa świeciła tęczowemi blaskami brylantu, od czasu do czasu ciskając iskry, to też stały one jakby w ogniu.

Między bukietami kwiatów gęsto ustawionemi, stały wysokie świeczniki o kilkunastu ramionach, które unosili w górę stojący w rozmaitéj postawie rycerze i boginie. Prócz tego, były jeszcze ogromne misy kryształowe, pełne rozmaitych owoców. Misy te spoczywały na

głowach różnych grup mitologicznych, albo zwierząt ulanych ze srebra lub bronzu, a rznięte przez znakomitych włoskich rzeźbiarzy. Przed każdém nakryciem stały rozmaitych rozmiarów i kształtów kielichy, między któremi najpiękniejsze były puhary z włoskiego kryształu szlifowanego, osadzone na rozmaitego rodzaju figurkach srebrnych rzeźbionych, przedstawiających bogów Olimpu. Naprzeciw zagięcia w półokrąg podkowy, w środku któréj siedziała pani marszałkowa, wysoko na galeryi umieszczona była muzyka wiśniowiecka, grająca rozmaite sztuki przez ciąg obiadu. W sali roiło się od służby mniszchowskiéj i radziwiłłowskiéj, która się tak cicho przesuwała, jakby jakie cienie na polach Elizejskich.

Jak długo trwał obiad, nie pamiętam, gdyż zapatrzony byłem w zastawę stołu, straciłem rachunek czasu. A mogłem się doskonale temu wszystkiemu przypatrzyć, siedząc obok mojéj matki, która była czwartą z kolei po prawéj stronie pani Mniszchowéj.

Po obiedzie, spalono fajerwerk nad Horyniem: były snopy iskier lecące w powietrze, bukiety jakby z kwiatów, nad któremi unosiła się cyfra solenizantki, młynki ogniste, świéce rzymskie, nakoniec ognie bengalskie. Wszystko to przedstawiało się bardzo wspaniale z okien zamkowych.

Nakoniec zaczęły się tańce, ale tych już zupełnie nie pamiętam, śpiącego zawieziono mnie do kwatery. Na drugi dzień, po przebudzeniu się, niezmiernie żałowałem upłynionego dnia, myśląc ciągle tylko o aniołku schodzącym z nieba, łamiąc sobie nad tém głowę, jak się on tam dostał i co tam mógł robić?

Rodzice moi zostali dnia tego jeszcze na śniadaniu w zamku, ja zaś z moją siostrą wróciliśmy do domu pod opieką naszéj panny służebnéj.

O księciu Dominiku Radziwille słyszałem późniéj, że z żoną swą Mniszchówną żył tylko przez czas swego pobytu w Wiśniowcu i chociaż ją wprowadził do Nieświeża z wielką paradą, od razu jednak przeznaczył jéj zupełnie odrębną część zamku, sam zaś zamieszkał z dawną swą faworytą Morawską, z którą się późniéj ożenił, rozwiódłszy się z Mniszchówną, lecz i ta prędko po rozwodzie wyszła za swego kamerdynera, Duval'a, któremu późniéj Cesarz Aleksander I nadał tytuł hrabiowski, nazwawszy go hrabią Demblińskim, od majątku Mniszchów, Demblina.

Z Karolem Mniszchem często się późniéj widywałem w Krzemieńcu dlatego, że kiedy skończyłem lat ośm, ojciec mój umówił niejakiego Kuchcickiego, ucznia 6-éj klasy szkół krzemienieckich, aby przez czas wakacyjny przygotował mnie do pierwszéj klasy. Siostrę zaś

moją starszą odwieziono na pensyę sławnéj pani Magnusowéj także w Krzemieńcu.

Były to właśnie czasy, kiedy Krzemieniec zaczynał już świetnieć swemi zakładami naukowemi, gdyż starania wiekopomnego Tadeusza Czackiego, starosty nowogrodzkiego, usilnie wytężone były ku temu, aby szkoły krzemienieckie podnieść jak tylko można najwyżéj, czego też dokazał ten wielki mąż; nieszczęściem, żył za krótko.

Czacki pierwszy wybudował sobie dom w Krzemieńcu, gdzie mieszkał z familią, a za jego przykładem pierwsi poszli rodzeni wujowie mojéj matki, pan szef Józef Drzewiecki i brat jego Ksawery, szambelan. Późniéj bardzo wielu możnych obywateli z Wołynia, Ukrainy i Podola zamieszkało w Krzemieńcu z rodzinami dla kształcenia swych dzieci.

Ponieważ dążeniem Czackiego było, aby młodzież, kończąca w Krzemieńcu nauki, nabierała jeszcze przytém wprawy w życiu towarzyskiém, sposobiąc się na użytecznych i godnych obywateli kraju; bywały w tym celu bale u Czackiego i innych obywateli, na które uczęszczała ucząca się młodzież, lecz tylko ci, którzy mieli świadectwo od profesorów, że są dobrymi i moralnymi uczniami; to też trafiało się, że młodzieniec, który nie uzyskał świadectwa pilnego ucznia, nie mógł znajdować się na balu nawet u swego ojca.

Stąd między uczniami było ciągłe współubieganie o odznaczenie się w naukach i postępowaniu przykładném, gdyż profesorowie szkół krzemienieckich, jako ludzie prawdziwie uczeni i sumienni, poważnie zapatrywali się na naukę w połączeniu ze szkołą życia i na to, jakie zasady młodzieniec ma wynieść ze szkolnéj ławy. Nic też nikomu nie folgowali ani dla imienia, ni też stosunków.

Czacki starał się dla swych ulubionych szkół o profesorów znanych ze swéj uczoności i umiejętności wykładów, którzy przytém byli prawdziwymi przyjaciołmi uczącéj się młodzieży, wykładając nauki z prawdziwém zamiłowaniem i oddaniem się. Więc każdy z uczących się widział w profesorze swego prawdziwego opiekuna i przyjaciela, karcącego surowo wszelkie przewinienia, lecz sprawiedliwie a po ojcowsku. Ten zaś, który zawinił i stanął przed poważnym areopagiem sądzącego profesora, przyjaciela, tak logicznie, szlachetnie i jasno miał sobie wykazany swój błąd, że nie mógł się oburzać na wymierzoną karę, którą przyznawał za słuszną i zasłużoną, starając się nadal o poprawę. Więc też nic dziwnego, że każdy krzemieńczanin, po skończeniu szkół wyszedłszy w świat między ludzi, odznaczał się przed innymi wykształceniem, umiejętnością obchodzenia się z ludźmi, prawością i sumiennem wypełnianiem obowiązków obywatela kraju. A że jest prawdą

to, co tu podaję, to dowiódł tego niemały poczet ludzi, którzy kształcili się w Krzemieńcu, zasłużywszy się późniéj chwalebnie piśmiennictwu krajowemu i współobywatelom.

Czacki—jeden, co do gruntu zbadał prawdy pedagogiczne, zastosowawszy je w zupełności w szkołach krzemienieckich, wytwarzając stosunek przyjacielski między uczącymi a uczniami, oparty na podstawie szacunku należnego uczącemu dla jego nauki, zalet moralnych i osobistych. Uczeń więc widział w wykładającym przyjaciela i niby drugiego ojca. Bardzo często jedynie dlatego, aby nie robić przykrości zacnemu profesorowi, którego szczerze kochał i poważał, starał się ile mu sił starczyło uczyć się dobrze i prowadzić moralnie. Największém więc szczęściem było dla ucznia, jeśli profesor zwracał się ku niemu z jakiém słowem w czasie lekcyi, lub zdybawszy się w innem miejscu.

Po upadku szkół krzemienieckich, we wszystkich naukowych krajowych zakładach przemieniono sposób obchodzenia się z uczącą się młodzieżą. Wytworzył się więc najszkodliwszy stosunek między uczącym i uczniem—stosunek oficera do żołnierza w szeregu Niestety, jeszcze to i dotąd praktykuje się, a ci, którychby to najwięcéj obchodzić miało, nie zwracają uwagi na zgubne wynikające stąd skutki.

W tym samym czasie, kiedy ja wstąpiłem do szkół krzemienieckich, Karol Mniszech kończył je, pamiętał jednak zawsze o znajomości, jaką zrobił ze mną w Wiśniowcu; chociaż tak znacznie starszy wiekiem odemnie, jednak dawał mi dużo dowodów swéj względności, kupował mi zawsze słodycze u roznoszących ciasta i cukry, których pełno zawsze było na dziedzińcu szkolnym. Oprócz tego, każdodziennie chciał, abym był u niego.

Karol Mniszech stał wtedy na kwaterze u Czecha, który, będąc dyrektorem szkół, mieszkał w murach liceum; chodząc więc do pana Karola, zawsze przechodziłem przez wszystkie dziedzińce licealne. Najczęściéj jednak Mniszech przysyłał po mnie swego kamerdynera, który mnie przynosił do niego na ręku, bo chociaż miałem już skończonych lat ośm, byłem jednak małego wzrostu.

Pamiętam raz, kamerdyner Mniszcha niósł mnie właśnie do swego pana, gdy nas spotkał Czacki na dziedzińcu szkolnym, zwanym „galeryą”, na którym uczniowie w czasie rekreacyi schodzili się grać w piłkę, a był to dzień rekreacyjny.

Czacki, znając kamerdynera Mniszcha, zapytał go:

— A kogo to niesiesz?

— Dziecko zastawcy pana marszałka Mniszcha — odpowiedział.

To się mnie nie podobało, że nazwał mnie „dzieckiem” — więc rzekłem:

— Ja wcale nie jestem dzieckiem, bo się już uczę gramatyki.

— A czemużeś pozwolił nieść się, kiedy już gramatyki się uczysz? — zapytał Czacki.

— Bo nie mogłem oprzéć się takiemu dużemu człowiekowi — odpowiedziałem.

Kiedy wracałem od Mniszcha, jużem się nieść nie pozwolił, przechodząc zaś przez „galeryę", zastałem tam jeszcze Czackiego, który z dziećmi grał w piłkę, zatrzymałem się koło nich. Czacki mnie spostrzegł i zapytał:

— A ty umiész grać w piłkę?

— Umiem — odpowiedziałem — ale tylko w kaszę — i dostałem piłkę z kieszeni.

Czacki wziął odemnie piłkę i zaczął grać ze mną i z tymi, których już zastałem.

I odtąd była moja znajomość z wielkim mężem, który mnie zawsze poznawał spotkawszy i witał uprzejmie.

W rok późniéj, dając mi pochwalny list z pierwszéj klasy do drugiéj, powiedział:

— Bardzo mało urosłeś ciałem, ale dużo rozumem, — to lepiéj.

Jeszcze lat kilka byłem w Krzemieńcu, doszedłem już do klasy czwartéj, kiedy w ciągu mojéj bytności w szkołach zaszły wielkie zmiany w położeniu majątkowém mego ojca.

Rodzice moi na zastawie żyli tak wystawnie, jakby na dziedzicznéj fortunie i to stokroć większéj niźli była w rzeczywistości. Przytém jeszcze ojciec mój wskutek procesu ze swoim szwagrem, Bejnerem, musiał sprzedać dziedziczną wieś swą Zieleniów w powiecie włodzimierskim, a życie nad możność uszczupliło kapitał zastawny, z którego ojciec mój często czerpał.

W tym samym czasie i Mniszchów fortuna zaczęła chylić się do upadku, z przyczyny niezmiernie wystawnego życia za granicą pani marszałkowéj, która po wydaniu drugiéj córki za Antoniego Jabłonowskiego wyjechała do Paryża i nie myślała już wcale wracać do kraju.

Jakie więc były dochody ze wszystkich dóbr, uszczuplonych posagami dwóch córek, szły za granicę na to wystawne życie. Nie było więc z czego opłacać procentów od sum zastawnych, opartych na majątkach, a dochód z zastawnéj wioski nie wystarczał na życie.

Miał jeszcze ojciec mój znaczną, bo milionową fortunę, ale ta była w procesach, około których niedbale się chodziło. Więc najpierw był proces na Litwie z Ordami, naszymi krewnymi, o pozostałą majętność, wieś Nowoszyce, w powiecie kobryńskim, po księciu biskupie Ge-

drojciu. Fortuna ta powinna była iść na dwie schedy, Raczyńskich i Ordów, gdyż dwie siostry rodzone Raczyńskie były: jedna za Ordą, druga za Gedrojciem, ojcem biskupa, majątek zaś, który po nim pozostał, było to wiano Raczyńskiéj. Lecz Ordowie, osiedli pod bokiem Gedrojcia, korzystając z tego, że ojciec mój mieszkał daleko na Wołyniu, po śmierci biskupa zagarnęli majątek samowolnie. Był jeszcze drugi proces z księciem Maksymilianem Jabłonowskim o 40,000 dukatów, również o posag Raczyńskiéj.

Mecenasi i palestra brali honorarya, sprawy jednak stały w jednéj mierze.

Lecz kiedy już bardzo silnie zaplątały się interesa majątkowe mego ojca, wtedy sam on jął chodzić około procesu z Jabłonowskim i dwa razy przeprowadził go przez wszystkie instancye, wygrawszy najzupełniéj we wszystkich. Przysądzono mu od księcia Jabłonowskiego całą sumę wraz z prowizyą i kosztami prawnemi, co wszystko razem wynosiło około 1,500,000 rubli.

Książę Jabłonowski, znalazłszy się w takich terminach, a był już drugi raz żonaty z kobiétą wielkiéj piękności, pojechał z nią do Petersburga i tam ostatecznie jeszcze podał sprawę na tak zwane „*Obszczeje Sobranje*”. Przytém jeszcze uzyskał pozwolenie prezentowania swéj żony u Dworu. Jabłonowska niezwykłą swą urodą sprawiła wielkie wrażenie w czasie prezentacyi. Stało się więc to, co mówi francuskie przysłowie: „*chercher la femme*”. Księżna wyrobiła sobie prywatne posłuchanie u cesarza Aleksandra I i kiedy proces przedstawiła na ostateczną jego decyzyę, kazał go zniszczyć, z przyczyny prawie stuletniego jego trwania!

Ale *male parta* do czarta. Książę Jabłonowski został senatorem, a zasmakowawszy w rozkoszach dworskich, nie wracał już do majątku, ale osiadł w Petersburgu i zaczął szastać pieniędzmi na lewo i na prawo, tak hojnie, że synowi, którego miał z drugiego miałżeństwa, zostawił fortunę zupełnie zrujnowaną i odłużoną. Księżna zaś owdowiawszy wyszła drugi raz zamąż za Kochanowskiego. Syn zaś księcia Maksymiliana, chcąc tak żyć wystawnie jak ojciec, nie zważając na to, że mu się ledwo dziesiąta część dawniejszéj fortuny ojcowskiéj została, zaczął hulać jak jego ojciec, a kiedy na wystawne życie dochody z pozostałych majątków nie wystarczały, zaczął szachrować na wszystkie strony, okpiwając tak współobywateli, jak i żydów. Skończyło się tém, że siedząc w swoim pałacu w Krzywinie, nie miał czego jeść. Kredytorowie zaś, a szczególniéj żydzi, nie dawali mu spokoju, rozsiadając się zuchwale na wspaniałych meblach pałacowych, obchodząc się przytém z nim bardzo po grubjańsku... To téż książę pan zemknął

do matki żony, osiadłszy na żoninym fartuszku — jak to się mówi trywialnie.

Po przegranym tak niesprawiedliwie procesie z Jabłonowskimi, rodzice moi zostali ostatecznie zrujnowani. Ojciec mój więc, obliczywszy się z kredytorami, przekazał długi swe na kapitał ulokowany u Mniszchów, z resztkami zaś przeniósł się do powiatu ostrogskiego, gdzie wziął dzierżawę. Lecz nie starczyło już na utrzymanie ani mnie, ani mojego młodszego brata, Ludwika, w Krzemieńcu, przeto umieszczono nas na dalsze nauki w Międyrzecu-Koreckim u Pijarów. Szkoły pijarskie słynęły również dobrą metodą uczenia, jak i starannością patrów w nauczaniu,

Wojna 1812 roku doprowadziła moich rodziców do zupełnéj utraty majątku. Pozostał jeszcze był znaczny posag mojéj matki, nie wypłacony jéj dotąd, lecz trzeba go było windykować, co było połączone z niezmierną trudnością.

Po ojcu matki mojéj, staroście Czarneckim, została ogromna fortuna. Gdyż oprócz dwóch dużych majątków w powiecie kowelskim, miasteczka Stobychwy i wsi Werchów, były jeszcze głębiéj na Wołyniu w powiecie rówieńskim wsie: Satijów, Diadkiewicze i Michałówka, jak równie dwie duże wsie za kordonem w Galicyi. Majątek zaś dotąd nie był podzielonym między dzieci pana starosty.

Tymczasem, brat mojéj matki, Kajetan Czarnecki, w roku 1812 sztyftował swoim kosztem szwadron kawaleryi, z którym jako oficer przyłączył się do 6-go pułku ułanów, który formował hrabia Marcin Amor Tarnowski. Koszt poniesiony przez mego wuja na sztyftowanie szwadronu ułanów znacznie nadwerężył jego fortunę.

Po rejteradzie Napoleona z Moskwy, zaczęto konfiskować majątki tych wszystkich, którzy mu pomagali. Trzeba więc było zasłonić majątek mego wuja. Podjął się tego jego brat stryjeczny, Ludwik Czarnecki. Starania te pociągnęły ogromne koszta za sobą. Po otrzymanéj ogólnéj amnestyi, oddano majątek Kajetanowi Czarneckiemu, ale znacznie uszczuplony, raz formowaniem szwadronu, powtóre poniesionemi rozchodami na osłonięcie majątku od konfiskaty.

Nakoniec po uspokojeniu się w kraju, nastąpił dział między bratem i siostrami, szczegóły którego opuszczam, gdyż wspomnienie ich jest mi bardzo przykre z przyczyny wielkich niesprawiedliwości, jakie miały miejsce przy dziale. Ojciec mój był bardzo łagodnego charakteru, każda więc najmniejsza sprzeczka kosztowała go dużo zdrowia, korzystano więc z tego, dzielili się tedy szwagrowie, jak im było wygodniéj, bez względu na sprawiedliwość i niezadowolenie moich rodziców. Przeznaczono matce mojéj, jako posag, część wsi Szybennéj w powie-

cie starokonstantynowskim na Wołyniu. Część ta dostała się memu wujowi po generałowéj Prejsowej, Czarneckiej z domu.

Jak w owych czasach liczono, w części téj było 30 dusz, bez domu mieszkalnego i zabudowań gospodarskich. Nie było ich z czego postawić, gdyż wieś Szybenna leży w stepowéj, bezleśnéj okolicy ukraińskiéj. Szybenna, będąc uprzednio własnością generałowéj Prejsowéj, stanowiła jednolitą całość, lecz po jéj śmierci poszła w exdywizyę między spadkobierców, nic więc dziwnego, że część, która się dostała mojéj matce, będąc oderwaną od ogólnéj całości, nie mogła mieć zabudowań folwarcznych, co oczywiście umniejszało jéj wartość; lecz dzielący się szwagrowie majątkiem po ojcu méj matki nie chcieli tego uwzględnić. Otóż więc cząstka ta była odtąd jedynym funduszem moich rodziców.

Po skończonym dziale, rodzice moi przenieśli się do swego małego folwarczku, wyrestaurowawszy jedną chatkę na mieszkanie dla siebie, drugą na kuchenkę i piekarnię dla czeladzi, gdyż z bardzo szczupłych funduszów, które się im jeszcze z dawnych lat zostały, trzeba było postawić zabudowania gospodarskie i mnie z bratem w szkołach międzyrzeckich utrzymać.

Ojciec mój cierpiał wiele przy zmianie losu, który go pozbawił dużo wygód codziennych, do których był przyzwyczajony od dzieciństwa.

Ziemia w Szybennéj rodziła jak dziewicze stepy amerykańskie, gdyż na morgu nigdy mniéj nie stawało, jak kóp dwanaście, a bardzo często i piętnaście ogromnego snopa, tak że w przecięciu kopa źle wydawała, czy pszenicy czy żyta, jeśli omłot był w półtora korca.

Ale cóż stąd? — kiedy w te czasy, o których tu piszę, nie było prawie żadnego handlu zbożem w okolicach Szybennéj. Do miejsc ruchliwych było daleko, a dostawa do nich była trudna z przyczyny niezmiernie złych dróg. To téż korzec żyta nigdy nie płacił się drożéj, jak pięćdziesiąt groszy, korzec pszenicy pół rubla, a już worek owsa, prawie w półtora korca, dwadzieścia groszy! Więc chociaż na łanie stawało zawsze do 1,000 kóp krescencyi, nieraz i więcéj, jednak dochód z majątku był tak mały, że ledwie wystarczał na niezbędne potrzeby, i to jeszcze przy największéj oszczędności.

Przy takiém położeniu majątkowém nie mogliśmy ostatecznie szkół ukończyć, gdyż na wpisowe ani na utrzymanie nas w Międzyrzecu-Koreckim nie starczyło, powróciliśmy więc z bratem do domu. Ja przeszedłem sześć klas, a mój brat Ludwik ledwo cztery.

W domu, aby nie zapomnieć tego, czegośmy się uczyli w szkołach, jak również i dla wprawy w języku francuskim, zaczęliśmy chodzić na

lekcye do niejakiego Winninga, którego sąsiad nasz Kwiatkowski trzymał dla swego syna. Za te codzienne lekcye rodzice moi płacili rocznie sto złotych!

Winning ten był to Szwajcar, człowiek już nie młody, bardzo uczony. Ożenił się już w kraju z jakąś biédną dziewczyną niższego pochodzenia, lecz bardzo piękną i młodą, która wyszła za starego Winninga jedynie dla zrobienia dobréj partyi.

Ja i kolega mój Kwiatkowski Konstanty, syn Fabiana, mieliśmy wtedy po lat ośmnaście, więc jako młodzi i weseli płataliśmy figle staremu Winningowi, pewni zawsze będąc, że to nam ujdzie bezkarnie, mając silną protekcyę w saméj pani. Po każdym spłatanym figlu, kończyło się zawsze tém, że za wstawieniem się saméj pani za nami, nie my Winninga, lecz on nas przepraszał. Winning nie mógł się nigdy nauczyć dobrze mówić po polsku, więc też często z jego przekręconéj mowy śmieliśmy się serdecznie.

W Szybennéj, jako ogromnéj kolokacyi, było kilkanaście rozmaitych dworków, a że to wszystko byli współsukcesorowie po generałowéj Prejsowéj, powinowaci między sobą, więc pomiędzy dworkami trwały ciągłe stosunki dość przyjazne. Zawsze z wiosną, jak tylko się ociepliło, zbiérała się młodzież z okolicznych dworków, urządzając rozmaite, nawet dość odległe spacery, na których zwykle biegano, śpiéwano, a często bardzo i tańczono na murawie. Otóż raz, powracając z takiego spaceru, zaprosiliśmy do siebie na kolacyę starego Winninga, który tym razem brał udział w naszéj zabawie. A że stary, chociaż szkaradnie mówił po polsku, zawsze jednak popisywał się jego znajomością, więc i teraz zaczął w nim rozmowę, dopełniając gestami słów, których mu brakło.

Po zwyklém przywitaniu, matka moja, chcąc zrobić Winningowi przyjemność, zapytała go po polsku:

— Czemu to pan Winning nigdy nie chodzi na spacer ze swoją żoną?

— Moje szonko ne może tera chodzić—odpowiedział Winning — kdysz on pelny jest, a my tak pręko begaj, begaj—dodał, pokazując na nas i sam zaczął biegać po pokoju, udając nasze ruchy.

— A kiedyż żona pańska spodziéwa się słabości?—znowu spytała moja matka, gdy się stary trochę uspokoił.

— Jakie slabości?—krzyknął Winning—Boże bruń! moje szonko jest zupelne struf, on tylko będzie mial pręko boże cele!

Tu już nie mogliśmy wytrzymać i zaczęliśmy się śmiać aż do łez. Winning zaś wodził po nas żdziwionym wzrokiem, nie pojmując z czego się tak mocno śmiejemy. Dopiéro gdy już śmiéch uspokoił się nie-

co, wytłómaczyliśmy mu to, co powiedział, i on téż zaczął wtedy śmiać się ze wszystkimi. Nic to jednak nie pomogło, zawsze bowiem wyplatał niestworzone rzeczy.

Szybenna była to ogromna wieś, która wedle owoczesnego obliczania wielkości zawiérała dwa tysiące dusz,—mając przeszło siedmset osad włościańskich, — przedzielona dwoma ogromnemi stawami i groblami, formowała niby trzy wsie.

Spadkobierców po Prejsowéj było dużo, lecz niektórzy z nich odrazu pozbywali swoje cząstki sąsiadom. W tym czasie, kiedy moi rodzice zamieszkali w Szybennéj, zostały tylko następujące schedy.

Wjeżdżając do wsi od strony miasteczka Białozórki, gdzie był nasz parafialny kościół, pierwsza część była nasza, daléj Olszańskich, Ojrzyńskich, Teleżyńskiego, późniéj kilka razem części nabytych przez Fabiana Kwiatkowskiego od kilku sukcesorów, następnie część Chomentowskich, Ostrowskich, na ostatku największa Kuczyńskich, którzy tu nie mieszkali, mając ogromne dobra za Bugiem. Osadzili w niéj tylko niejakiego Kobylańskiego, który ich kradł niemiłosiernie, żyjąc jak na swoim własnym majątku. Kuczyński nigdy tu podobno nie był i nie wiedział, co ma. Kobylański więc posyłał swemu pryncypałowi to, co mu z nosa spadło, ale za to w Szybennéj żył wspaniale, wyprawiając częste hulanki, na które spraszał sąsiadów. Główną sprężyną tych wszystkich zabaw była sama pani Kobylańska, która bardzo lubiła bawić się i stroić.

Wszyscy mający swoje cząstki w Szybennéj byli swoi i powinowaci między sobą, z wyjątkiem jegomość panów rządcy Kobylańskiego i sprawnika od wyborów Kwiatkowskiego Fabiana, który, jak to już powiedziałem, ponabywał od biédniejszych spadkobierców ich cząstki za bezcen prawie, czyhając przytém na innych potrzebujących grosza, którym sam ofiarowywał się z usługami, rozumié się za dobre procenta, aby późniéj mógł nabyć cząstkę napół darmo.

Ten Kwiatkowski był to, jak mówiono, wychrzta, syn cyrulika, który wynalazł jakieś zbawienne pigułki, leczące niby bez wyjątku wszystkie wewnętrzne i zewnętrzne choroby. Pigułki te poszły mu ręką, zrobił więc duży majątek, który przekazał swemu synowi Fabianowi. Sekret więc przyrządzania tych cudownych pigułek posiadał i syn, rozprzedając je z równém powodzeniem, jak i nieboszczyk tatuś cyrulik.

Z częścią Kwiatkowskiego graniczyła część Teleżyńskiego, którą Kwiatkowski bardzo pragnął nabyć, gdyż obadwa dworki stały na jednym dziedzińcu, oddzielone od siebie tylko niewysokim parkanem.

Teleżyński nie mieszkał w Szybennéj, gdyż włóczył się gdzieś z wojskiem Napoleona I-go po wszystkich ziemiach i morzach, długo nie było go w kraju; tymczasem Kwiatkowski postarał się, że mu oddano w administracyę cząstkę Teleżyńskiego, oprócz tego okazał się jakiś niedobór podatkowy za uprzedniego opiekuna, który zapłacił swemi pieniędzmi, a że był sprawnikiem starokonstantynowskim łatwo mu to przyszło. Miał przytém niby i tę zasługę, że ratował majątek sąsiada od sprzedaży i uprzednich nieuczciwych rządów.

Nakoniec po długiéj niebytności w kraju, wrócił Teleżyński; Kwiatkowski obchodził jego przybycie wspaniałym obiadem, na który sprosił wszystkich sąsiadów. Przy obiedzie częstował najlepszemi winami i staremi naléwkami, wnosząc częste toasty za zdrowie Teleżyńskiego. Oprócz talentu robienia cudownych pigułek, wedle ojcowskiego przepisu, Kwiatkowski posiadał również i talent do muzyki. Więc też po obiedzie, cały wieczór grał Teleżyńskiemu na angielskiéj gitarze, naostatek zagrał na skrzypcach jakiegoś wyśmienitego poloneza, w przestankach wychwalając waleczność Teleżyńskiego. Słowem, jak mógł, starał się zaskarbić łaski przybyłego dziedzica.

Tymczasem Teleżyński, słuchając pochwał i muzyki, dla animuszu, ciągnął kielich za kielichem, przyjmując dość ozięble nadskakiwania i komplementa. Lecz kiedy mu już dobrze we łbie zaszumiało, wstał z krzesła i podszedłszy do Kwiatkowskiego, zrobił srogą minę i krzyknął:

— Słuchajno, żydku, czy nie masz ty do mnie jakiego paskudnego interesu, że tak mnie podejmujesz?

Przy Teleżyńskim zaraz stanął Ojrzyński. Był to człowiek chytry i zły, podstępny, przytém miał bardzo wiele złośliwego dowcipu, nawet nie proszony zjawiał się zawsze na każde zebranie, gdzie można było najeść się i wypić. Nie cierpiał zaś Kwiatkowskiego, gdyż ten odmawiał mu zawsze pożyczek pieniężnych. Widząc więc przestrach pana Fabiana na takie *dictum acerbum* Teleżyńskiego, popatrzał na niego z ironią i rzekł, śmiejąc się:

— Ą co, panie Fabianie, widać nie darmo kapitan zwiedził tyle obcych krajów, kiedy odrazu poznał człowieka. Tak, kochanku—dodał — chcesz się naprzód wykręcić sianem z administracyi, a późniéj nabyć majątek za psie pieniądze. Ale nic z tego nie będzie! A roześmiawszy się w głos, wykręcił się na pięcie i odszedł.

Teleżyński zaś pomiarkował się i tego wieczoru skończył na tém jedném zapytaniu. Kwiatkowski zaś ochłonąwszy ze strachu, jakim napełniło go odezwanie się Teleżyńskiego, przestał grać, wstrzymał się

od komplementów, nie dolewał już wina, dowiedziawszy się od jednego z gości, że Teleżyński po pijanemu jest wielki awanturnik.

Późnym już wieczorem goście się rozeszli, a Teleżyński, jakby nie wiedząc, że część jego jest w administracyi, zaraz swój rząd zaprowadził, ekonoma z ręki Kwiatkowskiego wypędził i sam zaczął gospodarować.

A że Kwiatkowski bał się trochę Teleżyńskiego, a przytém jeszcze zajęty był urzędowaniem, nie bardzo więc dochodził swych praw, zdaleka omijając dworek kapitana, jeździł więc w powiat na rozmaite sprawy jako sprawnik, a Teleżyński tymczasem gospodarował na części po swojemu.

U Teleżyńskiego, który lubił dobrze jeść a lepiéj jeszcze wypić, ciągłe były poczęstunki i zebrania. Ojrzyński więc nie wychodził prawie od niego, pomagając do wypitki i jedzenia, grając przy Teleżyńskim rolę błazna, ot wisiał przy nim jak pieczeniarz. Ojrzyńskiego wszyscy unikali, jako człowieka złego, brat rodzony niechętnie go nawet przyjmował u siebie, a żyć nie miał z czego, gdyż majątek swój przehulał nic więc dziwnego, że zastrzągł przy Teleżyńskim.

Nie wiem dziś, dlaczego Ojrzyński przezwał Kwiatkowskiego „Mochamedem”. A była jeszcze w Szybennéj i druga osobistość, doktór Moszomański, którego Ojrzyński również nie lubił, przezwawszy go „osłem”—więc téż i temu przycinał przy zdybaniu.

Otóż raz, kiedyśmy się zebrali na pierwszy dzień Bożego Narodzenia w kościele w Białozórce, Ojrzyński zobaczył stojących razem przed kościołem, do którego podobno i nie wchodzili, Kwiatkowskiego i Moszomańskiego, napisał na nich czterowiersz, który dedykował Teleżyńskiemu:

Mochamed i Moszomański
Przybyli przed przybytek Pański
I stanęli oba społem,
Jak w Betlehem osioł z wołem.

Wierszyki te szeroko rozeszły się po okolicy, a to dlatego, że w ogólności nie lubiono Kwiatkowskiego.

Kwiatkowski tymczasem na wąs motał, dodawał sobie otuchy jak mógł, podniecając swoją odwagę rozmaitemi odbywanemi ze sobą monologami, wmawiając w siebie, że się Teleżyńskiego nie boi i raz przecie musi z nim skończyć, albo nabyciem jego cząsteczki, lub żądaniem zwrotu należności. Pewnego więc dnia, nabrawszy odwagi, wybrał się w odwiedziny do Teleżyńskiego, a było mu niedaleko, przelazł przez nizki parkan, oddzielający podwórko od podwórka i wszedł do dworku; ale zaraz z progu chciał zemknąć, ujrzawszy Teleżyńskiego

już podchmielonego, siedzącego przy śniadaniu z Ojrzyńskim i zapomniawszy o swém tak twardém postanowieniu stanowczego skończenia interesu. Ale zemknąć nie miał już czasu, gdyż w téj saméj chwili, kiedy otwiérał drzwi do pokoju, spostrzegł go Teleżyński, a wyskoczywszy z za stołu, uchwycił gościa pod rękę i usadowił obok siebie, przy stole zastawionym obfitém śniadaniem. Cała baterya pełnych butelek wina i różnych nalewek stała w końcu stołu, kilka z niéj butelek było już opróżnionych, lecz zostawało jeszcze dużo nie zaczętych.

— Dobrze, że przyszedłeś, kochany sąsiedzie — rzekł Teleżyński — siadaj i pożywaj, co Bóg dał. Pożegnalne to śniadanie — dodał — muszę jechać w powiat ostrogski. Myślę tam stale zamieszkać u krewnych.

— Dobrze więc trafiłem — odpowiedział Kwiatkowski — przed wyjazdem pana kapitana musimy stanowczo pomówić o naszym interesie.

— Nic nie wiem, o jakim to interesie, panie sprawniku? — zapytał Teleżyński. — Zdaje mi się, że ja nie mam żadnych interesów prawnych?

— Wszak ci kiedyś mówiłem, kapitanie — odezwał się Ojrzyński,—że chce od ciebie nabyć twoją część, byle za wpół darmo.

— Zapewne, że nie drogo—rzekł Kwiatkowski,—ale nim to nastąpi, proszę pana kapitana wrócić mi zapłacone za niego zaległe podatki, za które oddano mi w administracyę pańską część, którą pan samowolnie odebrałeś odemnie.

— Któż aspana prosił, do kroćset dyabłów, — huknął Teleżyński—abyś za mnie płacił jakieś tam rekwizyta! Ja nie prosiłem, więc majątek jako swój odebrałem i wszedłem w jego posiadanie i basta! Proszę pana sprawnika nie wyjeżdżać do mnie z podobnemi pretensyami, bo możemy się pogniéwać! Bo ja, do stu tysięcy bomb i kartaczy, nie żartuję! — Słyszysz, panie sprawniku!?

Powiedziawszy to, podniósł w górę szklankę pełną naléwki i krzyknął: „Zdrowie pana sprawnika!”—i wychylił ją duszkiem.

— No, a teraz musisz mu podziękować, panie Fabianie, że piliśmy twoje zdrowie — rzekł Ojrzyński, podając Kwiatkowskiemu pełną szklankę naléwki.

Kwiatkowski mały, chudy, nigdy nic nie pił, a jeśli był już do tego zmuszony, to pił jakby kosztując tylko. Teraz również wzięty we dwa ognie, a sądząc, że mu to pomoże do interesu, wziął szklankę z rąk Ojrzyńskiego i zaczął pomału kosztować.

Tymczasem Teleżyński i Ojrzyński wypróżniali butelki jedną po drugiéj, doléwając sobie wzajemnie.

Kwiatkowski wykosztowawszy do dna swoją szklankę i nabrawszy animuszu od wypitéj nalewki, stawiając ją próżną na stole, rzekł z wielką flegmą, dobitnie wymawiając każde słowo:

— Już to powiem otwarcie panu kapitanowi, że nie pojedziesz pan stąd, nie ukończywszy ze mną interesu; mówię panu stanowczo, że odjechać nie pozwolę.

— Coo? nie pozwolisz? nie odjadę? — zawołał Teleżyński. — Hej, Maciek!—krzyknął na sługusa—zaprzęgaj konie! tylko duchem!

— Powiadam panu — mówił daléj Kwiatkowski, — że pana nie puszczę i sam stąd nie wyjdę, aż skończę interes.

— Co? nie puścisz? nie wyjdziesz? — wrzasnął kapitan. — Panie Ojrzyński! — zawołał, zrywając się od stołu — wyrzuć pan tego żydka za parkan!

Ojrzyński tego tylko czekał, a że był chłop silny, jak Samson, chwycił więc Kwiatkowskiego jedną ręką za kołnierz, drugą za pludry, podniósł w górę jak kota, a wyniósłszy z pokoju, przerzucił na drugą stronę parkanu.

Szczęściem dla Kwiatkowskiego, że przeleciawszy przez parkan jak piłka, upadł po drugiéj stronie na stos gnoju wyrzuconego z jego własnéj stajni; gdyby nie to, mógłby się był zabić na miejscu, z takim impetem leciał na drugą stronę.

Kwiatkowski wstał, a obmacawszy się, że mu się nic nie stało, zaczął za parkanem łajać od ostatnich słów Teleżyńskiego i Ojrzyńskiego.

— Ha, łajdaki! — krzyczał — nie daruję ja wam tego! Napiszę raport do gubernatora, że Teleżyński powróciwszy za amnestyą do kraju, nie szanuje urzędników i bunt przeciw nim podnosi.

— Co? napiszesz raport? — krzyknął Teleżyński, stojąc już dobrze pijany po drugiéj stronie parkanu. — Poczekajże, ja cię nauczę!— A wbiegłszy do dworku, schwycił pałasz ze ściany, zawsze wiszący nad jego łóżkiem, wyskoczył na dziedziniec.

— Do ataku! marsz!—krzyknął do Ojrzyńskiego.

Ojrzyński, nie mając drugiéj broni, tylko grubą laskę czereśniówkę, z którą zawsze chodził, schwyciwszy ją do ręki, pośpieszył za Teleżyńskim.

Obaj napastnicy momentalnie znaleźli się za parkanem, tuż przy Kwiatkowskim, który, ujrzawszy przy sobie Teleżyńskiego z gołym pałaszem, nie mając już czasu schować się do domu, jednym susem wskoczył do otwartéj wozowni i po stojących tam saniach wdrapał się na banty.

Teleżyński silnie pijany, nie spostrzegł co się stało z Kwiatkowskim—krzyknął więc do Ojrzyńskiego:

— A co? gdzie nieprzyjaciel? rejterował? co?

Ojrzyński, który pił jak gąbka, nigdy nie tracąc przytomności, widział, jak Kwiatkowski przyciskał się do banty, chcąc się uczynić niewidzialnym, ukazując więc go Teleżyńskiemu:

— Ot, tam! — rzekł — skrył się za wały! — a złożywszy się do Kwiatkowskiego swą grubą lagą, jak ze strzelby, krzyknął:

— Złaź! bo strzelę!

A że u stracha wielkie oczy, Kwiatkowski był najpewniejszy, że widzi do siebie wymierzoną lufę, chcąc więc zasłonić się ręką od strzału, puścił bantę, za którą się trzymał i upadł w sanie pod nim stojące.

Teleżyński, zobaczywszy go padającego z góry, rzucił się do niego z pałaszem, krzycząc co sił:

— Bij! zabij!

Kwiatkowski chociaż mocno się potłukł padając, jednak jednym susem wyskoczył z sani przed takim ostrém natarciem i dalój w nogi, Teleżyński za nim, Kwiatkowski chciał zemknąć przez otwarte drzwi wozowni, ale we drzwiach natknął się na Ojrzyńskiego, który znowu złożył się do niego swą czereśniówką, Kwiatkowski rzucił się w bok, lecz natrafił na dyszel od bryczki, a że był chudy i lekki, czując pogoń za sobą, skoczył jak zając przez dyszel, Teleżyński zaś gruby, a przytém pijany, nie mógł tak samo skoczyć, chcąc się zaś dostać do Kwiatkowskiego, zaczął przełazić pod dyszlem. Rozpoczął się więc taniec między powozami. Kwiatkowski zmykał, przeskakując przez dyszle, Teleżyński zaś gonił przełażąc pod niemi. Nakoniec Kwiatkowski drugi raz skoczył do drzwi, widząc w ucieczce jedyne zbawienie, lecz skoro się do nich zbliżył, Ojrzyński uchwycił go za kołnierz, wołając do Teleżyńskiego:

— Kapitanie, pośpieszaj! nieprzyjaciel wzięty!

Kwiatkowskiego zimny pot oblał, struchlał. Tymczasem Teleżyński przełażąc pod ostatnim dyszlem, zaplątał się i upadł, nie mogąc się podnieść, zmęczony pogonią i obezwładniony szumiącą mu w głowie wypitą nalewką. Dosłyszawszy jednak wołanie Ojrzyńskiego, krzyknął z pod dyszla, leżąc na ziemi:

— Żydku, proś *pardon!* bo zabiję!

Kwiatkowski, który ze strachu zupełnie stracił przytomność, usłyszawszy groźne wołanie Teleżyńskiego, pada na kolana przed Ojrzyńskim, krzycząc:

— *Pardon! pardon!* daruj życie, kapitanie!

— Nie daruję! nie daruję!—wołał Tełeżyński, szamocząc się pod dyszlem, a widząc, że nie może wstać: — Hej! pomóżcie mi kto wyleźć z tęj fortecy!—krzyknął—ani rusz nie mogę się wygramolić!

Po ostatniém odezwaniu się Teleżyńskiego, szamoczącego się pod dyszlem, między widzami, którzy zebrali się na hałas, jakiego narobili dwaj zapaśnicy, rozległ się szalony śmiech, ani chwilę nieustający.

Tymczasem na ratunek Kwiatkowskiemu zjawił się brat Ojrzyńskiego, a wyłajawszy brata za podobny żart, podniósł z kolan zmartwiałego ze strachu Kwiatkowskiego i odprowadził go do domu. Drudzy zaś rzucili się do Teleżyńskiego, a wyciągnąwszy go z pod dyszla, odprowadzili do dworku.

Kwiatkowski z przestrachu dostał gorączki i parę tygodni przeleżał w łóżku, Teleżyński zaś po swym bohaterskim wysiłku spał tylko dwadzieścia cztery godziny.

Pan Fabian jednak nie dał za wygranę; wyzdrowiawszy, nie przestał przemyśliwać nad sposobem, jakby nabyć część Teleżyńskiego. Wziął się na koncept, obrócił w żart całe zajście, a ponieważ Teleżyński lubił hulać, a dochód z części nie wystarczał, Kwiatkowski zaczął mu pożyczać małemi sumkami, ale na dobre procenta, pożyczki te prędko dopełniły wartości szacunkowéj i Kwiatkowski zabrał cząstkę, a Teleżyński wyniósł się do drugiego majątku, który miał w Łuckiém.

Prędko po wyjeździe Teleżyńskiego jeszcze jedna cząstka w Szybennéj przeszła w obce ręce. Była to cząstka najbliższego naszego sąsiada i krewnego, Olszańskiego. Ten, przemieszkawszy prawie całe życie przy swoim wuju, panu staroście Czarneckim, a moim dziadku, towarzyszył mu z początku w konfederacyi Barskiéj, późniéj w powstaniu Kościuszkowskiém, a straciwszy cały swój majątek, osiadł przy nim w Stobychwie, gdzie polował i pił.

Po emigracyi pana starosty, ożeniwszy się osiadł w Szybennéj na cząstce, którą otrzymał z działu po jenerałowéj Prejsowéj. Ale nie umiał gospodarować, polował tylko jak dawniéj, trzymał dużo chartów i koni, nie myśląc wcale o tém, że trzeba będzie wyposażyć jeszcze z téj saméj cząstki i dwie siostry, gdyż majątek, jaki dostał się rodzeństwu po śmierci ojca, stracony był w ostatnich zamieszkach krajowych. Za cały więc fundusz została ta jedna cząstka w Szybennéj. Tymczasem dzieci sióstr podorastały, zaczęto się dopominać o posag, a tu nie było z czego oddać. Jakoż w tym samym czasie zjawił się w Szybennéj niejaki Grabowskij, dymisyonowany urzędnik komory celnéj. Otóż ten Grabowskij wziął w dzierżawę część Olszańskiego, przyjąwszy na siebie spłatę sióstr jego. Olszański zaś wyjechał gdzieś w świat.

Co się z nim daléj stało, nie wiem, wspomniałem jedynie dlatego o nim, że z owym Grabowskim przyjechał do Szybennéj Franciszek Widawski, późniejszy mój szwagier.

Widawski pochodził z wielkiego księstwa poznańskiego, z okolic Gniezna. Po ostatnich wypadkach krajowych rząd pruski skonfiskował majątek jego ojcu, Widawscy więc zostali prawie bez sposobu do życia. Brat saméj pani Widawskiéj z poznańskiego pojechał do Petersburga szukać karyery, dostał się na Dwór, gdzie dosłużył się rangi jenerala „garderobnego.” Dowiedziawszy się o położeniu siostrzeńca wezwał go do siebie. A że Widawski otrzymał staranne wychowanie, znał kilka języków, przytém był zgrabny i bardzo przystojny, podobał się wujowi jenerałowi, który obiecał się zająć jego losem. W tym czasie właśnie robiono przygotowania do wojny z Napoleonem I, formowano pułk kawaleryi pod nazwaniem: „*Wołontarnyj gwardiejskij kazaczyj*”, wuj więc jenerał umieścił w nim siostrzeńca.

Mundur pułku był ładny, pąsowy, haftowany złotem, podobał się więc młodemu człowiekowi, który przywdział go z przyjemnością. Umundurowanie siostrzeńca tanio przyszło jenerałowi, gdyż jako „*garderobnyj jenerał*” posiadał ogromny zapas starych szarf, mundurów, srebrnych ostróg, więc z téj starzyzny dał wyprawę Widawskiemu, oprócz pieniędzy, gdyż skąpy był jak kardynał Fesch. Obiecał téż protegować siostrzeńca, a że nie był żonatym, więc i uczynić jedynym spadkobiercą.

Tymczasem zaczęła się wojna z Francyą. Widawski ze swoim pułkiem przeszedł przez Niemcy, Włochy, późniéj był w Paryżu z cesarzem Aleksandrem I, jako oficer subaltern gwardyi kozaków.

Ale nim się wojna skończyła, wujaszek jenerał poszedł do Abrahama na ciepłe piwo, majątek zaś, który miał w gotowiźnie, faworyty jeneralskie rozchwytały. Widawskiemu więc nic się nie dostało. Tymczasem po powrocie z wojny trzeba było jakoś przyzwoicie się ogarnąć, gdyż mundur się podnosił i konik się zjeździł, a tu nie było z czego pociągnąć; przytém życie w Petersburgu niezmiernie drogo kosztowało, na to wszystko żołd oficerski nie wystarczał. Poradzono mu, aby wziął dymisyę i podał się na służbę przy komorze pogranicznéj. Tak też zrobił, a jako znającemu dobrze języki i oficerowi gwardyi, dano mu dobrą posadę w Kurlandyi, gdzie poznał się ze wspomnianym Grabowskim, który był nadzorcą okręgu celnego, gdzie przeznaczono Widawskiego.

Otóż ten Grabowskij tak potrafił oplątać Widawskiego, człowieka prawego, że ten nie domyślając się nawet niczego, pomagał bezwiednie Grabowskiemu do rozmaitych nadużyć celnych, z których jedynie

Grabowskij ciągnął grube korzyści i udało się mu zebrać gruby kapitał.

Z obawy, aby opatrzywszy się nie pociągnięto go do odpowiedzialności za nadużycia, podał się do dymisyi, zmykając z Kurlandyi jak można najdaléj—tym sposobem zabił się aż na Ukrainę do Szybennéj, zabierając z sobą Widawskiego.

Ale ucieczka ta na nic się nie zdała, gdyż następca Grabowskiego, znalazłszy jakieś niedokładności w pozostawionych mu rachunkach, zapozwał go przed sąd. Wywiązał się z tego długotrwały proces. Ponieważ Grabowskij nie chciał się wydać z tém, że ma grube kapitały, dla potwierdzenia niby swéj uczciwości i uniknienia podejrzeń, pożyczał więc na prowadzenie procesu pieniądze od Widawskiego, który w dobréj wierze oddał wszystko, co zaoszczędził na służbie. Po skończeniu procesu, Grabowskij oświadczył Widawskiemu, że niema mu z czego zapłacić długu, a natomiast oddaje mu dzierżawę, którą wziął od Olszańskiego, sam zaś wyjechał do Rosyi na jakąś posadę.

W tym samym czasie zjawił się w Szybennéj niejaki Chyliński.

Pochodził z „putnych bojarów" w dobrach wiśniowieckich. Dostał się na dwór pana marszałka Mniszcha, jako kozak do służby pokojowéj, a że służył panu wiernie jeszcze w jego młodych latach, więc późniéj Mniszech, w nagrodę jego wiernych wysług zrobił go dowódcą milicyi nadwornéj. Chyliński i na tém stanowisku potrafił zasłużyć sobie na zaufanie, sumiennie i uczciwie pełniąc obowiązek, więc też od grubych podarków pana marszałka porósł w pierze.

Po rozwiązaniu milicyi, podziękował za służbę, a że uciułał pokaźny grosz, poszedł dzierżawami, na których Pan Bóg mu błogosławił, gdyż pracował pieniędzmi uczciwie zebranemi, więc też w prędkości dobił się znacznéj krescytywy. A że był przystojny, gładki i otarty na dworze pana marszałka, z którym podobno jeździł nawet i za granicę, więc dzięki tym swoim zaletom ożenił się dobrze z niejaką Janczewską z Czerepowéj na Podolu; ponieważ zaś najsilniejszym lewarem jest pieniądz, który jest wszechwładny, więc na téj niby zasadzie, że pochodził z „putnych bojarów," ludzi wolnych, wyrobił sobie szlachectwo. Ten tedy Chyliński wziął w dzierżawę dużą część Chomentowskich w Szybennéj.

Syn jego, Wincenty, kształcił się w szkołach Krzemienieckich, a po ukończeniu ich, wstąpił do korpusu kadetów w Petersburgu. Zakład ten założonym został już po r. 1812 przez cesarza Aleksandra I w tym celu, aby młodzież południowych i zachodnich prowincyi wstępowała do niego. Dużo więc młodzieży z Wołynia, Podola i Ukrainy wstępowało do kadetów, między innymi i Wincenty Chyliński, a że

wstąpił już po ukończeniu szkół, więc też bardzo prędko został oficerem w gwardyi, w pułku polskim hułańskim, dlatego tak nazwanym, że mundur tego pułku był granatowy z amarantowemi wyłogami, miał białe konfederatki z takiém-że piórem i białe szlify.

Młody Chyliński przyjechał do ojca na urlop, a że kolegowałem z nim w Krzemieńcu w szkołach, więc odnowiliśmy znajomość. Był to chłopiec przystojny, dobrze ułożony, za zgodą więc moich rodziców wprowadziłem go do nas. Wincentego lubiono powszechnie, gdyż w obcowaniu był miły i sympatyczny, przyjmowano go też wszędzie ochotnie. Mającemu w Szybennéj towarzystwo liczne i wesołe, nie chciało mu się wracać do pułku, zaczął więc nad tém przemyśliwać, jakby zostać na miejscu.

Pomógł mu do tego jego wuj rodzony Janczewski, stary kawaler, który miał duży majątek na Podolu, wieś Czerepowę. Przez niego tedy ofiarowano pułkownikowi parę bardzo ładnych koni wierzchowych przy grubym podarku pieniężnym, za co pułkownik wykomenderował Chylińskiego z pułku jako remontyera i werbownika, gdyż wtedy werbowano jeszcze prostych żołnierzy do kawaleryi. Chyliński obrał Szybennę jako kwaterę werbunkową, a Czerepowę jako stajnię remontową. Ubiór jego hułański bardzo mnie zawsze zachwycał, gdyż było to zawsze mojém marzeniem służyć wojskowo. Mundur ten był to magnes, który mnie ciągnął do Wincentego i sprawił w końcu, że poprzyjaźniliśmy się ze sobą.

W Szybennéj było nas kilku młodych ludzi prawie jednych lat, wymyślaliśmy przeto rozmaite zabawy, spacery, zebrania i t. d., płatając przy tém niewinne figle. Zaczęliśmy chodzić na szczudłach, popisując się zręcznością przed kobietami. W czasie jednego z takich popisów przyszła któremuś z nas pusta myśl do głowy, aby w noc księżycową, kiedy opar z wody wzbije się nad stawem. zaścielając białym tumanem groblę, stanąć na szczudła i przejść się po ulicach od dworku do dworku.

Umówiliśmy się z Chylińskim czekać stosownéj pory, która się też prędko trafiła. Pewnego dnia lipca, niezmiernie upalnego, w którym dla gorąca nie odbywaliśmy zwykłego spaceru, kiedy prawie we wszystkich dworkach pogasły już światła i miało się już ku północy, a opar bardzo gęsty podniósł się ze stawu, pędzony lekkim wietrzykiem na groblę i wieś, zeszliśmy się z Chylińskim na grobli, okrywszy się długiemi prześcieradłami, stanęliśmy na szczudła, wynurzywszy się odrazu ponad mgłę, jakby z głębin stawu.

Pierwsi natknęli się na nas koniuchy, pędzący konie na nocną paszę. Konie zaczęły chrapać, a zwróciwszy na miejscu zestraszone,

z wielkim impetem pomknęły nazad groblą do wsi, o mało nie roztratowawszy koniuchów, którzy ujrzawszy dwie ogromne białe postaci, idące naprzeciw nich, z krzykiem pomknęli za uciekającemi końmi, psy zaś chłopskie zaczęły wyć i ujadać zawzięcie, chowając się pod chaty. My tymczasem szliśmy daléj wśród mgły, jakby płynąc ponad ziemią.

Na tentent kilkudziesięciu uciekających koni, straszne wycie i szczekanie psów, zaczęto z chat wyglądać, lecz za każdym razem co który chłop wyjrzał i zobaczył idące dwie białe postaci, zatrzaskiwał drzwi i zaryglowywał. Z niektórych téż dworków przez okna ukazały się głowy ciekawych hałasu, lecz po wyjrzeniu znikały, a w oknach gasły światła.

My tymczasem szliśmy daléj prosto do dworku Fabiana Kwiatkowskiego, pewni będąc, że z domu nikt nie wyjdzie na podwórze, a gospodarz ze strachu zaszyje się w pierzyny. A że dworek był niewysoki, a szczudła dużych rozmiarów, więc stanąwszy przy nim z dwóch stron, oparliśmy się łokciami o strzechę; postawszy tak w téj pozycyi parę minut, zeskoczyliśmy ze szczudeł. Wyglądało to tak, jakbyśmy przy dworku zapadli się w ziemię, późniéj przemknęliśmy się chyłkiem między opłotkami, każdy do siebie.

Na drugi dzień zaczęto dziwy rozpowiadać o nocném widziadle. Jedni mówili, że widzieli toczącą się po drodze głowę bez kadłuba, z palącym się ogniem w oczach, ustach i gorejącemi włosami, drudzy słyszeli, jak biała mara stękała i oglądając się czegoś szukała. Wszystko to opowiadano z rozmaitemi dodatkami, wedle mniéj lub więcéj bujnéj wyobraźni opowiadacza.

Z tych wszystkich gawęd skorzystał Ojrzyński, aby dokuczyć Kwiatkowskiemu. Dowiedziawszy się, że straszydło zapadło się w ziemię przy dworku, poszedł do niego w odwiedziny.

— A co panie Fabianie — rzekł wchodząc. — Źle; musiałeś kochanku porobić jakieś szachrajstwa z pigułkami, kiedy do ciebie przychodzili tatuś cyrulik z mamusią. Sam widziałem, tatuś twój był w śmiertelnéj koszuli i miał „tałes” na głowie, a mamusia na peruce czerwone czółko z perłami.

— Pan zawsze coś wymyśli niepotrzebnego, aby mi dokuczyć — odrzekł Kwiatkowski. — Chce pan mnie nastraszyć, to darmo, ja się strachów nie boję. Mam nawet strzelbę, prawda, że nie nabijam jéj dlatego, że może być wypadek. Wczoraj nie wychodziłem, gdyż mnie irytują niewłaściwe żarty.

Podobne wyprawy nocne powtórzyliśmy kilka razy, a strach w Szybennéj do tego doszedł, że już o zmroku nikt ani z chat, ani z dworków nie wychodził, wszyscy się dusili od gorąca w mieszka-

niach, zamykając drzwi i okna, koniuchy nawet pędzili konie na paszę przed zachodem słońca.

Takie lampartowanie zaczęło się mi już przykrzyć, myślałem więc ciągle nad tém, aby wstąpić do wojska. Rodzice moi zgodzili się na to. Trudny był tylko wybór, w jaką stronę się udać, czy do Petersburga do korpusu kadetów, czy do Warszawy do szkoły podchorążych? Chyliński mnie namawiał, aby jechać do korpusu, ale ochota ciągnęła do Warszawy, gdzie miałem cioteczno-rodzonego brata, Józefa Brezę, służącego w kwatermistrzostwie sztabu jeneralnego, oprócz tego rodzony brat mojéj matki, Kajetan Czarnecki, ożeniwszy się niedawno z Rakowską, mieszkał w Warszawie, siostra zaś jego żony była za jenerałem Krukowieckim; w Warszawie miałbym tedy protekcyę, postanowiłem więc tam jechać. Chyliński znowu miał znajomego w Warszawie jenerała Lewickiego w gwardyi wojska rosyjskiego, dał mi więc do niego list rekomendacyjny.

Zaczęły się przygotowania do drogi. Matka kazała szyć bieliznę ojciec dawał rady co i jak robić, aby zasłużyć na dobrą opinię i miłość kolegów, a szacunek u starszych. Nakoniec wszystko było gotowe.

Od nas do Warszawy szły dwie drogi, jedna na Brześć i Białę, druga na Uściług i Lublin, a że przez Brześć było daléj, wybrano krótszą drogę na Lublin. Wyspowiadawszy się w kościele parafialnym w Białozórce, najpierw pojechaliśmy z matką po błogosławieństwo do mojéj prababki, pani podkomorzyny Drzewieckiéj, do Juśkowiec. Prababka nie mogła chodzić, gdyż miała nogi sparaliżowane, woził ją zawsze hajduk w krześle na kółkach. Przypadłem do nóg poważnéj matrony, która objęła mnie za głowę, powiedziawszy:

— Pamiętaj, żyj uczciwie, jak przystało na dziecko uczciwych rodziców. Boga chwal, starszych szanuj, słabszych broń—o resztę się nie troszcz—sam Bóg da ci, co będzie potrzebne, a jak będziesz zawsze chodził jego drogami, będzie ci dobrze na świecie.

Dostałem od prababki trzy dukaty na drogę. A była to na owe czasy suma pokaźna, bo stanowiła sześćdziesiąt złotych.

Powróciwszy do domu, gdy w kilka dni wyjeżdżałem, ojciec mi dał trzysta złotych, jako kapitał zapasowy, i sto pięćdziesiąt złotych na drogę, dodawszy przytém, aby się więcéj od niego nie spodziewać i o tém dobijać się fortuny. Z najętym żydem bałagulą pojechałem do Lublina, nudząc się ogromnie drogą i odbywając wszystkie szabasy. Z Lublina do Warszawy jechałem już szosą wziąwszy pocztę, słuchając z przyjemnością grania na trąbce wiozącego mnie pocztyliona. W Garwolinie miałem przejście, wskutek którego starszy pocztarz miał być uwolniony, ale wyprosiłem go u poczthaltera.

Przyjechałem do Garwolina późno w nocy; będąc zmęczony drogą, powiedziałem przyjechawszy na stacyę, że będę nocować. Otóż starszy pocztarz, rozbudzony ze snu, wpuścił mnie do gościnnego pokoju, ukazawszy stojące w nim łóżko; nie rozglądając się więc, położyłem się i twardo zasnąłem, w nocy uczułem potrzebę wyjść z pokoju, a że nad ranem świecił księżyc, więc było dość widno. Poszedłem do drzwi, ale zastałem je zamknięte na klucz, chciałem wyjść oknem, lecz gdym się do niego zbliżył, dopiéro wtedy spostrzegłem stojący pod niém stół, na stole było białe prześcieradło, widocznie przykrywające jakiś przedmiot, co go w górę unosił, a ponieważ to była wiosna i niedaleko Wielkanoc, sądziłem, że to musi być mąka susząca się na ciasta, chcąc się o tém przekonać, podniosłem róg prześcieradła, lecz jakie było moje ździwienie, kiedy zamiast spodziewanéj mąki ujrzałem nagie ciało martwego człowieka. Z początku widok ten sprawił na mnie niemiłe wrażenie, lecz w ten moment ochłonąłem, pomyślawszy, że nic mi złego zrobić nie może — wróciłem więc napowrót do łóżka i znowu zasnąłem. Dzięki mojéj matce, która nie pozwalała niańce rozpowiadać mi o żadnych strachach, sama mi zawsze tłómacząc, że takowych nie ma, byłem swobodny od chorobliwych wrażeń, które zostawiają swoje piętno z lat dziecinnych na całe życie, wywołane rozpowiadaniem dzieciom o strachach, jak i straszeniem niemi dla uspokojenia.

Ponieważ na inném miejscu nie będę miał sposobności, więc opowiem tu o strachach, raczéj o widzeniu, które w swoim czasie miało wielki rozgłos na Wołyniu.

W Łucku była przełożoną panien szarytek panna Jadwiga Polanowska, wnuczka sławnego Polanowskiego, który razem ze Stanisławem Leszczyńskim współubiegał się o koronę polską. Panna Polanowska była ciotką mego ojca, a że wtedy szanowano stosunki familijne, więc téż po wyjściu za mąż za mego ojca, matka moja pojechała złożyć uszanowanie ciotce mężowskiéj; ojciec mój, zajęty interesami, nie mógł z nią jechać, więc zaprosiła do towarzystwa swoją starszą siostrę, Antoniowę Brezinę, z Siekierzyniec.

Ponieważ panie te słyszały już z drugich ust o przejściu, jakie miała panna Polanowska, prosiły ją przy widzeniu, aby je powtórzyła, gdyż chciały go słyszéć od niéj bez dodatków, wymyślonych przez opowiadaczy.

Panna Polanowska była to znana opiekunka nieszczęśliwych wdów i siérot, ze wszystkich stron uciekano się do niéj o pomoc. Trafiało się często, że nawet wśród nocy przybiegano prosić o pomoc, i gdy przychodzący zapukał do drzwi, mała dziewczynka, która jéj usługiwała, nie pytając pani, otwiérała je proszącemu. Panna Polanowska

zajmowała parę pokoików na pierwszém piętrze w murach klasztornych.

Na kilka dni przed opisywanym tu wypadkiem, umarł był kapelan szarytek, ks. Śleźniński. Otóż raz, późnym wieczorem, kiedy panna przełożona chodziła po pokoju, odmawiając paciérze, a służąca słała łóżko, zapukano do drzwi, służąca, wedle przyjętego zwyczaju, pobiegła otwiérać. Lecz w téj samej chwili przełożona doznała jakiegoś dziwnego uczucia, którego nawet późniéj nie umiała określić, powiedziała więc służącéj:

— Nie otwiéraj! zapytaj, kto taki?

Służąca spełniła rozkaz, — zapytała — w téj chwili odezwał się głos z za drzwi:

— Ksiądz Śleźniński.

Panna Polanowska, która, jak mówią, była *hic mulier*—nie bojąca się niczego, odpowiedziała:

— Proszę księdza do okna.

Wiedziała o tém dobrze, że jeśli to była prosta mistyfikacya, to się nie uda, gdyż okno było na pierwszém piętrze. Zastanowił ją tylko dziwny, nieokreślony dźwięk glosu. Gdyż nie był to taki głos, jaki słyszymy, rozmawiając z kim, — lecz taki sam głos, jaki nieraz słyszymy w myśli, głos osób dobrze nam znanych, a nieobecnych, jednak dźwięczy on tak wyraźnie, jakbyśmy mieli mówiącą osobę przed sobą.

Podeszła więc do okna i podniosła zapuszczoną firankę, w téj samej chwili ukazał się w oknie ks. Śleźniński, tak jak był pochowany w ornacie i stule.

— Czego ksiądz potrzebuje?

— Mszy za moją duszę.

— To proszę iść samemu do przeora, — nie uwierzy, gdy mu powiem, że ksiądz był u mnie.

Powiedziawszy to, opuściła firankę. Obejrzała się za służącą, téj nigdzie nie było, zaczęła szukać jéj i znalazła zemdloną pod łóżkiem. Gdy ją stamtąd wyciągnęła i ocuciła, spytała:

— Co tobie?

— Aj, pani! ksiądz Śleźniński był w oknie!

Panna Polanowska nic nie odpowiedziała, zaczęła tylko chodzić po pokoju i kończyć przerwane paciérze. Późniéj, najspokojniéj położyła się do łóżka. Na drugi dzień, poszła na ranną mszę do kościoła, zastała przeora u ołtarza śmiertelnie bladego, odprawiającego żałobną mszę. Po mszy podszedł do panny przełożonéj zakrystyan, dając

znać, że przeor prosi o chwilkę rozmowy. Kiedy panna Polanowska weszła do zakrystyi, przeor z załamanemi rękami zawołał:

— Panno przełożono, czy to godziło się nasyłać na mnie umarłych?

— A czybyś uwierzył mi, księże przeorze, gdybym ci powiedziała, że był u mnie ksiądz Śleźniński i prosił o mszę?

Przeor nic nie odpowiedział, tylko opuścił głowę na piersi. Zachorował biédaczysko z przestrachu na tyfus i omało nie umarł.

Powié kto może, że to zmyślona historyjka? Proszę przypomniéć sobie, co jednak pisze doktór Szokalski w swém bardzo poważném dziele naukowém „Fantazye i objawy ducha ludzkiego",—gdzie cytuje kilka podobnych wydarzeń, a między innemi zjawisko w sali tronowéj w Sztokholmie, które widziało kilkunastu dworzan królewskich; zapisane ono jest w rocznikach państwa i stwierdzone podpisami osób wiarogodnych.

Wracam do mego noclegu w Garwolinie.

Na drugi dzień, gdy poczthalter obudził mnie rano, aby dowiedziéć się, kiedy pojadę i jakie każę podać jedzenie, spostrzegł, że nastąpiła pomyłka i wpuszczono mnie do pokoju, gdzie w dzień mego przyjazdu złożono tymczasowo ciało nagle zmarłego pocztyliona, do przyjazdu lekarza i władzy sądowéj. Poczthalter ździwił się niezmiernie, gdym mu powiedział, że widziałem już w nocy zmarłego. Nie mógł pojąć, czemu nie dobijałem się do drzwi, lub téż nie wyskoczyłem przez okno, unosząc się nad moją odwagą, że mogłem spać w pokoju, w którym leżał nieboszczyk. Zaraz przeprowadził śledztwo, który z pocztarzy był na dyżurze, a wezwawszy do siebie winnego, złajał i chciał go uwolnić, ale na moją prośbę zostawił na miejscu.

W roku 1819-ym, kiedy przybyłem do Warszawy, nie była ona jeszcze taką, jak dziś, gdy piszę te moje pamiętniki. Na teraźniejszém Krakowskiém-Przedmieściu, oprócz kilku wspanialszych gmachów, dużo było jeszcze domów parterowych i drewnianych. Nowy-Świat za całą ozdobę miał pałac Zamojskich, a przed nim posąg Kopernika. Od ulicy Chmielnéj do placu Św. Aleksandra ciągnęły się niskie domki drewniane, za placem było już tylko pole, przez które szła szosa do Belwederu, gdzie mieszkał Wielki Książę Konstanty, naczelny wódz wojska polskiego.

Przyjechawszy do Warszawy, stanąłem w zajeździe na Starém Mieście, przebrawszy się z drogi, poszedłem do wujowstwa Czarneckich, którzy mieszkali w pałacu Małachowskich. Wujenka mnie przyjęła bardzo serdecznie, a dowiedziawszy się, że stanąłem w zajeździe, w ten moment kazała mi przenieść się do nich. Na drugi dzień posze-

dłem w odwiedziny do Józefa Brezy, zastałem go z kilku kolegami nad rozwiązaniem jakiegoś zadania matematycznego. Po przywitaniu i pozaznajomieniu z kolegami, Józef Breza, który był dużo starszy odemnie, chcąc mnie wziąć na frycówkę, zaproponował rozwiązanie zadania, a że zawsze miałem zdolność do téj nauki, pamięć zaś była jeszcze świéża z odbytych niedawno nauk, więc pomyślawszy trochę, łatwo je rozwiązałem. Tym sposobem wkupiłem się do ich towarzystwa, a skoro się dowiedzieli, że przyjechałem zaciągnąć się do wojska, zaczęli mnie namawiać, abym wstąpił do kwatermistrzowstwa. Ale do generalnego sztabu trudno się było dostać, a i utrzymanie trzeba było miéć dostatnie, na co mi brakło funduszów. Poszedłem więc do generała Lewickiego z listem od Chylińskiego, generał bardzo mnie grzecznie przyjął, zaproponował mi zaciągnąć się do jego dywizyi, obiecując swoją protekcyę. Nie podobała mi się powierzchowność Lewickiego, podziękowawszy więc grzecznie za propozycyę, prosiłem o czas do namysłu.

Kiedy dowiedzieli się o mojéj wizycie u Lewickiego wujowstwo Czarneccy i Breza, ostrzegli mnie, że generał używał w wojsku złéj opinii, nie wiedziałem więc co zrobić. Tymczasem wujenka prosiła swego szwagra Krukowieckiego, aby mnie pomieścił w swojéj brygadzie. Za zgodą więc Krukowieckiego, zostałem przeznaczony do 6-go liniowego pułku piechoty, wchodzącego w skład jego brygady.

Generał Lewicki, dowiedziawszy się o tém, był bardzo na mnie rozgniéwany i miałem z tego powodu dużo przykrości, ale zostawiam to na późniéj.

Ci, co pochodzili ze szlachty, wstępując do wojska, otrzymywali galonki na pogonach. Stare wiarusy, których w wojsku było dużo, na te galonki patrzyli nieprzyjaźnie, gdyż wojsko polskie formowane było po większéj części z ostatków dawnych legionów Dąbrowskiego i żołnierzy księcia Józefa Poniatowskiego.

Wiedząc więc o tém usposobieniu staréj wiary, galonków nie przyjąłem, na czém dobrze wyszedłem, obudziło to w nich dla mnie sympatyę z pewną przytém względnością, wyrażającą się uszanowaniem.

Robienia bronią nauczyłem się bardzo prędko, jak również i maszerowania, gdyż za nieprzyjęcie galonków stary wiarus feldfebel, którego miałem za instruktora, z całą grzecznością i starannością oddał się na moje usługi. Po miesiącu więc nauki, stanąłem w szeregach 6-go mirowskiego pułku, nie jako rekrut, lecz jako żołnierz, znający mustrę dobrze.

Z tego właśnie czasu przypomina mi się jeden wypadek, który zdarzył się w parę miesięcy po zaliczeniu mnie do czynnych szeregów; niezmiernie przykre sprawił on na mnie wrażenie w samym początku zaczęcia mojéj karyery wojskowéj.

Za moich czasów żołnierz, który był na szyldwachu, nie miał prawa, chociażby nawet wśród największéj sloty, wchodzić do szulerhauzu (budki), przy któréj zwykle stał, a gdzie wisiał płaszcz, który wolno było nałożyć na siebie tylko przy wielkim bardzo zimnie, i to za pozwoleniem oficera warty.

Zaciągnęliśmy wartę, w skład któréj pierwszy raz wszedłem, na szosie młocińskiéj przy rogatkach powązkowskich.

Była jesień, dészcz mrzył, zwany powszechnie kapuśniakiem, chłód był przejmujący. Tylko co zostałem zluzowanym z warty, żołnierz, który stanął na mojém miejscu, po odejściu patrolu, wszedł do budki, schroniwszy się od dészczu i nałożył płaszcz.

W téj chwili ujrzał jadącego Wielkiego Księcia Konstantego, który jeździł zawsze w czerwonym koczu, zaprzężonym w cztery konie w poręcz, co koń wyskoczy. Wielki Książę bardzo często osobiście rewidując wszystkie placówki, zjawiał się zwykle znienacka, z bocznéj ulicy, aby go nie postrzeżono zdaleka.

Żołnierz jednak stojący w téj chwili na warcie, niejaki Ciesielski, ujrzawszy podjeżdżającego Wielkiego Księcia, momentalnie wyskoczył z budki, sprezentował broń i wczas zamknął szlabaum. Wielki Książę Konstanty, który miał wzrok niezmiernie bystry, zdaleka dostrzegł, że żołnierz nie stał przed budką, lecz był w budce. Równocześnie z podjazdem Księcia, dobosz uderzył apel, straż wystąpiła i sprezentowała broń. Wielki Książę unosił się zwykle strasznym gniewem, kiedy dostrzegł chociażby najmniejsze uchybienie karności wojskowéj, więc téż i teraz wpadł w wielki gniéw. Zwymyślał dyżurnego oficera za nieporządek, kazał mu zdać komendę sierżantowi, a samemu iść pod Białego-Orła, oddać szpadę dyżurnemu oficerowi i pójść do aresztu na czterdzieści ośm godzin.

Żołnierza zaś stojącego na szyldwachu kazał zluzować, zdjąć z niego liderwerki i mundur, a przywoławszy z warty dwóch żołnierzy, kazał im bić winnego po plecach płazem gołemi tesakami, ci bili go wprawdzie, lecz wymierzając razy, pamiętali o tém, że to kolega. W téj chwili nadjechał konny patrol kirysyerów gwardyi, Wielki Książę go zatrzymał, kazał zleźć dwom żołnierzom z koni i bić płazem pałaszami winnego, jakoż ci go nie żałowali, i po kilkunastu uderzeniach biédny Ciesielski upadł na ziemię, a krew mu buchnęła ustami. Wielki Książę

Konstanty w ten moment wsiadł do powozu i nie dawszy żadnego rozkazu, odjechał do Belwederu.

Tymczasem żołnierz leżał na ziemi, gdyż bez rozporządzenia Księcia nie wolno go było ruszyć z miejsca. Wieść o tém piorunem się rozeszła, pierwszy przyleciał na miejsce generał placu Aksamitowski, za nim generał Wincenty Krasiński, dla dowiedzenia się co i jak było. Po małéj chwili, wpadł, jak burza, Staś Potocki, adjutant księcia, z osobistym jego doktorem.

Wielki Książę, przyjechawszy do Belwederu, kazał zawołać swego lekarza i rzekł mu:

— Przy rogatkach powązkowskich leży żołnierz ukarany przezemnie; pamiętaj, że jeśli on umrze, ty pójdziesz na Sybir! Ruszaj!

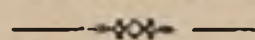
Jakoż doktór tak starannie chodził koło chorego, że ten nie umarł, ale został kaléką na całe życie, mając kość pacierzową nadwerężoną. Książę Konstanty, dowiedziawszy się o tém, naznaczył mu pensyi dwa dukaty dziennie ze swéj osobistéj szkatuły, które Ciesielski miał pobiérać aż do śmierci.

(*D. c. n.*)



MISTRZ WIT.

(OBRAZEK ŚREDNIOWIECZNY.)



Burmistrz i rajcy miejscy do siebie wezwali
Mistrza Wita. Nieśmiało wszedł do pysznéj sali,
Z trwogą i drżeniem ledwo wzniósł zamglone oko,
Przezacnym dostojnikom skłonił się głęboko
I rzekł przycichłym głosem: — Miłościwy panie
I wy, sławetni męże, na wasze wezwanie,
Jak kazaliście, staję... wzdyć jam waszym sługą.

Ze złośliwym uśmiechem burmistrz patrzył długo,
Szyderczo mrużąc oczy, wreszcie rzekł: No, stary,
Podobno żaków dzierżysz bez bojaźni kary.
Kto przejdzie mimo szkoły, gdzie twe siedzą smyki,
Słyszy szmer jako w ulu, wrzawę, nawet krzyki,
Do domów dziwne figle znoszą pacholęta
Miast uczonéj nauki—widać ich nie pęta
Twoja karność—a może téż i mądrość cała
Z twoich ksiąg i z twéj głowy dawno wywietrzała
I już dla dziatwy naszéj warta mniéj od bobu
Wyłuskanego.—Słuchaj... gdy nie masz sposobu
Innego, nie szczędź ręki, weź się do feruły;
I człek starszy i dzieciuch zawsze bardziéj czuły
Na ból, niźli na mądrość—zwykle większa waga
W słowach mistrza, gdy smykom grzbiety batóg smaga.

I Pismo radzi rózgę dla upornéj dziatwy.
Więc widzisz, w karbach trzymać żaków sposób łatwy.
Po ojcowsku ich chłostaj bez żalu i sromu,
Na to ci szlemy synów, by mieć spokój w domu.

Jeśli ci dłoń osłabła i już nie podniesie
Batoga—trudno—wszakże można zawsze w lesie
Drew nabrać do wyboru jakich tylko chcecie;
Tyś jest mistrz doświadczony, lecz niejeden w świecie,
Szukając niezbyt długo w piśmienników tłumie,
Znajdziem prędko takiego, co pismo rozumie
I w głowę dziatwie włoży wszystką mądrość z księgi,
A krnąbrni i leniwi zyszczą sine pręgi
Na plecach.—Jeśli nie chcesz stracić kęsa chleba,
Ucz i ćwicz naszą dziatwę tak, jako potrzeba.
Jeżeli snadź stargały lata twoje siły
I już trud szkolny tobie ciężki i niemiły,
W miejskim szpitalu znajdzie się kąt i dla ciebie,
Za twe zasługi będziesz na łaskawym chlebie.
Młodszy twe miejsce weźmie. Nie tajnoć nikomu,
Na to trzymamy szkołę, by mieć spokój w domu.

Skończył. Mistrz błędném okiem wodzi na wsze strony
Po tém poważném gronie—snadź wielce ździwiony
Uszom nie wierzy własnym. Wstrząsł się, jakby szyja
Zrzucała ciężkie brzemię, i rzekł: Lat już mija
Pięćdziesiąt, jak szkolne niosę wciąż mozoły;
Chadzali jeszcze ojce wasi do méj szkoły,
I was uczyłem niegdyś, dzisiaj uczę syny.
Słyszeliście me słowa, widzieliście czyny.
Wszak wpajałem wam mądrość wciąż w łagodném słowie,
Nawet groźbą nie strasząc. Niech z was każdy powie,
Zaświadczyć moglibyście choć przed samym Bogiem,
Że nie działałem nigdy krzykiem, ni batogiem.
Bicz zgania bydło z pola, oścień pędzi muła,
Czyż się tak wasza dziatwa ze wstydu wyzuła,
Że niememu bydlęciu i zwierzowi równa?
Wszakże umysł i serce kształcić to rzecz główna.
Czyż myślicie, iż może serce mnie nie boli,
Że się młódź coraz bardziéj lubuje w swawoli,
Niż do mądréj nauki, do niéj ochotniéjsza?

Nieraz aż drżę ze strachu, że się dzisiaj zmniéjsza
Zapał dla dobra, piękna. — Ja sam w pacholęce
Lata słuchałem mistrzów, a ci nigdy w ręce
Nie piastowali bicza, godnego pastucha,
Łagodnie przemawiali do naszego ducha,
A karność była zawsze. Pomnę ja Fulkona,
Słynnego mistrza—jak dziś widzę go—zgarbiona
Postać od ksiąg i pracy, stuletni dziad, brodę
Miał bielutką... głos cichy. Swawolniki młode
Jak go czciły, szacunkiem przejęte i sromem!
Samo zmarszczenie czoła było dla nas gromem,
A wyrzut w starca oczach przeszywał jak strzały.
Nigdyby ciosy bicza mocniéj nie działały,
Niż jego mądre słowo... Co to się dziś stało,
Że dobrych słów dla szkolnéj młodzieży zamało,
Że tylko się przed grubą mocą giąć gotowa,
Tego już nie zrozumié moja siwa głowa.
Wiem tylko... gdym był żakiem, panowie sławetni,
Fulkonam czcił i słuchał, acz był dziad stuletni.

Mistrz smutny i zgnębiony wychodził z ratusza,
Dziwnemi się myślami targała w nim dusza,
Ulicą kroczył z głową w myślach zatopioną
I nie widział, że stało swawolników grono,
Wśród nich synek burmistrza, żaczek niedorosły.
Szydził i mówił z śmiechem: — Bylibyśmy osły,
Gdybyśmy się go bali, towarzysze moi;
Wszak burmistrza i rajców on się bardziéj boi,
Aniżeli my jego. Niech choć skrzywi palec,
Poskarżymy się ojcom... zobaczy zuchwalec,
Hołysz nędzny—płaszcz zdarty ma na starym grzbiecie,
W domu ksiąg całe stosy, półgroszek w kalecie.

Słów tych mistrz nie uslyszał, bo szedł w zamyśleniu;
Ciężki smutek był w jego duszy i spojrzeniu,
Niby kamień, przygniatał serce ból niezmierny,
Mówił więc sam do siebie: — Boże miłosierny,
Tegoż musiałem jeszcze dożyć w mym żywocie!
Czyż na to się trudziłem ciągle w czoła pocie,
Bym usłyszał, że cała moja praca marną?
Czyż siałem w młode dusze niedość czyste ziarno?

Albo snadź książek moich mądrość już w istocie
Zwietrzała? Albo może nie umiem o cnocie
Tak prawić, by poznały ją młode umysły?
Trzeba będzie z sumieniem swém rachunek ścisły
Odrobić. Człowiek wciąż się uczy aż do zgonu.
A jednak jakże ciężko pomyśléć, że plonu
Już nie przynoszą teraz pilne moje trudy!
Mówiono... ustąp młodszym. Mogę bez obłudy
Wyznać, żem bywał zawsze z obowiązkiem w zgodzie.
Choć się lat tyle ćwiczę w uczonym zawodzie,
Dożyłem tego tylko, że mię dziś uznali
Za brzemię: tego miasto nieść nie zechce daléj.

Wtém jakiś nieznajomy stanął mu na drodze,
Zatrzymał go za rękę i rzekł: — Ja przychodzę,
Ażeby ci pokazać, czego przez lat tyle
Nie widziałeś; więc zanim odpoczniesz w mogile,
Musisz i to zobaczyć jeszcze. Milcz i bacznie
Patrzaj na widowisko, które wnet się zacznie.

Kto to był, czy czarodziéj, czy z niebios zesłany
Anioł? Dość, że gdy skinął, wszystkich domów ściany
Przejrzystemi się stały, Wit pierwszy raz w życiu
Obaczył, co się dzieje w domowém ukryciu.

Widział, jak w jednym domu szalała biesiada;
Każdy kielichem trącał o kielich sąsiada,
A skoro winem dobrze zagrzały się głowy,
Potoki popłynęły wnet bezwstydnéj mowy.
Niedorostki po kątach zapatrzeni cali
Baczniéj niż nauk mistrza słów niecnych słuchali.
Wtém ktoś od stołu krzyknął: — Chodźcie tu, chłopięta!
Napijcie się téż trochę... niech każdy pamięta,
Jakeśmy się tu dzisiaj rozkosznie bawili;
Wino weseli dusze, księga zwykle myli,
Prawda na dnie kielicha wina albo wódki.
Główna rzecz użyć życia, bo żywot jest krótki.

W drugim domu zebrani nie pili, nie jedli,
Choć liczném gronem w koło wielki stół obsiedli.

Kostki na stół padały—w oczach błyszczą żądze,
Źli, osłupiali patrzą, jak zewsząd piéniądze
Gospodarz zgarnia. Przy nim synek stanął mały,
Za kośćmi zadziwione oczy wciąż biegały;
Ojciéc zaśmiał się głośno i rzekł: — Moje dziecię,
Przypatrz się, jak to bywa na tym bożym świecie.
Najmędrszy człowiek tego z książek nie wyczyta,
Co w jednéj chwili da mu kostka, gdy nie pyta
I za fortuną ślepą puści się w pogoni.

Gdzieindziéj szczere złoto w ręku ojca dzwoni.
Wziął na kolana synka i uważnie liczy
Zysk, który mu dzień każdy przynosi w zdobyczy.
—Patrz, patrz synu—powiada—z czasem wszystko będzie
Twojém... bogaczem będziesz... pomnij wżdy i wszędzie,
Że główna rzecz piéniądze... najbardziéj uczony,
Skoro hołysz, nie znajdzie miru i wzgardzony
Żyć będzie. Przed bogaczem gną się wszystkie grzbiety,
W nim widzą cnotę, mądrość i wszelkie zalety;
Główną rzeczą piéniądze.

W przepysznéj komnacie
Zasiadł w krześle pan burmistrz w szytéj złotem szacie:
Dziecku, co stało przed nim, prawi: — Synku luby,
Ucz się, boś teraz młody... nie na to, byś chluby
Z mądrości szukał z czasem. Na co się to zdało?
Do szkoły chodzisz, więc się ucz... lecz tego mało;
Coś więcéj jeszcze musisz wziąć sobie do głowy,
Byś miał, jako ja miałem, gościniec gotowy
Do mienia i dostojeństw Widzisz, mój kochany,
Kto chce iść coraz wyżéj, musi jak lis szczwany
Oglądać się przebiegle w téj świata obierzy,
Rozważać dobrze, co się komu tu należy.
Pomnij, że przed wyższymi kiedy kark się zgina,
To wolno niższych cisnąć... przecież to ich wina,
Że nie stanęli wyżéj. Trzymałem się zawsze
Owéj zasady mądréj, przez to wżdy łaskawsze
Dla mnie niźli dla innych były możnych względy,
Przez to na coraz wyższe piąłem się urzędy.
Możesz pójść jeszcze wyżéj... świat nie jest pustynią...
Może cię nawet radcą królewskim uczynią,

Skoro mieć będziesz zręczność i miedziane czoło;
Świat już tak się koleją toczy ciągle w koło.
Kto się płaszczy przed wyższym, depcze tych, co w dole.
Tego ci najuczeńszy mistrz nie rzeknie w szkole.

Gdzieindziéj się natrząsa błazeńsko chłopaczek
Ze starszych, bluzga głupstwy, plecie niby szpaczek,
A rodzice się cieszą: — Rozumek poczyna
Objawiać niepowszedni dowcipny chłopczyna.
Mieć będziemy pociechę z téj dzieciny naszéj,
Zobaczycie, iż w życiu nie da zjeść się w kaszy.
Dzielnie, synku... tak daléj, bo się temu dzieje
Dobrze w życiu, kto innych zwiedzie i wyśmieje.

Wszędzie kładziono w głowy dzieciom takie rady,
Popierane zazwyczaj własnemi przykłady,
Że mądrość ksiąg dla szkoły tylko;... dla żywota —
Dostojeństwa i zyski... jak najwięcéj złota,
Bo ono daje rozkosz, szczęście i znaczenie;
Bez nich ludzie są niby bezcielesne cienie.
Nikt nie mówił, że mądrość przybliża do nieba;
Jeśli kazał się uczyć, to dla kęsa chleba,
Albo téż, żeby wynieść się i ojca stanem
Pogardzić.

— Ucz się, chłopcze, będziesz z czasem panem,
Nie będziesz, jak ja, teraz ciężkim walił młotem,
Synkowi prawił kowal.—Indziéj zlany potem
Szewc, trzewiki szyjący, prawił w słowa czułe
Dziecku, że mu nauka może dać infułę,
Albo biret z piórami, szatę w świetne farby,
Lub sztukę, jak gromadzić w kiesie własnéj skarby,
Choć z cudzéj pracy, kosztem sumienia i duszy.

I zasłonił mistrz oczy, w niezmiernéj katuszy
Rwało się tkliwe serce, piersi ból głęboki
Rozdzierał, łez z pod dłoni płynęły potoki.
— Dość już, dość tego! wołał—nie chcę widzieć więcéj,
Inne nauki daję... w duszy pacholęcéj
Budziłem zawsze miłość dla piękna i cnoty,
Żądzę dobra i zapał, a wstręt do brzydoty.

Teraz wiem, czemu praca moja jest tak marną,
Poznałem, gdzie ten szatan, który czyste ziarno,
Zanim kiełkować pocznie, do szczętu wyplenia.
Ach, widzę dobrze wszystko, a na dnie sumienia,
Jak gad w gęstwie ukryty z sykiem przeraźliwym,
Wypełza smutna prawda, wyrzutem złośliwym
Piersi mi kąsa, mówiąc:—Ślepych ślepy wodzi!
Zna mądrość ksiąg, nie widząc, co zgorszenie rodzi
I co z żywota fałszów w młodzież sączy jady,
Nie szkoła uczy dziatwę, lecz starszych przykłady.

Nazajutrz nadaremnie zebrane chłopięta
Kołatały do szkoły; ta była zamknięta.
Mistrz Wit poszedł na ratusz, tam położył klucze,
Burmistrzowi i rajcom rzekł:—Dłużéj nie uczę
Waszych dzieci, sławetni, bo na cóż się zdały
Moje ciężkie mozoły, w których żywot cały
Stérałem? Jakiż bowiem plon mojéj nauki?
Od ojców gorsze syny, stokroć gorsze wnuki!
Ni me gorące słowa, ni uczone księgi
Nie wszczepiają w nich cnoty; silniejszéj potęgi
Moc każdy zasiew dobry natychmiast wyplenia,
Więc będą rosnąć coraz gorsze pokolenia!
Idę schronienia szukać gdzieś pod inném niebem,
Nie będziecie mnie żywić swym łaskawym chlebem,
Który mi rzucać chcecie jako psu pod progiem;
Nie będę małych dzieci chłostać wam batogiem,
Choć się według słów waszych mądrość w nim zamyka.
Weźcie parobka z młyna, pastucha, mulnika,
Niech ci wam biją synów. Wy karmicie sami
Zwierza w ich piersiach słowy swemi, przykładami,
Macie słuszność... poskramiać zwierza trzeba biczem,
Bo dla zwierza czém słowo i ksiąg mądrość? Niczém!
Wieki złożyły w księgi nauki obficie.
Cóż, gdy nie szkoła dziatwę uczy, ale życie!

Bronisław Grabowski.



Hoffmann von Fallersleben.

W bieżącym roku obchodzą Niemcy uroczyście setną rocznicę urodzin poety, który—o ile z popularności jego imienia wnosić można —zajmuje pierwsze miejsce śród politycznych pieśniarzy tego kraju z przed lat pięćdziesięciu. Rozgłos ten, najzupełniéj zresztą zasłużony, zawdzięcza on zbiorkowi poezyi, p. t „Pieśni niepolityczne," złożonemu z ulotnych zjadliwych wierszyków, wyśmiewających współczesne stosunki społeczno-polityczne. Jak wiadomo, Hoffmann von Fallersleben został za ogłoszenie tego zbiorku pozbawiony zajmowanéj przezeń katedry w uniwersytecie wrocławskim, przytém naraziło go to na długie prześladowanie ze strony policyi pruskiéj. I nic dziwnego: starano się bowiem usilnie naówczas o usunięcie z piśmiennictwa wszystkiego tego, coby mogło drażnić i tak już podnieconą opinię publiczną—a pod tym względem „Pieśni niepolityczne" istotnie należą do najniebezpieczniejszych płodów współczesnéj muzy. Ustępują im nawet piosenki Herwegha, ponieważ te daleko mniéj rozprzestrzeniły się śród ludu, w kołach mieszczańskich i rzemieślniczych, kędy wszędzie przeniknęły jadowite pociski pieśni Hoffmanna. Inaczéj się sprawa ta przedstawia, jeśli zwrócimy uwagę na estetyczną ich wartość. W tym wszakże celu należy zastanowić się nad istotą i rozwojem całéj jego twórczości poetyckiéj.

Jak wiadomo, Hoffmann von Fallersleben jest nie tylko jednym z najpłodniejszych i najbardziéj popularnych poetów, lecz zajmuje równie zaszczytne w nauce stanowisko, jako badacz języka i starożY-

tnéj literatury niemieckiéj; sama nawet jego poezya zrodziła się i wzrosła w téj atmosferze, która otaczała pieśniarza od lat młodzieńczych, owiewając go tchnieniem dawno minionych czasów. W dziejach poezyi niemieckiéj spotykamy się z całym szeregiem takich poetów, dla których studya naukowe były ścieżką do poezyi prowadzącą—i odwrotnie: w szeregach mężów nauki również spotykamy niejednego bojownika, któremu laur poetycki, w latach młodzieńczych zdobyty, był podnietą do pracy na inném polu, mającéj zapisać jego nazwisko w księdze najbardziéj zasłużonych. W nielicznych tylko wypadkach studya naukowe łączą się i uzupełniają nawzajem z talentem poetyckim, jak to ma miejsce u Hoffmanna von Fallersleben.

W pracach swych nad dziejami piśmiennictwa poeta, jak wiadomo, najbardziéj zajmował się przejściowym okresem, od czternastego do siedmnastego wieku: a więc epoką, w któréj szczera, prosta poezya pieśni ludowéj walczyła o lepsze z filisterską płytkością majsterzyngerów i pedantyczną rozwlekłością pseudo-uczonych rymopisów. To téż i w poezyach Hoffmanna odnajdujemy szczerość i prostotę, połączone z pewną ociężałością filisterską i zaściankową trzeźwością. Z jednéj strony przejął on od pieśni ludowéj polot wiersza, dźwięczny rym oraz naiwność i świeżość treści, z drugiéj strony spotykamy w nim pewne lubowanie się w gadatliwości i płytkości, pewną parafiańszczyznę myśli i uczuć, co jak najżywiéj przypomina mieszczańskich *quasi* uczonych rymopisów wyżéj wymienionéj epoki. Cała jego twórczość poetycka jest żywém odbiciem tych dwu ustawicznie ze sobą ścierających się elementów owego okresu, których żywym przedstawicielem jest podobnież sam poeta, rozmaitemi miotany losy, na różne wystawiany przygody, napoły uczony, napoły trubadur, oddychający kurzem bibliotecznym, to znowu wonném letniém powietrzem, zatopiony w książkach, to znowu drogą wiejską z kijem w dłoni i tornistrem na ramionach wędrujący, lub téż w gronie kompannów w gospodzie, na ławie, przed szklenicą wina rozwalony—ostatni wędrowny pieśniarz poezyi niemieckiéj. Żaden ze współczesnych poetów tego kraju nie może się poszczycić taką melodyjnością wiersza, w żadnym z nich skowronek pieśni ludowéj nie znalazł tak wiernego i rozgłośnego echa—jak w Hoffmannie von Fallersleben. Wielce również znamiennym jest fakt, że ze wszystkich poetów niemieckich, nie wykluczając Uhlanda, Geibla, a może nawet i Heinego, niczyje poezye nie dostarczyły tylu tekstów do kompozycyi muzycznych, co jego utwory, oraz że niczyje pieśni, „na skrzydłach śpiewu" niesione, nie rozpowszechniły się tak śród ludu, jak to stało się z wierszami Hoffmanna. Wprawdzie istnieje pewna, mająca pretensyę do nieomylności, krytyka estetyczna, która fakt ten przyjmie

pogardliwém wzruszeniem ramion: śród ludu, czyli inaczéj powiedziawszy, w przekładzie na język zwyczajny — w knajpach studenckich, za stołem domów mieszczańskich, na rzemieślniczych zgromadzeniach — a cóż to znaczy? My ze swéj strony, nie mając bynajmniéj zamiaru określać wartości poety, wyłącznie podług paragrafów estetycznego kodeksu, jesteśmy przeciwnego zdania, że znaczy to bardzo wiele i że jest to piękniejsza i bardziéj pełna sławy nieśmiertelność żyć śród ludu w krótkiéj bezimiennéj pieśni, niż w pięknéj oprawie, będąc zaopatrzonym we wstęp i przypiski, spoczywać w bibliotecznéj szafie naszych uczonych na to, by być przedmiotem podziwu dla zbierających rzadkie i piękne wydania.

Nie ulega wszakże wątpliwości, że Hoffmann von Fallersleben nigdyby się nie cieszył takiém uznaniem, ani téż nie zdobyłby takiéj popularności, gdyby nie cechowały poetyckiéj jego twórczości owe pierwiastki filisterskiéj natury, o których mówiliśmy powyżéj. W każdym typowym Niemcu tkwi kawał filistra — poeta umiał z godną podziwu przenikliwością poruszać słabe jego strony; a może téż i w samym poecie tkwi kawał niemieckiego filistra, dzięki czemu niemiecki ogół czytający poczuł się duchowo mu pokrewnym. Właśnie ta łatwość, z jaką poeta tworzył swe pieśni, oraz niezwykła ich śpiewność doprowadziły go z czasem do pewnéj powierzchowności i niedbalstwa, zarówno w wyrazie jak i wyborze treści. Granica pomiędzy popularném a trywialném jest trudna do przeprowadzenia i właśnie Hoffmann von Fallersleben nie zawsze umiał się na niéj utrzymać. Że jednak ta przymieszka trywialności i parafiańszczyzny, jak widzimy, wyjaśnia się genezą jego rozwoju poetyckiego, uważać tedy będziemy słabe i trywialne miejsca za niezbędne cienie w zupełnie zresztą jasnym i pełnym życia obrazie jego twórczości.

Téż same pierwiastki składowe odnajdujemy i w politycznych poezyach Hoffmanna von Fallersleben; tu występują one jeszcze jaśniéj niż w innych jego utworach, co w części tłómaczy się niezwykłym pośpiechem, z jakim poeta w przeciągu paru lat z rzędu w jednę i tę samą strunę uderzał. I właśnie trywialność oraz parafiańszczyzna najwięcéj przyczyniły się do ich powodzenia. Jeżeli Herwegh ze swym podniosłym, mniéj lub więcéj bezprzedmiotowym zapałem, z błyskotliwością swych obrazów i pysznym polotem był właściwie poetą ówczesnéj młodzieży, Hoffmann von Fallersleben jest natomiast przedstawicielem zdrowego rozsądku ze wszystkiemi jego dodatniemi i ujemnemi stronami, a więc z jego jasnością, prostotą, zaufaniem w sobie samym, lecz i z jego ograniczonością oraz wielu innemi przesądami. Herwegh wypowiada nadzieje, wzbierające w piersi ówczesnéj młodzieży; przez

usta Hoffmanna von Fallersleben przemawia gniéw, który na widok tylu niewłaściwości rozpłomieniał umysły zupełnie zresztą spokojnych ludzi i który, aczkolwiek lubił przyoblekać się w humorystyczne formy, niemniéj wszakże był gniewem. Po roku 1848-ym gniéw ten przestał maltretować ministrów i zwrócił się w inną stronę. Po wypadkach marcowych niemiecki filister zapomniał o tém, co mu przed marcem dokuczało; nie myślał również o tém, albo téż umyślnie zapominał, że nie ten jest podpalaczem, co pierwszy do ognia wzywa, lecz ten, który bez dozoru wióry przy ogniu pozostawił. Wogóle tłum poszukuje źródła choroby swéj w tém miejscu, które go boli właśnie—nic więc dziwnego, że po wypadkach marcowych zarzucił demokratów, mówców klubowych, parlament i rząd temi samemi obelgami, które w przedmarcowych czasach w zupełnie inną wymierzał stronę.

Naturalnie, iż twórca „Pieśni niepolitycznych" był zbyt uczciwym człowiekiem i zbyt rozumnym patryotą na to, by pieśń swą poświęcić na usługi krzykaczy. Nie pozostało mu więc nic innego jak zawiesić na kołku lutnię pieśni politycznych. Jak to już wyżéj powiedzieliśmy, liryce politycznéj w czasach pomarcowych wogóle brakowało tematów, szczególniéj zaś pieśniom Hoffmanna von Fallersleben. Zestawialiśmy już tego poetę z Herweghiem i rzeczywiście stoją oni obaj na biegunach osi, dokoła któréj obraca się polityczna liryka niemiecka z przed lat pięćdziesięciu. Zestawienie to daje się łatwo w dalszym ciągu przeprowadzić i ujawnia wiele ciekawych szczegółów; przytaczamy tu jeszcze jeden.

Kiedy Herwegh wystawia na swym sztandarze wielkie hasła: wolność, narodowość, samorząd miejski i t. d., jakkolwiekbądź w oświetleniu nie zupełnie jasném, polityczna muza Hoffmanna von Fallersleben wyłącznie ma na względzie ściśle określone przedmioty i rzeczywiste zdarzenia. Herwegh jest abstrakcyjny aż do fantastyczności, konkretność Hoffmanna z trywialnością graniczy. Herwegh wywiéra najsilniejsze wrażenie przez swą namiętność, Hoffmann — przez oschły sarkazm; tamten porywa nas burzliwym polotem swoich ód, ten rozśmiesza drobnemi, żartobliwemi anegdotami. Herwegh wzywa do walki, dając za tło swym bogatym w kolory i porywającym obrazom olbrzymie boje narodów, mające stanowić o ich przyszłości; Hoffmann von Fallersleben, jak każdy zresztą politykujący parafianin, nie widzi nic daléj po za koniec swego nosa, — drobne, domowe utarczki z władzami miejskiemi stanowią dlań najulubieńszy materyał i z nich to, raczéj w zabawny niż w dowcipny sposób, wysnuwa liczne swe żarty i figielki.

Wszakże utarczki te rychło się zakończyły—gdzie zaś nie zakończyły się, tam prowadzono je daléj z takiém rozgoryczeniem, że wobec niego zamilknąć musiały drobne złośliwe docinki poety. Niebawem téż poszedł on za przykładem pokrewnego mu duchem patrona, niemieckiego filistra: zarzucił politykowanie i w czasach powszechnego niepokoju założył sobie domowe ognisko, którego cisza po długich przygodach i wędrówkach tém większą musiała go przejąć rozkoszą.

I oto z tego domowego ogniska, którego urok, z nadejściem męskiego wieku, znalazł jeszcze spotęgowanie w małżeństwie, nieustający w pracy poeta wysyła w świat książkę po książce — to studya naukowe, to znowu zbiory pieśni, które, aczkolwiek bynajmniéj nie odznaczają się „niepolityczną" tendencyą, zawsze umieją znaléść drogę do serca narodu.

W pieśniach tych jest on znowu wędrownym pieśniarzem, który z wesołą na ustach piosenką w świat rusza, zbiérając kwiaty po drodze, zérkając na piękne dziewczęta, przedewszystkiém zaś nie opuszczając żadnych drzwi, nad którémi „Bóg rozciągnął swe ramię". Zdrój jego pieśni nic nie utracił ze swéj pełni i świéżości. Z tym samym pośpiechem, z jakim przedtém następowały po sobie „Pieśni niepolityczne", „Krople Hoffmanna" i t. d., teraz wybiegają w świat: „Pieśni miłosne", „Pieśni z Weimaru" i t, d., wszystkie w takim samym wdzięcznym formacie, w jakim niegdyś pieśni zabronione krążyły z rąk do rąk, a raczéj od serca do serca. Pomijając pośmiertne ośmiotomowe najkompletniejsze wydanie pism poety (Berlin, 1890—1893), za wystarczające do scharakteryzowania jego twórczości uważać można czwarte wydanie „Poezyi" z r. 1853. Jest to prawie zupełny zbiór dawniejszych jego utworów, z wyjątkiem poezyi politycznych; że zaś te dodają tylko parę nieznacznych rysów do charakterystyki Hoffmanna, śmiało więc rzec możemy, iż wydanie to jest obrazem całéj jego twórczości poetyckiéj.

A twórczość ta wywiéra jaknajkorzystniejsze wrażenie. Nie ulega wątpliwości, że Niemcy posiadają poetów większéj głębi górnieszego polotu, lecz niewielu z nich zasiewa pieśnią swą podobnie zdrowe i silne ziarno, jak Hoffmann von Fallersleben. Nic w nim nie dźwięczy fałszywie; śpiéwa zawsze wtedy, gdy śpiéwać musi, i śpiéwa zawsze tak, jak umié, i czujemy to jaknajwyraźniéj, iż z licznych jego pieśni słuchaczy największą rozkoszą przepełnia ona samego poetę. Śmiało porównać go możemy z krzepką latoroślą szczepu winnego, która korzenie swe zapuściła w serce każdego Niemca; ni burze, ni słoty, ni żar

słoneczny nie złamią jéj, ni téż nie zwarzą jéj owocu; silny i zarazem łagodny, poważny i wraz z tém wesoły, a zawsze szczery i prosty, łączy Hoffmann von Fallersleben w poezyi swéj wszystko to, co jest drogie dla każdego Niemca, jego najwybrańsze radości, najbardziéj gorzkie cierpienia i najdroższe nadzieje; gdyby należało, tak jak niegdyś, każdemu z poetów dawać przydomek, określający najbardziéj charakterystyczne jego właściwości, Hoffmannowi przystoi miano „Niemca.”

Uważamy za zbyteczne wymienianie na tém miejscu licznych tytułów pojedyńczych zbiorków poezyi przezeń ogłoszonych. Zwracamy tylko uwagę na dwa, które, aczkolwiek nie dają nowych przyczynków do charakterystyki poety, z innych wszakże względów na to zasługują. Są to mianowicie „Pieśni miłosne” (1851) i „Świat dziecięcy w pieśni” (1852). Pierwszy z nich rozpoczyna odwrót Hoffmanna von Fallersleben z pola poezyi politycznéj i jest, właściwie powiedziawszy, niejako jego wyznaniem, iż odtąd herweghowską „Tragedyę wolności” zamienić zamierza na „Idyllę niewolnictwa”, w któréj kwitną róże i śpiewają słowiki, kędy dziewczęta, od róż piękniéjsze, szepczą słowa, słodsze od pieśni słowiczych. Trzeba było pewnéj na to odwagi, by po odniesieniu tak wielkich sukcesów w roli poety politycznego, zniżyć się do pospolitego rodzaju pieśni miłosnych. Zdobycie się na tę odwagę przynosi zaszczyt poecie, zwłaszcza w owych czasach pojawienia się jego „Pieśni miłosnych,” na których, bezpośrednio po wstrząśnieniach rewolucyjnego okresu, ciążyło piętno pogardy i lekceważenia. Zdrowe zapatrywania poety, tak właściwe jego naturze, nie podzielały tych przesądów; miłość uważał on za siłę, rządzącą światem, łączącą wszystkie żywioły i, jako taką, za niewyczerpany, nieśmiertelny temat dla poezyi.

Atoli i w tych „Pieśniach miłosnych” przejawia się wyżéj już omówiona dwustronność jego natury poetyckiéj, ze znaczną wszakże dla polotu i fantazyi przewagą. Podobnież, jak poeta mówi o bohaterce pieśni swych, „Joannie,” że w miłości dla niéj wzeszła mu nowa rozkoszna wiosna, tak pod promieniami tego czystego i szlachetnego ukochania rozwinęły się z nową, iście wiosenną siłą wszystkie czyste i szlachetne uczucia jego duszy, i prawie w każdéj z tych pieśni znalazły najczystszy i najszlachetniejszy wyraz. Nie bije z nich szturmujący w niebo i gwiazdy nadmiar pierwszéj namiętności młodzieńczéj: jest to prosta, szczera, spokojna miłość męska, która właśnie dzięki prostocie, spokojowi i męskości tém silniejsze wywiera wrażenie; więcéj w niéj jest żaru, niż płomienia, więcéj ciepła, niż blasku. Taką towa-

rzyszy ona poecie przez walkę z życiem, w któréj niejeden cios z rąk przeznaczenia mu zagraża, nie odbierając siły, lecz przeciwnie krzepiąc moc jego i męstwo.

W zupełnie inny ton uderza poeta w drugim swym zbiorze, zatytułowanym „Świat dziecięcy w pieśni,” co dla wielu zwolenników jego talentu prawdziwą było niespodzianką. Trudno bowiem napozór pogodzić się z myślą, że właśnie Hoffmann von Fallersleben jest twórcą poezyi dla dzieci: on, co był urodzonym śpiewakiem życia włóczęgi, nieznającego troski o jutro—on, co podobnież jak Walther von der Vogelweide poznał tyle krajów, najniespodziewaniéj poświęca najpiękniejsze natchnień swoich kwiaty—dzieciom? Ten pieśniarz, tak wysoko niegdyś szybujący, który miał w kołczanie i szyderstwo pieśni politycznéj i wesołą śpiewkę biesiadniczą, zna-li zagadkowy świat dziecięcy, posiada-li czarowną sztukę rozwiązywania jego drobnych, a tak nieraz trudnych do pojęcia tajemnic?

Wprawdzie kto zastanawiał się nad rozwojem talentu Hoffmanna von Fallersleben, lub téż przynajmniéj poświęcił odrobinę uwagi wyżéj przez nas podanéj jego charakterystyce, ten odnajdzie niebawem blizkie pokrewieństwo, zachodzące pomiędzy tym nowym kierunkiem jego poezyi, a charakterystyką całéj twórczości. Toż pieśń ludowa musi być uważana za rodzoną siostrzycę pieśni dla dzieci, nie dziw więc, że ten, co ją do życia obudził, równie dobrze mógł odczuć świat dziecięcy i jego pragnienia.

Właściwie wszakże i te prace poety dla dzieci stanowią również charakterystyczny rys jego istoty. Poczynają się dość wcześnie i są w ścisłym związku, podobnież jak i cała jego twórczość poetycka, z jego naukowemi studyami, zwłaszcza zaś z badaniami prastarych niemieckich pieśni ludowych. Ponieważ zaś zbierał on i badał nietylko jako uczony, lecz również jako poeta, nie wystarczała mu więc martwa litera pieśni, lecz wraz z jéj tekstem starał się ocalić od zagłady duszę jéj, t. j. melodyę. Toż sam poeta nigdy chyba nie napisał pieśni, którąby się sama nie prosiła o podłożenie pod muzykę; jakże więc nie mógłby się interesować temi dawno przebrzmiałemi melodyami, które poetom przed laty do wtóru ich pieśni towarzyszyły.

Do tego naukowego i muzykalnego zainteresowania się przedmiotem dołączyło się z biegiem czasu i pedagogiczne—a raczéj stało się dwu pierwszych wynikiem. Sam poeta otwarcie przyznaje się do tego. Zachwycony prostemi, nieraz przedziwnie pięknemi melodyami ludowemi, które starym pieśniom towarzyszą, próbował napisać do nich nowe słowa; żeby zaś właśnie wzrastające pokolenie mogło się przyczynić do ocalenia od zagłady tego skarbu, dopisane do tych melodyi słowa zastoso-

wał dla dzieci. Prawdziwy poeta na wszystko ważyć się może: na skinienie téj saméj różdżki czarodziejskiéj, która oczom jego objawiała najgłębsze zagadnienia, w piersi człowieka ukryte, otworzył się przed nim po raz wtóry utracony już raj dziecięcego świata i nauczył go tego słodkiego gwaru, który nie umié jeszcze nadać myślom odpowiedniego wyrazu, a jednak tak wiele wypowiada. Naszemu poecie tém szczęśliwiéj właśnie udało się zachować ową prostotę dziecięcéj mowy, że sam nic jeszcze nie utracił z prostoty i naiwności uczuć i zapatrywań i że sam jeszcze miał w piersi iście dziecięce szczere serce, to poważne i roztropne, to znów skłonne do psot i igraszek.

Pierwsze jego pieśni dla dzieci ukazały się w roku 1836, zyskując ogólne uznanie i wielkie rozpowszechnienie. Skłoniło to poetę do wydania w roku 1843 następnego ich zbioru wraz z akompaniamentem fortepianowym; po dwóch latach znów wyszedł nowy zbiorek, zaś w roku 1847 pojawił się zbiór ostatni. Następnie niejednokrotnie, i to w licznych wydaniach, ukazywały się wybory tych pieśni. Zaprowadzone w wielu szkołach, stały się odtąd główném źródłem dla mnogich tego rodzaju wydawnictw, do użytku młodzieży przeznaczonych. W każdym świeżo wychodzącym zbiorze nie brak pieśni Hoffmanna von Fallersleben, podznaczonych nazwiskiem autora, lub téż podanych bezimiennie.

Rozproszone po rozmaitych zbiorach zebrał sam autor i wydał w roku 1852, p. t. „Świat dziecięcy w pieśni.” Wprawdzie w książce téj nie znajdujemy już melodyi, lecz brak ten nie jest tak dotkliwy, jakby się napozór zdawać mogło, ponieważ same pieśni odznaczają się taką śpiewnością, że melodya sama przez się na ustach się zjawia. Nieraz nawet dostrzedz się daje, iż dzieci, nie mające o muzyce najmniejszego pojęcia, przy deklamowaniu tych pieśni pomimowoli podchwytują pewną melodyę, która wprawdzie nie daje się pogodzić z wymaganiami harmonii, wyraża wszakże doskonale korzystne ich oddziaływanie na umysł dziecięcy.

Co się zaś tyczy saméj treści tych pieśni, śmiało o nich rzec można, że zamykają w sobie cały skarbiec świata dziecięcego, poczynając od pierwszego wołania kukułki, a kończąc na ślizgawce i śnieżnym bałwanie, od frygi i konia na kiju aż do pierwszych bucików, w których młoda latorośl z dumą paraduje; nie brak tu i dąsów rozkapryszonego dziecka, i łez serdecznych nad świeżą matki mogiłą. Jedynie poeta niepospolitéj głębi uczucia umié się tak wcielić w kształt zapatrywań i wrażeń dziecięcych.

Te pieśni dla dzieci pisane, jakkolwiekbądź małéj pod względem estetycznym wagi, są właściwie jednym z najpiękniejszych kwiatów w wieńcu, którym potomność ozdobiła skronie poety; nigdzie tu prostota nie idzie w parze z czczością, ani téż jasność z trywialnością; wszędzie czuć uszlachetniające tchnienie prawdziwéj poezyi.

Pieśniarz, co kawał świata w życiu przewędrował, tyle widział krajów, miast i ludzi, tyle przygód przeżył, dziś już pod mogilną spoczywający pleśnią, co rok w dzień gwiazdki święci w ojczyźnie zmartwychwstanie swoje w pamięci tych, co się wykołysali i wzrośli przy słowach jego pieśni.

R. P.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

„Einfluss auf das Geschlechtsverhältniss.“ Von dr. Leopold Schenk, Professor an der K. K. Universität und Vorstand des Instituts für Embryologie in Vien. Verlag von Schallehn und Wollbrück. Magdeburg und Vien. 1898.

Niecierpliwość publiczności, zaintrygowanéj sensacyjną wiadomością o „odkryciu” profesora Schenka, została wreszcie zaspokojoną. I zdaje się, że niecierpliwość ta przyśpieszyła znacznie ukazanie się książki w handlu księgarskim. Wrażenie odniesione z lektury potwierdza również domysł. Znać ogromny pośpiech w traktowaniu tematu. Pominąwszy już styl i język, które wobec doniosłości przedmiotu muszą zejść na drugi plan krytyki, stwierdzi każdy czytelnik, choćby nawet laik, niezwykłą dorywczość w pracy. Autor zapomina niemal całkiem, co przed chwilą napisał. Powtarza się, gmatwa, raz pisze zbyt popularnie, to znowu zbyt naukowo, językiem fachowym, który tylko kolega-lekarz zdolny zrozumiéć. Napieranie, nacisk nakładców jest widoczny w każdém zdaniu. Znać pisanie na obstalunek, czuć, że kartka mokra jeszcze wprost z pod pióra szła do rąk zecera. Wszystko to fakty rażące, chociaż godne usprawiedliwienia. Nakładca, jako kupiec, nic dziwnego że chce wyzyskać sensacyę i zrobić na zaciekawionéj publiczności najlepszy interes. Profesor Schenk z swéj strony miał również słuszność, chcąc wydobyć się z fałszywego położenia, w które dostał się dzięki krzykliwéj reklamie prasy brukowéj. Istniał z początku zamiar, aby dzieło dotyczące tematu powyższego (wpływ na rozwój płci) opracować fachowo i oddać do oceny akademii umie-

jętności w Wiedniu. Tak przynajmniéj głosił profesor Schenk, skoro tylko rozeszła się pierwsza wieść o jego „teoryi”. Oznaczył nawet w przybliżeniu termin doręczenia téj pracy rzeczoznawcom, a mianowicie w jesieni r. b. Intrygującém było tylko jego uporczywe milczenie w omawianéj kwestyi. Nie chciał udzielić najmniejszych szczegółów. Reporterów zbywał najbanalniejszemi ogólnikami. Przed ukazaniem się książki wiedziano tylko tyle, że profesor Schenk wpływa na rozwój, względnie na zmianę płci u noworodka przez odpowiednią dyetę. Na czem ta dyeta polegała, o tém nie wiedziano. Lepiéj powiadomieni wiedzieli tylko tyle, że to przepisane odżywianie dotyczy tylko kobiety, nie mężczyzny. I na tém kończyły się informacye. Jako dowód skuteczności téj metody, podał profesor niezbity, bądź co bądź, fakt, że ma sześciu synów, „bo sobie nie życzył córki.” Powiadał nadto, że w czternastu wypadkach, gdzie miał sposobność przeprowadzić ściśle swą metodę, osiągnął zawsze rezultaty pomyślne. W ilu wypadkach, w których również zastosował swą metodę, wyników dodatnich nie osiągnął, o tém reporterya nie wspominała. Jakkolwiek zatém szczegóły były skąpe i cała sprawa przerażająco ciemna, rezultat faktyczny reklamy był ten, że praktyka profesora Schenka wzrosła olbrzymio. Nie mógł wprost dać sobie rady z „pacyentkami,” szukającemi porady w swéj tęsknocie za męskiém potomstwem. Pisma humorystyczne miały z tego powodu niewyczerpany temat. Co do publikacyi fachowo-lekarskich, te od pierwszéj chwili zajęły stanowisko wyczekujące, nie kryjąc się zresztą z sceptycyzmem. Zarzucano Schenkowi, że o teoryi swéj dał nasampierw znać pismom brukowym, jak gdyby mu chodziło tylko o zysk i reklamę. Niemniéj jednak traktowano samą kwestyę nadzwyczaj poważnie. Zasadniczo nie odmawiano prawdopodobieństwa jéj rozwiązaniu. Doświadczenia poczynione w hodowli zwierząt domowych, sztuczny dobór i odpowiedni pokarm zastosowany w tym względzie wykazały, że w wielu razach osiągnięcie szukanego rezultatu nie jest niemożliwém. Wnioskowano, że teorya Schenkowska musi prawdopodobnie opierać się na spostrzeżeniach osiągniętych w téj dziedzinie. Zastosowanie jéj u ludzi mogłoby w najlepszym razie dać skutki o tyle pomyślne, o ile mogą je dać wogóle doświadczenia wypróbowane w innych działach medycznych u zwierząt, a potém zastosowane do ludzi. Prorokowano więc z góry, że nie należy się spodziewać ostatecznego rozwiązania kwestyi rozwoju płci, lecz w najlepszym razie nowych interesujących spostrzeżeń w tym kierunku, mogących popchnąć daléj badania w dziedzinie embryologii i przyczynić się pośrednio do rozwiązania téj najważniejszéj kwestyi biologicznéj—kiedyś, w dalekiéj przyszłości...

Sceptycyzm ten okazał się zupełnie słusznym, jak o tém świadczy leżąca przed nami broszura. Liczy 109 stronic wielkiéj ósemki. Na bronzowéj okładce widnieje na odległość kilkudziesięciu metrów czytelny napis: „Theorie Schenk.” Jest to sensacyjny tytuł, zredagowany specyalnie przez nakładców. Tytuł dany przez autora, a umieszczony na następnéj białéj kartce, zamieściłem w nagłówku. W dosłownym przekładzie polskim oznacza „wpływ na wzajemny stosunek płci.” Nie powiada zatém nic o doniosłości tego wpływu, czy jest wielki lub mały. Napis skromny, jakim jest zresztą ton, utrzymany w całéj książce. Znać uczonego, który dzięki mozolnym badaniom osiągnął pewne rezultaty, ale ani ich doniosłości nie przesądza, ani z nich nie jest dumnym.

Większą połowę broszury, bo 62 stronic na 109 druku, poświęca autor dokładnemu przeglądowi teoryi i prac istniejących w tym dziale embryologii. Profesor Schenk sięga aż w starożytność i wyraża się w słowie wstępném dosłownie o swych poprzednikach w sposób następujący: „Spostrzeżenia, które poczynili i opisali inni, przyczyniły się znacznie do ułatwienia mi postępu w obranym kierunku i doprowadziły mię tak daleko, że począłem silić się, by wydrzeć naturze tajemnicę... Ten drobiazg, który zdołałem wywalczyć, skłonił mię do spisania na następnych kartkach tych rezultatów, którym może przecież nie brak pewnéj wartości. Była to praca powolna, pochłaniająca przez lata całe mą uwagę. Wobec ciągłego zajęcia w dziedzinie embryologii, musiała pozostawać na drugim planie, gdyż moja praca zawodowa, poruszająca się w daleko większym zakresie, pochłaniała mi najznaczniejszą część czasu. Celem mym jest zachęcić do dalszéj pracy w tym kierunku, i czego sobie życzę, to tego, aby przytoczone przezemnie *fakty* stały się pożytecznemi i wznieciły zapał do dalszych badań na tém polu przy użyciu współczesnych pomocniczych środków naukowych. Jeśli nawet nie jesteśmy w stanie opanować zjawisk natury, toż możemy w każdym razie wywrzéć na ich przebieg mniejszy lub większy wpływ, by wydobyć z niéj dla siebie udział możliwie największy... Książka niniejsza zawiera tylko cząstkę wielkiéj i bogatéj literatury, poświęconéj temu przedmiotowi. Sięga ona tak daleko wstecz, jak daleko sięga praca umysłowa rodu ludzkiego. Do wiadomości, podanych przez innych, dołączone są metody badania i uwagi, służące do wyjaśnienia faktów, a zaś na końcu pomieszczony jest ustęp, poświęcony méj własnéj metodzie, którą polecam, gdy chodzi o sztuczny wpływ na rozwój płci, a która oparta jest na osobistych moich spostrzeżeniach... A teraz niechaj ta mała książeczka idzie w świat i głosi mą ideę, opartą wyłącznie na faktach.”

Teorya Schenkowska da się streścić w tych kilku słowach: Aby osiągnąć dziecię płci *męskiéj*, należy wpłynąć na przemianę materyi w organizmie matki o tyle, aby w urynie nie znajdował się wcale cukier, lecz jak największa ilość substancyi redukujących. Co do noworodków płci żeńskiéj, profesor Schenk nie zna odpowiedniego sposobu, w jakiby należało wpłynąć na organizm matki.

W badaniach swych wyszedł profesor Schenk z założenia, iż organizm potrzebuje zawsze do swego utrzymania pewnéj ilości ciał białkowatych. Spożyte białko albo osadza się w organizmie, albo ulega spaleniu i zostaje wydzieloném.

Ten proces przemiany materyi odbywa się u ludzi chorych na cukrówkę o tyle nieprawidłowo, że zużywa się u nich stosunkowo więcéj białka, niż u ludzi zdrowych, i białko to następnie odchodzi z uryną w formie cukru. Otóż profesor Schenk zauważył, iż kobiety chore na cukrówkę („zuckerkranke Frauen") wydają na świat przeważnie potomstwo płci żeńskiéj. Po bliższém zbadaniu tego zjawiska, doszedł autor do wniosku, że tylko brak odpowiedniéj ilości białka wpłynął na osłabienie pierwotnego płodu, przez co nie mógł zeń powstać silny embryon płci męskiéj. Domysł ten poparty jest nadto i tym faktem, że wogóle u kobiet proces wchłaniania ciał białkowatych jest słabszy, niż u mężczyzn. Zatém, jako środek zasadniczy, uważa profesor Schenk wprowadzenie do organizmu przyszłéj matki jak największéj ilości białka i usunięcie z wydzielin cukru.

Aby ten cel osiągnąć, przepisuje autor odpowiednią dyetę, w któréj skład wchodzi jak największa ilość substancyi białkowatych, jak mięso, ryby i t. p., a z któréj wykluczonemi są pokarmy, zawierające nadmiar węgla, jak cukier, leguminy etc.

Przy badaniu stanu organizmu matki, baczyć należy również na ilość redukujących substancyi w urynie, jako to: kwas moczowy, kreatynina i farbiki moczowe. Schenk zauważył w urynie matek zwiększoną ilość tych substancyi przed porodem dziecka płci męskiéj.

Dalszym rezultatem badań jest i ten przepis, aby do każdéj kobiety, poddającéj się kuracyi, zastosować czysto indywidualną metodę odżywiania. Jedna recepta dla wszystkich może, zdaniem profesora, osiągnąć skutki najrozmaitsze, czasem wprost przeciwne. Należy zatém dopóty próbować, aż się wreszcie właściwą, najodpowiedniejszą metodę wynajdzie. Od zdolności lekarza zależy dłuższe lub krótsze trwanie tych prób. Pokarm odpowiedni będzie wtedy dopiero, gdy mocz nie będzie wykazywać nawet najdrobniejszych cząstek cukru i gdy ilość redukujących substancyi wzrośnie. Wtedy można z pewném prawdopodobieństwem liczyć na noworodka płci męskiéj. Nie jest

więc absolutnie koniecznėm, aby matka, chcąca porodzić chłopca, jadła dużo mięsa i inne potrawy zawierające białko, lecz cała kwestya polega na tém, jak organizm wobec tych pokarmów się zachowa i jak wypadnie proces spalania spożytych pokarmów.

Zdaniem profesora Schenka, kobieta, pragnąca męskiego potomstwa, musi poddać się przynajmniéj miesiąc przed poczęciem ścisłéj lekarskiéj obsérwacyi. Wogóle im wcześniéj przed poczęciem obserwacya lekarska się rozpoczyna, tém większe staje się prawdopodobieństwo pomyślnego rezultatu. Skoro lekarz uzna funkcye organizmu za prawidłowe i wolne od wszelkich anomalii, mogących pacząco wpływać na proces trawienia, przystępuje do analizy moczu. Jeśli znajdzie w nim cukier, musi wszelkiemi środkami dążyć do usunięcia tego objawu; dopóki go nie osiągnie, dalsza kuracya metodą Schenka byłaby bezcelową.

Uwolnienie uryny od cukru jest fundamentem całéj metody, bez niego ani kroku daléj. Skoro jednak warunek ten zostanie spełnionym, natenczas zadaniem lekarza jest przepisanie pokarmów, odpowiadających organizmowi danego indywiduum.

Ta obserwacya i konsultacya lekarza trwać powinna w zupełności, co najmniéj, cztery miesiące: miesiąc przed poczęciem i trzy po niém. Otwiera się więc dla lekarzy nowe bogate pole praktyki.

Między luźnemi uwagami, rzuconemi w tekst dla wyjaśnienia prawdopodobieństwa metody, znajdują się niektóre nadzwyczaj interesujące. Np. fakt niezbity, że po latach złego urodzaju rodzi się więcéj chłopców niż dziewcząt. Powód tego zjawiska widzi profesor Schenk w tym również niezbitym fakcie, iż dla braku paszy większa stosunkowo ilość bydła idzie na rzeź, przez co mięso tanieje i staje się dostępniejszém dla uboższéj ludności. Z własnéj praktyki przytacza wypadek, gdzie pewna matka ośmiu dziewcząt porodziła wreszcie syna, gdy poddała się jego metodzie leczniczéj. Inna kobieta porodziła, zastosowując metodę Schenka, sześciu synów; siódmém dzieckiem była córka, ponieważ matka zaniechała jego metody.

O krytyce fachowców nie piszę. Jedni odrzucają wprost zapatrywania Schenka, np. prof. Ernest Haeckel, inni uważają je za możliwe. Większość—jak zwykle—waha się.

Mnóstwo ciekawych szczegółów, nadających się albo do pism fachowych, albo też do rozprawy obszernéj—pomijam. Jednak, ktokolwiek weźmie broszurę prof. Schenka do ręki, będzie-li lekarzem czy profanem, znajdzie w niéj mnóstwo pouczających szczegółów, które rozświetlą mu niejedną kwestyę. Nauka w każdym wypadku zyskuje. Choćby broszura ta była jedynie kompilacyą, wystarczy, że zwraca

uwagę na przedmiot tak doniosły i pobudza do nowych badań i rozpraw. *Karol Bicz.*

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— **Teki A. Pawińskiego.** Tomów 4, Warszawa, 1897 r. — Przedwczesna śmierć prof. Adolfa Pawińskiego pozbawiła nas dzielnego a niestrudzonego pracownika na polu dziejów ojczystych. Jak wiele nauka na tém straciła, trudno orzec; wnosić należy, że nieodżałowany autor „Rządów sejmikowych”, który do ostatniéj chwili życia nie wypuszczał pióra z ręki, obdarzyłby nas niezawodnie niejedném dziełem szacowném. Przekonywa nas o tém obfity zbiór nagromadzonych materyałów, na których zapewne miał osnuć swe przyszłe prace; obecnie materyały te ukazują się w druku pod ogólnym nagłówkiem: „Teki A. Pawińskiego”. Dotychczas zostały wydane 4 tomy, zawierające dokumenty z czasów Jagiellonów. — Tom I-szy mieści w sobie księgę skarbową króla Aleksandra Jagiellończyka („*Liber quitanciarum Alexandri regis*”), od 1502 r. (kwiecień) do 1506 r. (sierpień) i rzuci zapewne niemałe światło na dzieje panowania tego króla, tak mylnie, a tak różnorodnie sądzonego przez historyków. — Tom II-gi również dotyczy dziejów skarbowości i nosi tytuł: „*Liber quitanciarum regis Casimiri*” (Księga skarbowa króla Kazimierza Jagiellończyka); zawiéra ona kwity, wydane różnym osobom w imieniu króla przez kanclerza Krzesława z Kurozwęk, dziekana gnieźnieńskiego, od lutego 1484 r. do października 1487 r. Ciekawych czasów Kazimierza Jagiellończyka ś. p. prof. Pawiński dotykał już w kilku swych dziełach („Sejmiki ziemskie”, „J. Ostroroga żywot i pismo”); być może, że na podstawie materyałów, zawartych w tych dwóch pierwszych tomach „Tek”, zamierzał on napisać studyum o skarbowości za Jagiellonów, tak jak przedstawił jéj dzieje za Stefana Batorego. Spis alfabetyczny osób i miejscowości *(index personarum et locorum)*, dodany do każdego z tomów, pomaga oryentować się w nagromadzonym materyale.—Dwa następne tomy tyczą się innéj dziedziny życia społecznego—sądownictwa. Są to: zawarte w tomie III-im „Tek”—„Księgi sądowe ziemskie Łęczyckie” *(Liber Lanciciensis)*, od 1385 do 1397 r., a w tomie IV-ym: 1) „Księga sądowa ziemska Orłowska” *(Liber Orloviensis)*, od 1389 — 1410 r., 2) „Księga sądowa ziemska Brzezińska” *(Liber Brzezinensis)*, od 1398—1420 r. i wreszcie 3) „Księga grodzka Łęczycka” (*Liber ca-*

stri Lanciciensis), od 1390 do 1400 r. — Wydanie tych materyałów niemałe przedstawiało trudności; np. księga Łęczycka składa się z luźnych kartek, t. zw. *dissoluta*, oprawionych w niewłaściwym porządku; gdzie były daty, przywrócenie właściwego porządku było łatwiejszém; gdzie zaś żadnych wskazówek chronologicznych nie znaleziono, trzeba było kierować się innemi danemi, jak kolor atramentu, charakter pisma i t. d. Przytém wiele kart, np. z téjże księgi Łęczyckiéj, szczególniéj z r. 1395, uległo takiemu zniszczeniu przez uszkodzenie brzegów i rogów, spłowienie atramentu, a nawet braku kilku czy kilkunastu kart, iż wiele spraw nie dało się wcale odczytać. — W każdym razie mamy przed sobą sporą wiązankę materyałów, które niezawodnie przyczynią się do wyświetlenia ciemnych stron przeszłości naszego narodu, a które oczekują tylko na należyte ich wyzyskanie. Jak widzimy z adnotacyi, dołączonéj do IV tomu „Tek", świéżo zmarły prof. L. Malinowski wypracował studyum językowe, oparte na licznych rotach przysiąg i poszczególnych glosach polskich, znajdujących się w tekście „Ksiąg Łęczyckich"; studyum to pomieszczone będzie w V tomie „Tek" wraz z indeksami do tomów III i IV. Pozostaje więc opracowanie krytyczne wewnętrznéj strony wydanych materyałów; nie wątpimy, że i to wkrótce nastąpi. — Wydawnictwu, rozpoczętemu w imię nauki a tak pożytecznemu dla tych, co będą chcieli zbadać głębiéj wewnętrzne dzieje Polski za Jagiellonów, rokować należy jak najlepsze przyjęcie. *H. G.*

= **Dramata i komedye** *Adama Bełcikowskiego* (Tomów pięć. Kraków, 1898, nakładem autora, str. 343, 308, 216, 269, 266). — Oddalony od życia niewielkiego miasta Krakowa, w zacisznem, prawie wiejskiém ustroniu, pracuje Adam Bełcikowski, wzbogacając od czasu do czasu literaturę naszą dramatyczną nowym utworem. Tematy wybiéra zazwyczaj z historyi polskiéj, starając się odtworzyć i utrwalić sławniejsze postaci, których czyny pozostawiły pamięć w narodzie. — Na wyobraźnię poetycką autora wpłynął nieszczęśliwy Bolesław Śmiały, wpłynął król Mieczysław II, bohatérską śmiercią poległy Władysław Warneńczyk i ostatni z potężnych władców — Jan Sobieski. („Jan Sobieski pod Wiedniem"). Imiona te służą zarazem za tytuły dramatów Bełcikowskiego, z których najgłośniejsze są: „Król Bolesław Śmiały" i „Król Mieczysław II". — Pomysł zwłaszcza pierwszego wspaniały. Fantazya i fakta historyczne znakomicie przyszły z pomocą autorowi: dwie potęgi naprzeciw siebie postawione — Stanisław, przedstawiciel Kościoła na ziemi Bolesławowéj, dopuści raczéj do klątwy, do burzy piekielnéj, złamie monarchę, odbierze dzielną rękę narodowi, strąci Śmiałego na dno przepaści straszliwą bronią swéj władzy, aniżeli

—w imię prawdy i zasad przez siebie głoszonych — ustąpi. „Bolesław Śmiały” i „Mieczysław II” — za najgłówniejsze pośród prac Bełcikowskiego uważane być muszą. Chociaż i te dramata, które „słabszemi” nazywać zwykliśmy, ze względu na wielkie i genialnéj potęgi wymagające temata i osoby, inną miarą krytyki cenione być muszą. W tych zaś, gdzie akcya zbyt słaba, tam opisy wspanialsze.—Nie chcę, ani mogę poddawać rozbiorowi wszystkich utworów Bełcikowskiego. Znane są bezwątpienia czytelnikom naszym prace w tym przedmiocie pióra Piotra Chmielowskiego („Nasza literatura dramatyczna”, Petersburg, 1898), — tutaj nasunęły mi się drobne uwagi z powodu nowego wydawnictwa „Dramatów i komedyi”, ułożonych w porządku następującym: Tom I—„Hunyady”, „Kmita i Bonarówna”, „Adam Tarło”, „Król Donżuan”. Tom II—„Nie jesteśmy sobie nic winni”, „Wizyta pana Feliksa”, „Dwaj Radziwiłłowie”, „Francesca di Rimini”, „Protegujący i protegowani”. Tom III—„Król Mieczysław II”, „Focyusz” (po raz pierwszy opublikowany). Tom IV—„Król Władysław Warneńczyk”, „Przysięga”, „Król Bolesław Śmiały”. Tom V — „Jan Sobieski pod Wiedniem” (poraz pierwszy), „Korona Lechów” (również) „U kolébki narodu”.—Dzieła zasłużonego autora obejdą się bez szablonów pochwalnych. *L. R.*

— **Księgi humoru polskiego** (Zebrał, ułożył i objaśnił *Kazimierz Bartoszewicz*. Wydanie ozdobione portretami i autografami humorystów i satyryków polskich. Petersburg, nakładem księgarni K. Grendyszyńskiego, tomów cztery, str. 339, 336, 332 i 328). — „Księgi humoru” zebrane zostały dla czytelników, którym historya literatury obcą nie jest. Wydawnictwo to ma wyższość nad znanemi „Perłami humoru polskiego” z tego względu, że może służyć za zbiór wybitniejszych satyr, żartów i dowcipów, dając zarazem obraz całości od wieku XVI aż do r. 1860 go. Powiedziałem: żartów, dowcipów i satyr, gdyż humor szczerze polski w nich się tylko zawiérał. Był to humor rubaszny, oparty często na konceptach. Pisarze okresu Stanisławowskiego, jak Krasicki, Trembecki i in., zaszczepili w naszéj literaturze humor wzorowany na pseudoklasycyzmie francuskim, chociaż i oni nie wykluczają humoru czysto polskiego, właściwego narodowi. Dowcip subtelniejszy wyrabia się u nas już w drugiéj połowie XIX-go stulecia. Spotykamy go w „Panu Tadeuszu” (opisy Hrabiego, niektóre urywki rozmów Telimeny z Tadeuszem); spotykamy ten subtelny uśmiéch u Sienkiewicza. Ale — jak wspomniałem — współczesnych nam wyjątków w „Księgach humoru” nie znajdujemy; większość — to rubaszny humor pana Zagłoby: „Zdechnę ja i pchły moje...” — Zabytki humoru pol-

skiego złożyły się na całość czterech tomów, a wybór pochwalić należy. Tom I-szy rozpoczyna wiek XVI-ty: Klemens Janicki w epigramatach łacińskich przez Syrokomlę na język polski przełożonych, Rej Mikołaj w „Wizerunku człowieka poczciwego", w „Pzypowieściach przypadłych", „Dworzanin" Górnickiego, Jan Kochanowski, Bartosz Paprocki, Marcin Bielski, Sebastyan Klonowicz. Marcin Błażowski rozpoczyna wiek XVII-ty i tak chronologicznie, zakończony anegdotami Salomona Rysińskiego. Wiek XVIII-ty zawarty w tomie II-im: Wyjątki z „Nowego Ezopa polskiego" przez Jana Stan. Jabłonowskiego,— zamknięty nazwiskami znanemi szerokiemu gronu: Naruszewicza, Krasickiego, Trembeckiego, Węgierskiego, fragmentami z komedyi Zabłockiego, wreszcie „Sprzeczkami" Jakóba Jasińskiego. Oprócz tych, zwrócił autor uwagę — i słusznie — na niektóre satyry ks. Gracyana Piotrowskiego. Wiek XIX-ty rozpoczyna tom III-ci imionami satyryków pseudoklasycznych. Tom IV-ty zawiéra na wstępie niektóre bajki Mickiewicza („Zaloty", „Golono-strzyżono", „Pchła i rabin", „Przyjaciele") i balladę p. t. „Pani Twardowska". Po Mickiewiczu wyjątki Alexandra Fredry, epigramatycy i epigramata autorów nieznanych, wreszcie bajki i wogóle utwory humoru: Górnickiego, Majeranowskiego, Kraszewskiego i in. — chronologicznie, zakończone „Piosenkami i satyrami" Artura Bartelsa. — Wypadało wspomnieć i wybrać kilka wyjątków z „Momusa" Aloizego Żółkowskiego, w którym to zbiorku pomieszczone zostały urywkowo i okolicznościowo pisane żarty i zagadki, a cieszące się wielką popularnością współczesnych Żółkowskiemu. *L. R.*

— *Maryan Jasieńczyk.* **W Wielgiem** (Powieść współczesna. Petersburg, 1898, nakładem księgarni K. Grendyszyńskiego, str. 512). — Po przeczytaniu kilkudziesięciu stronic ostatniéj powieści Jasieńczyka, p. t. „W Wielgiem", czytelnik uprzedza się trochę do treści i bohatérów utworu, znajdując znowu parę małżeńską i zdradę, tylokrotnie spotykane w powieściach i nowelach naszych beletrystów. Ale uprzedzenie to mija po „wczytaniu się". Tło powieści—wieś i jéj stosunki wewnętrzne ze znajomością i prawdą odtworzone zostały. Gwara ludowa i zwyczaje wystudyowane. Bohatérowie — stary Musiała, mąż płochéj i urodziwéj Magdzi i ona sama, zarówno inne figury utworu: Franciszkowa, Kasia i in.; stosunki wiejskie, słowem całe życie wsi znalazły w Jasieńczyku malarza utalentowanego i bystrego obserwatora, a plastyka, z jaką powieść napisana, każe zapominać o głównéj intrydze utworu, pozwalając z zaciekawieniem śledzić za jego całością. — Na obronę autora i to dodać należy, że stosunki na tle pożycia mał-

żeńskiego osnute spotykaliśmy w beletrystyce przeważnie z życia klasy t. zw. inteligentnéj; jak się one przedstawiają u ludu — pokazał Jasieńczyk. *L. R.*

= W dniu 18 kwietnia odbyło się posiedzenie **Wydziału historyczno-filozoficznego Akademii Umiejętności**, na którém prof. Dr Piekosiński odczytał rzecz o „Gościach polskich na soborze konstancyeńskim,” opierającą się na głośnéj kronice Reichenthalera, a następnie p. Karol Potkański podał z obszernéj rozprawy, p. t. „Przegląd kwestyi spornych najstarszéj polskiéj historyi,” treść ustępów o „Mitach wielkopolskich” i o „Piaście.”

Nazajutrz odbyło się posiedzenie Wydziału filologicznego, na którém prof. Dr. L. Ćwikliński odczytał rzecz, p. t. „O nowoodkrytych poematach Bakchylidesa.” Opowiedziawszy historyę odkrycia tego zabytku, analizował kolejno znalezione utwory, porównywał je z poezyą Pindara, niektóre z balladami i romansami, określił pokrótce dyalekt, dykcyę i metra pieśni bakchylidesowych. Następnie prof. J. Tretiak przedstawił treść swojéj pracy, p. t. „Zmiana pierwotnego planu i tytułu Grażyny,” i wyjaśnił na podstawie autografu, dlaczego Mickiewicz w ciągu pisania téj powieści zamienił historycznego Korybuta na fikcyjnego Litawora, Kiejstuta na Witolda a Korynę na Grażynę i dlaczego to ostatnie imię zastąpiło w tytule imię Korybuta. Zmiany te w znacznéj części wypłynęły stąd, że poeta z początku zamyślał o napisaniu „poematu z dziejów Litwy”, potém zamiaru tego zaniechał i poprzestał na odtworzeniu tła dziejowego dawnéj Litwy.

= Dnia 2 maja odbyło się posiedzenie **Wydziału matematyczno-przyrodniczego akademii umiejętności**, pod przewodnictwem dyrektora Fr. Kreutza. Na posiedzeniu tém mówił czł. prof. Browicz „w sprawie pochodzenia melanium w nowotworach barwikowych.” Z kolei podał czł. prof. Cybulski Wydziałowi swoją „nową teoryę zjawisk elektrycznych w ustrojach żyjących.” Następnie czł. prof. Kostanecki wniósł pracę p. L. Świtalskiego: „O pozostałościach ciała i przewodu pranercza.” Ostatni referat przedstawił czł. prof. Natanson.

= W przeciągu dwu lat ostatnich śmierć poczyniła dotkliwe szczerby w szeregach naszych poetów. Prawie że w jednym czasie zeszli do grobu hetmani polskiéj pieśni: Asnyk i Ujejski, a z dobrze zasłużonych jéj szeregowców: Waśniewski, Łętowski, Miron i Pomian; zastęp tych ostatnich powiększył obecnie **Bogumił Aspis**, zmarły we Włocławku w d. 23 b. m. nad ranem.

Niejeden z czytelników, znajdując podpis ten pod wierszami, iście wschodnią namiętnością tchnącemi, nie zdawał sobie zapewne sprawy, czy to jest pseudonim, czy też nazwisko poety, czy należy on do starszéj generacyi piszących, czy téż jest jednym z najmłodszych. Nawet i brać poetycka nie wiele powiedziéć by mogła o swym towarzyszu po lutni—poezye jego tak rzadko ukazywały się w druku i przechodziły tak niepostrzeżenie—wiedziano tylko to, że gdzieś, kiedyś, coś w pismach i w oddzielnych książkach drukował, lecz gdzie i co — nad tém nie zastanawiano się; wiedziano i to również, że gdzieś na prowincyi spożywa gorzki chleb nauczycielski i że się do Warszawy na stały pobyt wybiera—o czem nawet i dzienniki w swoim czasie wspominały — dla ogłoszenia drukiem II-éj części „Salvatera" i nieznanego poematu „Eros" oraz dla zebrania rozproszonych po pismach drobnych wierszy. Śmierć stanęła zamiarom tym na przeszkodzie: Bogumił Aspis poezyi swych zebrać nie zdołał, i zostaną one w dziennikarskiéj bibule i na półkach antykwarni, zwłaszcza że i układający wydane w ostatnich czasach antologie poezyi polskiéj zupełném pominęli go milczeniem. A przecież jest on autorem wspaniałéj tragedyi lirycznéj „Sulamita," w któréj tak wysoko wzniósł się na skrzydłach natchnienia, że sam już ten poemat powinien nazwisko poety od zapomnienia ocalić.

Zrodzony w r. 1842 we wsi Tuszowie w powiecie Lubelskim, jako syn nauczyciela języka niemieckiego, po ukończeniu studyów w uniwersytecie moskiewskim i petersburskim ze stopniem kandydata nauk historyczno-filologicznych, obrał sobie również karyerę nauczycielską. Przez długi czas wykładał języki starożytne w gimnazyach warszawskich, poczém wyrwany z prądu życia literackiego i przerzucony na prowincyę, pełnił daléj obowiązki służbowe we Włocławku, aż do wysłużenia emerytury. Czy taka zmudna praca, niezbędna dla zapewnienia chleba powszedniego, mogła sprzyjać rozwojowi twórczości poetyckiéj Aspisa? Na to chyba odpowiadać nie potrzebujemy. Sam poeta w pięknym wierszu, p. t. „Pytanie", drukowanym w r. 1891 w Ateneum, daje doskonały obraz ciągłéj walki z potrzebami życia, nie pozwalającéj mu rozwinąć skrzydeł do lotu. Mógł to uczynić dopiero po wysłużeniu emerytury, na zachodzie dni swoich—lecz wtedy już mu do lotu sił zabrakło. Zapewne również w tym czasie pomyślał o przeniesieniu się na stałe do Warszawy i o zebraniu rozproszonych swych poezyi —wtém przyszła śmierć i udaremniła te zamiary.

Spuścizna literacka po Aspisie dałaby się zapewne w jednym tomie pomieścić. Nie licząc studyów i dorywczo pisanych artykułów literackich, nie posiadających trwalszéj wartości, a pomieszczanych w „Przeglądzie tygodniowym" i „Opiekunie domowym," nie mając ró-

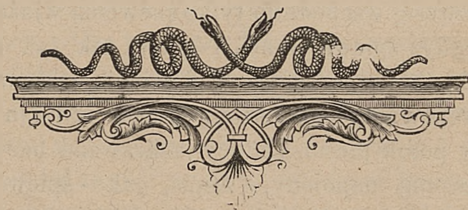
wnież na względzie tu i owdzie ogłaszanych próbek powieściopisarskich i dramatycznych, wymienić należy następujące jego utwory: „Salvater,” poemat epiczny (Petersburg, 1859 r.), „Sen odrodzenia,” poemat (Warszawa, 1869), „Sulamita,” tragedya liryczna (tamże, 1874 r.), „Na cmentarzu,” poemat (tamże, 1876 r.). Z poezyi Aspisa, rozrzuconych po wszystkich prawie miesięcznikach i tygodnikach, szczególniéj zasługują na uwagę następujące: „W Walhalli” (Ateneum, 1880 r.), „Zazdrość i miłość” (Tygodnik mód, 1871 r.), „Urwana powiastka” (Tygodnik illustrowany, 1863 r.), „Do poezyi” (tamże, 1864), „Modlitwa” (tamże. 1866), „Dyogenes” (tamże, 1866), „Pieśni wschodnie” (tamże, 1870 r.), „Przed obrazem Munkaczego” (Kuryer Warszawski, 1886 r.), „Poznanie” (tamże, 1887 r.) i urywek z drugiéj części „Salvatera” (tamże, 1888 r.).

Aspis, którego talent poetycki rozwijał się pod wpływem Słowackiego i Sowy-Żeligowskiego, pragnąc przystosować się do warunków, jakie wtedy młodzież stawiała poezyi, obciążył lot swój analizą psychologiczną i spekulacyami filozoficznemi. Rozwinięty naówczas sztandar wiedzy z wypisaném na nim hasłem „pracy organicznéj” w liczbie wielu innych młodych umysłów i jego ku sobie przynęcił. Może pochlebiała poecie nadzieja zostania pieśniarzem tego odłamu młodzieży, śród którego cieszył się wtedy wielką popularnością — wszakże nie umiał utrzymać równowagi w tém zespoleniu serca z rozumem i pieśni jego w owych czasach powstałe nie umieją porwać ani téż rozpłomienić słuchacza. Natomiast wszędzie tam, gdzie opiewa piękno przyrody i nieśmiertelny czar miłości, wrzącym potokiem tryska gorące, niczem już nie hamowane uczucie. Żywiołem jego są namiętne upojenia i zmysłowość, wschodnim tylko piewcom właściwa. Znać, że tu poeta śpiewa, gdyż śpiewać musi, i śpiewa tak, jak mu własne jego uczucie każe. Zanika tu mglistość wysłowienia, oraz wadliwa budowa strof i wiersza, stanowiąca słabą stronę innego rodzaju utworów Aspisa—płynie czysty potok pieśni, lśniący jaskrawemi barwami i rozkoszną namiętności wonią napojony. Aspis, jako śpiewak miłości, ma prawo do zaszczytnego miejsca w poezyi polskiéj.

Ar. Les.

= W d. 22 b. m. zmarł **Edward Bellamy**, pisarz amerykański, który jednemu dziełu zawdzięcza rozgłos i poczytność na obu półkulach. W r. 1888 ukazał się w Bostonie romans fantastyczny, zatytułowany „*Looking backward 2000 — 1887*” („Rzut oka z r. 2000 na 1887-my”), kreślący z humorem i niepospolitą fantazyą obraz przyszłego socyalnego rozwoju świata. Autor daje w nim konkretny wyraz na-

pozór nieuchwytnym marzeniom utopistów o przyszłych czasach, które znać nie będą ni ubogich, ni bogatych, kiedy ogół, dzięki pracy, będzie korzystał w jednéj mierze ze wszystkich dobrodziejstw cywilizacyi. Obiegło ono świat cały, przełożone na wszystkie cywilizowanych narodów języki; w naszéj literaturze ukazało się w dwu przekładach. — Autor téj fantazyi, urodzony w dniu 29 marca 1840 roku, w Chierpee Fals, w stanie Massachusets, po odbyciu studyów prawnych poświęcił się wyłącznie literaturze. Kiedy rok 1888 przyniósł mu sławę i poczytność, zwrócono dopiéro uwagę na poprzednią działalność piśmienniczą Bellamy'ego, na którą złożyły się trzy utwory beletrystyczne: „*A Nantneket Idyll*" (1877), „*Dr. Heienhoff's Process*" (1850) i „*Miss Ludington's sister*" — żaden wszakże pierwszemu wystąpieniu nie dorównał, aczkolwiek w tym samym pisane są kierunku, z dodatkiem silnego podkładu spirytystycznego. Dwa ostatnie z nich również ukazały się w przekładzie polskim. Idee szerzone w swych powieściach starał się Bellamy rozpowszechniać w tygodniku, wydawanym w Bostonie, p. t. „*The New Nation*", co stało się powodem niejednokrotnych pamfletów i polemik, pisanych ze zwykłą w podobnych razach zjadliwością. Bellamy wykończył przed zgonem drugą część rozgłośnéj swéj fantazyi, która jest obecnie w Ameryce nowością dnia. Zapewne i my niedługo czekać będziemy na przekład jego utworu, noszącego w oryginale tytuł „Równość". *Ar. Les.*



KRONIKA MIESIĘCZNA.

Między sprawami, które prasa nasza wydobyła ostatniemi czasy na jaw, niepoślednie miejsce zajmuje wychowanie młodzieży. Nie mówimy tu oczywiście o nauce szkolnéj i o wpływie moralnym, jaki szkoła na młodzież wywiéra. Przeglądając to, co w pismach warszawskich powiedziano, przekonywamy się, że opinia uczuwa niedostatki wychowania domowego, że, nie mogąc wpływać bezpośrednio na kształcenie umysłu w szkole, chce przynajmniéj, by charaktery młodociane, urabiające się pod wpływem atmosfery domowéj, rozwijały się prawidłowo i z pożytkiem dla społeczeństwa.

Przez ostatnich lat trzydzieści pisano o wychowaniu więcéj, niż kiedykolwiek poprzednio. Na pojęcia pedagogiczne okresów dawniejszych przyzwyczajono się patrzéć z lekceważeniem. Z niezachwianą pewnością siebie przepowiadano, że pokolenia wychowane według nowych systemów, odrobią, w krótkim czasie to, co zmarnowano w ciągu wieków. Pracę rozpoczynano z nadzieją i wiarą.

Dziś, gdy ten przedmiot znowu uwagę powszechną zajmować zaczyna, we wszystkich odzywających się głosach czuć nutę rozczarowania. Co krok spotykamy zdanie, że charakterów wyrasta za mało, że poczucie obowiązku nie zakorzeniło się silnie, że chęć używania wzmaga się stale, i że, o ile nie brak nigdy ludzi żądających posad, o tyle trudno znaléść takich, którzy zajmując je, pełnią sumiennie obowiązki, a kawałek chleba szanować umieją. Coraz częściéj spotkać się można

ze skargą, że młode pokolenie jest pokoleniem malkontentów, nigdy nie zadowolonóm z losu, żadającém zawsze więcéj, niż otrzymać może i wyobrażającém sobie, że mu się jeszcze więcéj należy. W parze z tą skargą słyszéć się daje narzekanie na pewną miękkość charakteru, która sprawia, iż młodzieńcowi coraz trudniéj wytrwać na stanowisku małe dającém korzyści. Miękkość ta jest powodem, iż lepszy kawałek chleba nęci nas zbyt często w strony dalekie, gdzie praca nasza i po wodzenie nasze pożytku własnemu społeczeństwu nie dają.

Silnie jesteśmy przekonani, że w głosach tych niezmiernie wiele jest przesady. Skłonni we wszystkiém do jednostronności, bywamy jednostronni także w ocenianiu pokolenia, które po nas idzie. Przez długie lat dziesiątki było u nas we zwyczaju zachwycać się wszystkiém, co młode. Młodzież angielska, francuska, niemiecka nie wysłuchała nigdy tylu pochwał, tylu zachwytów, tylu uniesień nad sobą, ile ich przypadło w udziale tym warstwom młodzieży, które dziś chylą głowy, przysypane siwizną. Każda późniejsza warstwa wyrastała wśród mniejszych pieszczot otoczenia. Krytycyzm brał górę. Zaczęto częściéj dopatrywać się wad, rzadziéj zalet. Żleby było, gdybyśmy, posuwając się daléj tą drogą, doszli do przesady w kierunku przeciwnym. Jeżeli przesadne pochwały szkodzą, to brak zaufania i podejrzliwość wywiérają wpływ jeszcze gorszy. Nie możemy oszczędzić naszéj młodzieży wielu trosk i bólów, oszczędźmyż jéj przynajmniéj za młodu téj goryczy, jaką sąd niesprawiedliwy w każdym umyśle wytwarza.

Strzegąc się równie przestarzałéj na dzisiejsze czasy czułostkowości, jak i niesprawiedliwych uprzedzeń, śmiemy wypowiedziéć zdanie, że ci, co dziś rozpoczynają życie praktyczne, mogą śmiało wytrzymać porównanie z generacyą poprzednią. Warunki, wśród których biorą się do pracy, nie są godne zazdrości. Jeżeli niekiedy młode ramię w walce omdléwa przedwcześnie, to przed wydaniem wyroku zapytać się godzi, co zrobiło całe otoczenie młodzieńca, by go odpowiednio zahartować?

Chcemy tu zwrócić uwagę na jeden rys naszego charakteru zbiorowego, który odzwierciedla się i na wychowaniu młodego pokolenia.

Wiadomo każdemu, że zachowywanie miary nie jest naszą cnotą. Nie zachowujemy jéj ani w entuzyazmie, ani w rozpaczy; w literaturze, sztuce, pojęciach filozoficznych lubimy się przerzucać nerwowo z jednego ekstremu w drugi. Ten sam brak miary, tę samą skłonność do krańcowości objawiamy w sądzie o ludziach.

Nic łatwiejszego, jak zostać u nas człowiekiem genialnym lub niedołęgą; obywatelem, poświęcającym się na ołtarzu dobra publicznego, lub zdrajcą; wzorem ojca rodziny lub skończonym hultajem. Na drogę pośrednią niesłychanie trudno nam trafić. Wyrażamy się o ludziach zawsze albo hymnem pochwalnym, albo w tonie pamfletu. Przerzućmyż tylko nasze pisma za ćwierć wieku, a przekonamy się, ilu tam poodkrywano znakomitych uczonych, genialnych artystów, a przedewszystkiém niezrównanych autorów dramatycznych, a ilu z drugiéj strony potępiono łotrów i zbrodniarzy! Brak nam poprostu tych pośrednich tonów, bez których niepodobna określić ludzi takich, jacy w rzeczywistości stanowią większość każdego społeczeństwa.

Młodzieniec, wychowujący się w takiéj atmosferze, nabiérać musi przekonania, że go los przeznaczył do jakichś nadzwyczajnych celów. Nie chcąc zostać niedołęgą, musi się uważać za kandydata na człowieka genialnego. Ten brak miary we wszystkiém, co słyszy dokoła, podnieca niesłychanie jego fantazyę. Nie chcąc doczekać się tego, by go kiedyś traktowano z lekceważeniem, nie może poprzestawać na małém. Powoli oswaja się z tém, że musi zrobić karyerę nadzwyczajną, że dokona jakichś czynów niezwykłych. Czy takie pojęcia ułatwiają naszéj młodzieży życie w warunkach, w jakich żyć będzie? Czy ci, co ją tak wychowują, nie pchają jéj sami do rozczarowania i zniechęcenia.

Razi nas niekiedy praktyczność sąsiadów zachodnich. Nie wpadajmy w przesadę i pod tym względem. Nie naśladujmy téj praktyczności ryczałtem, ale przyznajmy, że ma dobre strony. I tam każdy woli być ministrem, niż sędzią w małém miasteczku; i tam każdy woli być sławnym na cały świat uczonym, niż cichym pracownikiem, o którym wié tylko małe kółko specyalistów, ale każdy wyrasta tam w przeświadczeniu, że człowiek, pełniący wzorowo obowiązki przez całe życie, będzie otaczany czcią współobywateli nawet wówczas, gdy jest tylko burmistrzem miasteczka, i że uczeni pełni genialnych pomysłów nicby nie zdziałali, gdyby ukryci w cieniu szperacze nie dostarczali im materyału.

Nauka niemiecka jest chlubą niemieckiego narodu, a jednak nie byłaby tém, czém jest, gdyby obok nazwisk znanych na całéj kuli ziemskiéj, nie było tych tysięcy miłośników wiedzy, z których każdy według sił i możności kruszy po odrobinie twardą rudę, zanim inni wytopią z niéj czysty metal. U nas inaczéj. My mamy albo hymn uwielbienia dla naszych sławnych uczonych, — co prawda, bywamy szczodrzy w szafowaniu tym tytułem — albo téż pogardliwe wzruszenie ra-

mion dla ludzi, piszących jakieś tam broszurki, o których nie było nigdy w „Kuryerze”.

Doszło do tego, że, chcąc kogoś pochwalić, trzeba według utartéj mody wpadać w przesadę. Powiedziéć o kimś, że go cenią i znają w powiecie, to prawie zniewaga; napisać o kimś, że każda z jego komedyjek miała warunki powodzenia w chwili, gdy ją pisał, to obelga. Nie ma rady: mamy do wyboru żółć albo kadzidło. Nie chcąc ludzi martwić i oburzać, kadzimy im bez miary. A wybiérając z dwojga, każdy z nich zniesie prędzéj jawną kalumnię, niż pochwałę chłodną, umiarkowaną, nieprzesadną. Tamtę można tłómaczyć zawiścią piszącego, ale co począć z pochwałą, w któréj zachowano miarę?

Bądź co bądź, pedagogiczne to nie jest. Czy społeczeństwo bodąc ostrogą nieustannie fantazyę, próżność, zarozumiałość, daje potém środki do zaspokojenia pragnień, które rozbudziło?

Jesteśmy społeczeństwem ubogiém. Wzbogacanie się ognisk przemysłu krajowego, rozwój miast większych nie może zrównoważyć niedostatku, w jakim żyją szerokie warstwy społeczeństwa. Włościanin nasz, rzemieślnik, wyrobnik jest biédakiem w porównaniu z temi samemi grupami w innych krajach. W związku z tém jest zjawisko drugie. Jesteśmy społeczeństwem o niesłychanie małych potrzebach. Pozory mówią niekiedy co innego i wywołują w nas samych mniemanie, że potrzeby nasze są niezmiernie wyrafinowane i rozległe. Złudzenie to polega na prostém nieporozumieniu. Zupełną słuszność mają ci, którzy nam tłómaczą, że powinniśmy ograniczać nasze wydatki, odmówić sobie niejednéj przyjemności, pozbawić się niejednéj wygody, bo szczupłe dochody nasze nie wystarczają na to, na co sobie pozwalamy; ale te same wydatki nasze, które sprawiają, że żyjemy nad stan, są niesłychanie skromne w porównaniu z wydatkami społeczeństw, rozwijających się normalnie. Jesteśmy marnotrawcami przyzwyczajonymi do zbytków, jeżeli mierzymy potrzeby nasze miarą naszych zarobków, ale zarazem jesteśmy nędzarzami, odmawiającymi sobie rzeczy najniezbędniejszych, jeżeli porównamy się z jakimkolwiek narodem zamożniejszym.

Nie osłabia to w niczém powtarzanéj tylokrotnie prawdy, iż dopuszczamy się nieustannie karygodnéj lekkomyślności, wydając to wszystko, cośmy na czarną godzinę odłożyć powinni, i zadłużając się jeszcze w dodatku. Brak umiejętności oszczędzania odróżnia nas niekorzystnie od naszych sąsiadów zachodnich. Porównajmy jednak sumiennie cały szereg naszych budżetów rodzinnych z takiemiż budżeta-

mi w krajach ościennych, a zobaczymy, że te stałe niedobory wynikają nie z wygórowanych wydatków, lecz z niedostatecznych dochodów. Nieszczęściem naszém nie jest to, iż żyjemy zbyt dobrze, lecz to, iż nie umiemy zarabiać. Przypatrzmy się, jak żyją ci, którzy dają nam przykład pracowitości, rzadko spotykanéj w kraju naszym, a zrozumiemy, jak skromne, jak pierwotne są nasze potrzeby.

Żywimy się źle. Porównajmy konsumcyę Warszawy z konsumcyą Hamburga, a różnica uderzy nas od razu w oczy. Mieszkamy nie hygienicznie. Nie korzystamy w należytéj mierze ze świéżego powietrza, nie dbamy dostatecznie o rozwój naszych płuc i muskułów, nie stać nas na te wszystkie rodzaje hygienicznego sportu, na które sobie pozwala cudzoziemiec.

A równocześnie odmawiamy sobie mnóstwa przyjemności wyższego rzędu. Nie przyozdabiamy architektonicznie naszych domów, ani nie upiększamy ich wnętrza. Mieszkamy w kamienicach koszarowych i w izbach tchnących pospolitością. Oleodruk uchodzi u nas za ozdobę mieszkania. Obraz dobrego malarza jest rzadkością, — rzeźba zjawiskiem wyjątkowém. Policzmy biblioteki prywatne i prywatne zbiory naukowe, policzmy egzemplarze dzieł poważnych. Zapytajmy, ile w ciągu roku zdarza się u nas podróży i wypraw z głębszym celem, a przyznać będziemy musieli, że wielu potrzeb, którym inne społeczeństwa opędzić się nie mogą, my nie domyślamy się nawet.

Cóż wobec tego oczekuje młodzieńca, który skończywszy nauki, szuka kawałka chleba? Oto zaraz na wstępie powiedziéć sobie musi, że kształcił się, by nieść usługi społeczeństwu, które, niestety, w znacznéj części bez nich się obchodzi. Miliony ludu nie myślą o wzywaniu lekarza; miasta o sporéj ilości mieszkańców obchodzą się doskonale bez architektów, obdarzonych twórczą myślą. Galeryi, któreby kupowały arcydzieła rzeźby, nie ma u nas wcale, a bogatych miłośników sztuki jest nie wielu. Młody lekarz, architekt, rzeźbiarz czuje już na wstępie, że ogólny stan społeczeństwa kładzie jego karyerze tamy groźne i silne.

Czy był na to przygotowany? Czy powtarzano mu od dziecka, że ambicyą jego powinno być zajęcie wśród trudnych warunków stanowiska, któreby gdzieindziéj uchodziło może za bardzo średnie i pełnienie na tém stanowisku obowiązków z tym samym zapałem, z tą samą wytrwałością, z jaką inni, szczęśliwsi, pełnią je na posterunkach widnych zdala i budzących zazdrość? Czy wpojono mu to? Wątpimy.

— Ręczę panu — mówiła mi niedawno kobiéta bardzo inteligentna — że syn mój nie będzie człowiekiem pospolitym. Nie wiem, czy

pójdzie złą czy dobrą drogą, ale jestem pewna, że w każdym razie dokona czegoś nadzwyczajnego.

— Nie, łaskawa pani! Syn pani nie urodził się w kraju, w którym rzeczy nadzwyczajne są czémś tak bardzo powszedniém. Niech pani nie trwoży myśl, iż może zasłynąć kiedyś w świecie czynem występnym. Nie utworzy on w Warszawie towarzystwa przekopu Panamy, nie będzie, jak generał Weyler, niszczył ogniem zasiewów na Kubie, nie wypędzi z kraju dziesiątek tysięcy rodzin, pozbawiając je chleba. Ale też za to nie będzie miał na swe usługi pracowni takiéj, jak Pasteur lub Virchow. Nie będzie przyozdabiał jakiéjś drugié *Ringstrasse* gmachami, wzbudzającemi podziw Europy. Jeżeli osiędzie na roli, nie starczy mu środków na kosztowne eksperymenta, otwierające nowe drogi rolnictwu krajowemu. Inna będzie jego przyszłość. Chcąc oszczędzać mu bolesnych zawodów, trzeba go oswajać z myślą, że największą jego cnotą będzie to ciche bohatérstwo, które nikogo nie olśniewa, które nie dochodzi do wiadomości świata, poprzestaje na uznaniu najbliższych, a daje codzień tę samą wytrwałość, niesłabnącą przez całe życie. Jako prawnik lub medyk, nie będzie miał przed sobą tłumu słuchaczów, którzy sławę jego zdobyczy naukowych rozniosą za góry i morza. Nie będzie też miał klientów, którzy mu ciernistą ścieżkę życia wybrukują złotem. Niechaj więc nie przeraża go myśl o małém mieście, o dochodach skromnych, o klienteli chłopskiéj, niech się wcześnie nauczy cenić to zaufanie swéj gminy, swego powiatu, które kiedyś będzie najwyższą nagrodą obywatelską, o jaką wogóle wolno mu się ubiegać. Gdyby go los przykuł do pługa, najszczytniejszym jego tryumfem będzie spłacenie cząstki długów, obciążających dziś ziemię. Jeżeli wreszcie pójdzie najponętniejszą napozór drogą i obierze zawód przemysłowy, a ziemi rodzinnéj nie zechce pożegnać na zawsze, to niechaj nie wyobraża sobie, że zdoła wyszukać kapitalistów polskich, którzy mu powierzą fundusze na przeprowadzenie jego zamiarów. Czeka go w rzeczywistości coś mniéj ponętnego. Jak w powieści Sienkiewicza Jurand ze Spychowa do zamku w Szczytnie, tak on będzie musiał kołatać do fabryki cudzoziemca, prosząc o przyjęcie, a gdy mu most zwodzony spuszczą, będzie musiał dowieść tych właśnie przymiotów, któremi nie obdarzyły nas w wysokim stopniu nieba, zanim zdoła wykorzenić prastare uprzedzenia swego pracodawcy przeciw polskiemu lenistwu, polskiemu niedbalstwu, polskiéj zarozumiałości. Taka jest arena naszego bohatérstwa.

Złudzeniem jest wyobrażać sobie, że młode pokolenie pracuje tylko na rachunek przyszłości. Jak ów rolnik, o którym wspomnieliśmy wyżéj,

musi ono oczyszczać hypotekę z długów, zaciągniętych przez przodków. *Weh dir, dass du ein Enkel bist!* — powiada Goethe. Bądźmy sprawiedliwi dla pracowników, budujących dom, którego fundamenta założyli inni przed laty według własnego pomysłu. O ileż bardziéj na sprawiedliwy, życzliwy sąd zasługują ci, którym wypadło według słów poety:

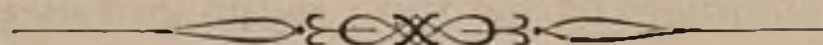
....niejedno miłe zburzyć,
A inaczéj odbudować.

Tadeusz Smarzewski.



Wydawca: *W. Spasowicz.*
Za Redakt.: *W. Spasowicz* i *Stanisław Wydżga.*

Дозволено Цензурою. Варшава, 17 Мая 1898 г. — Druk Jana Cotty.



SŁOWNIK JĘZYKA POLSKIEGO

ułożony pod redakcyą

Jana Karłowicza, Adama Kryńskiego i Władysława Niedźwiedzkiego.

Nie od dzisiaj uczuwaliśmy wszyscy potrzebę obszerniejszego słownika polskiego; nieużyteczność do dzisiejszych potrzeb praktycznych znakomitego na swój czas słownika Lindego, wyczerpanie słownika Wileńskiego i nieodpowiedniość obudwu, wobec współczesnego nam wzrostu i wzbogacenia się zasobu językowego, czynią za dni naszych potrzebę tę nader pilną. To téż przed laty dziewięciu, w kółku językoznawców i literatów tutejszych powstała myśl ułożenia nowego, obszernego i ile można odpowiedniego wymaganiom dzisiejszym skarbca mowy ojczystéj; obecnie, po skrzętném a mozolném zgromadzeniu materyałów, przy współudziale kilkudziesięciu zaproszonych do tego współpracowników, przystępujemy do rozpoczęcia druku wielkiego czterotomowego dzieła, licząc na poparcie i życzliwość ogółu, którego pilnéj a długo niezaspakajanéj potrzebie staramy się zadośćuczynić.

Postanowiliśmy w Słowniku naszym zgromadzić ile można zupełną całość bogactwa mowy polskiéj; więc nietylko staraliśmy się wyczerpać cały zasób języka żywego i literackiego, lecz téż uwzględniliśmy wyrazy dawne i gwarowe. Znaczenie każdego wyrazu staraliśmy się podawać w jak najzwięźlejszém określeniu, usiłując nadto uwydatniać je wyrazami bliskoznacznemi i takiemi, które w potoczném użyciu najwięcéj się z niemi łączą, oraz przytoczeniami z autorów i przysłowiami.

Uznaliśmy téż za rzecz właściwą wprowadzić do Słownika żywioł słoworodowy (etymologiczny); unikając wywodów naukowych, które w Słowniku naszym nie byłyby na miejscu, podajemy przy każdym wyrazie pień (pierwiastek), od którego pochodzi, jeżeli wyraz jest słowiański, a gdy jest zapożyczony, przytaczamy wyraz obcy, od którego się wywodzi. Nie przestając dla wyrazów rodzimych na wymienieniu pnia odpowiedniego, podajemy na końcu dzieła spis wszystkich pni polsko-słowiańskich, wraz z zestawieniem odpowiednich aryjskich.

Słownik nasz powstał usiłowaniami i trudem licznego zastępu pracowników. Zapraszaliśmy do współudziału najlepszych znawców rozmaitych specyalności naukowych i technicznych; zapasy wyrazów i przykładów zgromadziliśmy z różnych książek i rękopisów. Wymieniamy poniżéj osoby, które się najwięcéj przyczyniły do ułożenia i opracowania słowozbioru:

Do części głównéj, do wyrazów rodzimych i ich objaśnienia: profesor Antoni Kalina, pp. Wacław Taczanowski, Ludwik Korotyński, a najwięcéj i przeważnie Władysław Niedźwiedzki. Zasobów rękopiśmiennych i wyciągów z autorów do-

starczyli: pp. Józef Bojasiński, Florjan Czepieliński, Kazimierz Król i Wacław Taczanowski, a najwięcéj ś. p. Józef Bliziński, p. Józef Wojno i Władysiaw Niedźwiedzki.

Część staropolską zgromadził i opracował Adam Antoni Kryński. Zbioru i objaśnienia wyrazów gwarowych dostarczył Jan Karłowicz. Słoworód wyrazów rodzimych i porównawczy spis pni, podany na końcu Słownika, obrobił profesor Jan Baudouin de Courtenay; słoworód wyrazów zapożyczonych podał Jan Karłowicz. Wyrazy zoologiczne opracował ś. p. profesor August Wrześniowski; botaniczne — p. Karol Drymmer; mineralogiczne — profesor Jan Trejdosiewicz; chemiczne—p. Bronisław Znatowicz; matematyczne—profesor Samuel Dickstein; fizyczne i astronomiczne — p. Stanisław Kramsztyk; do wyrazów filozoficznych dostarczył materyału p. Adam Mahrburg; lekarskie opracował dr. Józef Peszke; weterynaryjne—p. Henryk Kotłubaj; aptekarskie — p. Władysław Wiorogórski; wojskowe — ś. p. pułkownik Konstanty Górski; prawnicze—p. Leopold Méyet; muzyczne—Jan Karłowicz; ekonomiczne — pp. Władysław Wścieklica i profesor Stosław Łaguna; rybackie—p. Zygmunt Fiszer; ogrodnicze—p. Edmund Jankowski. Do słowozbioru z dziedziny technologii, handlu, rzemiosł i przemysłu przyczyniło się kilkadziesiąt osób, dobrze obeznanych z odpowiedniemi specyalnościami.

Próbka którą jednocześnie ogłaszamy, okazuje, jakich sposobów i zasad trzymaliśmy się w układaniu Słownika. W przedmowie, mającéj się dołączyć do jednego z dalszych zeszytów, opowiemy szczegółowo dzieje powstania i ułożenia dzieła.

Wydawnictwo Słownika polskiego nie jest niczyją spekulacyą: redakcya jego pracuje bezinteresownie, a własność dzieła przekazała Kasie imienia d-ra Mianowskiego; podpisanym niżéj wydawcom chodzi tylko o pokrycie kosztów rękopisu, druku, stereotypów i papiéru z wpływów przedpłaty. Stąd téż i cenę Słownika oznaazyli oni niezwykle niską, bo po 4 kop. za arkusz 16-stronicowy wielkiego formatu, a drobnego druku.

Przystępujemy do druku Słownika pod dobrą wróżbą setnéj rocznicy urodzin Adama Mickiewicza, arcymistrza słowa polskiego. Niechże praca nasza przyłoży się choć w skromnéj części do uwiecznienia jego pamięci i ukochanéj przezeń mowy!

Warunki przedpłaty.

Całość Słownika obejmie około 240 szesnastostronicowych arkuszy i podzielona będzie na cztery grube tomy. Mamy nadzieję ukończyć całe dzieło w ciągu lat czterech do pięciu, ogłaszając mniéj więcéj po pięć zeszytów 10-arkuszowych (160-stronicowych) rocznie.

Cena całości dzieła wynosi w przedpłacie na miejscu **rubli 10**; po ukończeniu druku podniesie się do **rubli 12**. Cena jednego zeszytu **kop. 50**. Koszta przesyłki w tomach zwracać sobie będziemy obciążeniem pocztowém prenumeratorów; na przesyłkę jednego zeszytu nadsyłać należy 25 kop.

Zeszyt pierwszy ukaże się w lipcu r. b.

Administracya, ekspedycya i skład główny Słownika w Redakcyi „Gazety Handlowéj", w Warszawie, ul. Szpitalna, N. 10, gdzie téż przyjmuje się przedpłatę.

Jan Karłowicz, Adam Antoni Kryński, Władysław Niedźwiedzki.